Biblioteka
U. M. K.
Toruń
188088

DZIEŁKA

DRAMATYCZNE

KRYSTYNA OSTROWSKIEGO.

Czatterton. — Kupiec wenecki. — Wiesław. — Macocha.

„Ucz się ojców twych języka,
On myśl każdą wydać zdolny;
Gnie się, dźwięczy, grzmi, przenika,
Jasny, śmiały, bo jest wolny.“

J. N. KAMIŃSKI.

WYDANIE POPRAWNE.

W KRAKOWIE.

NAKŁADEM AUTORA. — W DRUKARNI „CZASU.“

1861.

Na dochód

potrzebujących Uczniów

Wszechnicy Jagiellońskiéj.

poświęca

K. O

Spis przedmiotów.

	Strona.
Wstęp	V.
Czatterton	1.
Przedsłowo	3.
Kupiec Wenecki	85.
Wiesław	201.
Macocha	239.
Trzy lilie	381.
Powrót	383.
Pożegnanie	384.

188088

BIBLIOTEKA W TORUNIU UNIWERSYTECKA

WSTĘP.

Ten plon jednorocznéj pracy, w pierwszéj radości powrotu do kraju poczętéj, a w głębokiéj żałobie serca i myśli dokonanéj, przypisuję i poświęcam tobie, szlachetna młodzi, która wśród codziennych starań około materyalnego życia, wśród cierpień i trudności wszelkiego rodzaju, umysł twój nieskażony do wyższych krajowych usług sposobisz. Chcę ci nią zawdzięczyć, o ile jestem w stanie, za twoje prawdziwie braterskie przyjęcie w starym naszym jagiellońskim grodzie; i jako dar pożegnalny na pamiątkę zbyt krótkiego z tobą pożycia w ręku twoim zostawić. Winienem ci oraz, winienem moim przyjaciołom, treściwe objaśnienie o sposobie w jaki tego przeciągu czasu, przy nieprzerwanéj prawie samotności użyłem.

Wiadome są przyczyny, dla których poezya dramatyczna, ta z duchem naszego wieku działania i postępu najściślej związana, bo najbliższy stosunek do czynu mająca, dotąd u nas rozwinąć się nie mogła.

Starożytna latorośl, ręką Jana Kochanowskiego w epoce świetności naszej zaszczepiona, przez Felińskiego, Wężyka, Fredrę tak bujnie rozkrzewiona, pod wiatrem północy uschnęła i od wielu lat żadnych już owoców nie wydaje. W muzyce, w balecie, w kilku *tendencyjnych* komedyjkach bez układu, bez wydatnych charakterów, bez narodowego tchnienia, schroniła się cała żywotna siła naszego dramatu, o wiele niżéj od wszelkich innych gałęzi krajowéj literatury stojącego. Nieśmiertelne wzory, arcydzieła klassycznych peryodów, jako zbyt wznoszące ducha, surowo są zakazane, lub tam tylko dozwolone, gdzie ani godnych przedstawicieli ani uzdolnionych słuchaczy miećby nie mogły. Artyści nasi (a mamy kilku znakomitych, idących w parze ze wszystkimi tegoczesnymi), w coraz ciaśniejszém kółku obracać się zmuszeni, obsługują się tylko najlichszemi płodami sceny zagranicznéj, zwykle tłumaczonemi dorywczo, jakby na pańszczyznę, z wykluczeniem całych scen i sytuacyj, mogących stać się powodem do politycznych lub prywatnych przymówek; albo téż, jak to się dzieje teraz w Warszawie, Wilnie, Kijowie, Poznaniu, całkiem zamilkli. Inni zaś, niezaprzeczonym talentem obdarzeni, lecz nieledwie o żebranym chlebie żyjący, od miasta do miasta toczą tespisowski swój wózek, skazani na wieczne odgrywanie zużytych już od pół wieku lub zeszpeconych niezgrabném tłumaczeniem utworów.

W obec tych niezwalczonych przeszkód, w obec teatralnej krytyki, jeszcze u nas na stopie pierwotnéj dzikości będącéj, jakiż dział pozostaje więc piszącemu dla polskiéj sceny, chcącemu podnieść ją do wyniosłości budzącego się tak silnie życia narodowego? Oto przysposabiać materyały do jéj przyszłéj budowy potrzebne, zająć się wyborem najwłaściwszéj formy, według któréj

wzrastać i kształcić się powinna. Przerabiać celniejsze obce utwory z naszym duchem spowinowacone, lecz tak przerabiać, aby w nich zupełnie zatrzeć ślad exotycznego pochodzenia; aby mową, zwyczajem, układem, stały się całkiem polskiemi, bez rażącéj za każdym wyrazem obczyzny. Tak czynili Rzymianie za Cezarów, przyswajając sobie greckie, tak Francuzi za Ludwika XIV, pożyczając łacińskie, hiszpańskie i włoskie przedmioty; tak nareszcie arcymistrz nowoczesnego dramatu, Szekspir, większą połowę pomnikowych dzieł swoich z obcego kruszcu tworząc, nadawał im niestarte piętno własnego geniuszu. Dział ten nie jest tak szczupłym, jakby się wydawać mogło nieobeznanym ze sceną pisarzom; gdyż w téj pracy autorowie nasi nabiorą niezbędnéj wprawy, téj sztuki logicznego osnowania w któréj celują dzisiaj francuzcy, a bez któréj żaden dramat, choćby z najcenniejszych żywiołów złożony, stanowczéj próby kilkorazowego przedstawienia nie przeżyje. Zbyt mało mamy dotąd dzieł harmonijnie i foremnie zbudowanych, nieprzerwanie uwagę i czucie zajmujących, jedném słowem *scenicznych;* a to dla tego, że nikt u nas, wcale nikt, wyłącznie się sztuce teatralnéj nie poświęcał, téj sztuce najtrudniejszéj ze wszystkich, bo będącéj ich syntezą i ostatnim wyrazem; że nikt w niéj wziętości, a tém mniéj godziwego zarobku szukać nie zamyślał. Inaczéj być nie mogło w kraju na wpół zdobytym, rozćwiertowanym; tam, gdzie światło narodowego współistnienia, którego sztuka jest tylko estetyczném odbiciem w dziedzinie myśli, od stulecia prawie utajoném zostało. O kwiaty trudno tam gdzie kłosów niema.

Temi zasadami wiedziony i gorącém uwielbieniem naszego języka przejęty, chciałem to przynajmniej uczynić co było pod ręką, i jedyną drogę przed nami otwartą

wskazać młodszym, silniejszym i szczęśliwszym od siebie. Niejakie doświadczenie w tym zawodzie, choć na obcym gruncie i przy obcych wzorach nabyte, chciałem przenieść na rodzinną rolę, i do naszych dziejów, najobfitszych w zajmujące historyczne obrazy, w odrębne charaktery, w dramatyczne przesilenia, według możności zastosować. Przeświadczony o niedostateczności wiersza trzynasto lub jedenasto-zgłoskowego, zbyt w jednobrzmienność lub śpiewkę wpadającego, zamierzyłem wiersz miarowy, najzwięźlejszy, a zatém do dramatu najszczelniéj przystający, spolszczyć i w używanie wprowadzić. Do naszéj już tak bogatéj poezyi lirycznéj, jak hymn błagalny ku niebu z piersi całego narodu się wyrywającéj, chciałem dodać jeden wdzięk jeszcze, wdzięk rytmu i prozodyi; i tę nową strunę na lutni wieszczów naszych nawiązać. W téj formie już uświęconéj przez wieki, chociaż u nas całkiem nieznanéj, przełożyłem dla polskich artystów *Czattertona*, ów fatalistyczny obraz natchnienia walczącego z niedołęstwem, egoizmem, niekiedy zawiścią spodlonego chucią zysku towarzystwa; *Kupca Weneckiego*, ów posągowy choć nieco przedrzeźniony pierwowzór żydowskiego lichwiarza; i nareszcie przysposobiłem dla sceny tę tkliwą sielankę *Wiesława*, ten arcywierny obrazek naszego krakowskiego ludu, w czerwonéj czapce i z pawiém piórkiem, jak święcony szkaplerzyk w pamięci i w sercu każdego z nas od lat dziecińśtwa spoczywający. Wszystkie trzy są pisane *pięciomiarem jambowym*, w najściślejszém zachowaniu wskazanych przez mistrzów prawideł; dwa ostatnie opatrzone końcówką. Wiersz ten na greckim lądzie zrodzony, zapewne współcześnie z ideałem Afrodyty, jest zaiste bliskim pokrewnym naszego jedenasto-zgłoskowego; lecz śmiało można powiedzieć, że jest jego uzupełnie-

niem w rytmie i melodyi. Wszystkie uczone języki, nie wyłączając wschodnich, miarowéj mowy do dramatu używały; z pomiędzy żyjących, jeden tylko francuzki jest prozodyi a zatém rytmu pozbawiony: ten téż jest najmniéj, podług samychże Francuzów zeznania, do wszelkiéj poezyi, a szczególnie dramatycznéj przydatnym. Proza, jako daleko doskonalsza, wyłącznie po dziś dzień nawet na tak zwanych literackich scenach panuje. Inaczéj się ma z naszym źródłowym, samoistnym, naczelnym z pochodzenia słowiańskiego językiem. Czy mi się udało uśpioną w nim prozodyą rozbudzić, w niezmienną i zgodną z jego brzmieniem rytmową miarę ująć i ustalić, jak to już w dwóch bratnich narzeczach uczyniono, to czytelnicy, a wkrótce może i widzowie osądzą.

Kupiec Wenecki ściślejszém związaniem dwóch akcyj w jednę, i z pięciu aktów szekspirowskiéj improwizacyi do trzech obrazów streszczony, zdawał mi się jeszcze w innéj sferze jak w scenicznem wykonaniu dla polskiéj publiczności przydatnym. Genialny utwór angielskiego mistrza odnosi się wyraźnie do naszéj najdawniejszéj, tak już zastarzałéj choroby, że jéj prawie nie czujemy, że przeszła w naszą krew i organizm, że się do niéj nawet z pewną potulną uległością przymilamy. Tym trądem, na grobie Esterki wylęgniętym, a który nasz kraj jak szeroki i długi ogarnął, jest to pasożytne plemie które się w nasze wmięszało, zachowując dotąd uporczywie swoje nałogi, zabobony i drapieżne żądze, wprost sprzeczne z usposobieniem naszego ludu; jest ta karykatura człowieka, żyd, wszędzie i zawsze do siebie podobna, a któréj odwieczne znamiona, wpół egipskie wpół azyatyckie, przechowały się w całéj swéj piękności na naszym Kazimierzu. Nie mówi się tu wcale

o tych szanownych członkach izraelskiéj rodziny, którzy wyjątkowo nasze zwyczaje, naszą mowę, a z nią i nasze uczucia przyjęli; lecz o téj większości ślepo zagorzałéj, niezbłaganie szkodliwéj, tworzącéj drugi naród w narodzie, i która nasz kraj zawczasu za zdobytą przez siebie pastwę uważa. To, co dla ulubieńca królowéj Elżbiety było tylko umysłową igraszką, dobitnym i ucieszným wzorem wśród tylu innych przed jego twórczą wyobraźnią stojącym: „*an exemplar of that peculiar people*“ jak go Henley w kommentarzu Szekspira nazywa, jest dla nas ważném, rozległém społeczném zadaniem, do którego rozwiązania usilna praca wszystkich żywotnych sił narodu jest nieodbicie potrzebna. Wszelako tuszę, że i w téj mierze czas naprawi to co zepsuł, byle się do tego ludzie szczerze przyłożyć umieli; chciałem tylko zwrócić uwagę mych ziomków na to najwyższe grożące nam niebezpieczeństwo, które jeszcze w téj chwili możnaby łączném, energiczném działaniem odżegnać i usunąć. Kupiec Wenecki miał przytém służyć za podstawę podobnego wypracowania na kilku innych dramatach Szekspira.

W przysposobieniu *Wiesława* dla sceny, wiersz Brodzińskiego płynny i rzewny, samym układem zgłosek w miarowy przekształciłem, nie zmieniając bynajmniéj toku myśli; a niekiedy całkiem utworzony w tekście znalazłem i wypisałem. Do dwóch piosenek już w nim istniejących, kilka moich własnych ludowéj treści dołączyłem. Mam nadzieję, że na tém mozaikowém przerobieniu ucho nie straci; że mi je mój dawny mistrz i przyjaciel, o ile na to różnica wieku pozwolić mogła, chętnieby przebaczył, przez wzgląd na wspólne nam zamiłowanie ludu krakowskiego.

Że nasz język jest towarzyskim, bo najdelikatniejsze odcienia myśli i uczucia wyrażającym, zarazem prostym i wytwornym; że nie potrzebujemy udawać się do innego w rozmowie z kobietami, lub obcemi go wyrazami dopełniać i być dowcipnymi tylko po francuzku (jak się to zbyt często w naszych wpółwynarodowionych salonach słyszeć daje): to przekonanie było mi pochopem i zachętą w przerobieniu *Macochy*. Głęboki ten, acz nieco cierpki pomysł Balzaka, jest nowoczesną Fedrą, i tę samą naukę co dawna zajmującą. Wykrywa ona śmiało, bez ogródki, wszystkie nierządy i klęski z powtórnych małżeństw na rodziny spływające; tę opłakaną lukę po wszystkie czasy w prawodawstwie ludów otwartą, począwszy od Tezeusza do zbyt słynnego w téj chwili barona Vidil, a która w ręce macochy lub ojczyma wychowanie, majątek, całą przyszłość obcych im pasierbów oddaje. Téj nauki, z głębi przedmiotu wynikającéj, wielu z recenzentów nie postrzegło lub téż uznać nie chciało; i właśnie dla tego, że ten obraz rzeczywisty, przerażający, całe zgorszenie podobnych związków wyjawia, nazwano go niemoralnym: z równą zaiste słusznością jak treść dramatu Czattertona, który spotwarzony za najchlubniejsze prace, wyszydzony za szlachetnie cierpiane ubóstwo, w obłędzie rozpaczy ucieka się do samobójstwa. Otóż Klytemnestra, Hamlet, Ryszard III, don Karlos, Mazepa i wiele innych, jedném pociągnięciem pióra w imie moralności z rzędu sztuk uczciwych wykreślone. Żaden zarzut nie mógł mi być dotkliwszym. To są dziwnego rodzaju konserwatyści; ich teorya jest po prostu zaprzeczeniem całéj sztuki teatralnéj, któréj powołaniem jest właśnie stawianie przed oczyma widzów kary niezbędnéj obok występku, śmieszności nieodłącznéj od każdéj przywary

serca i umysłu. Stosując się do ich zdania, należałoby przesądy, kłamstwa, zdrożności naszego niedokształconego lub przekwitłego towarzystwa, piramidą wieńców pochwalnych przykrywać. W obec takich znawców trzebaby się nieustannie do elementarnych zasad odwoływać, i dowodzić że dwa a dwa cztery. To nie jest wcale mojém zadaniem; a tém mniéj odpowiadać na miotane przez niektórych obelgi, wszelki zakres przyzwoitéj i godziwéj krytyki przekraczające.

Do tych ostatnich pisarzy niniejsze dziełko bynajmniéj się nie odnosi; i owszem, bardzo byłbym upokorzonym, gdyby przychylność ich otrzymało. Ich zatrute pociski już nie jedno wzniosłe serce zraniły, nie jeden prawdziwy talent odstręczyły lub złamały. Nie dla rzemiosłowych potwarców, głębokiém upodleniem od wszelkiéj odpowiedzialności na zawsze zasłonionych, ten plon dramatyczny zebrałem, i zapewne doczekam się chwili, gdy im opinia publiczna bryzgające żółcią i błotem pióro z ręku wytrąci; lecz dla ciebie, szlachetna i nieskalana młodzi, w któréj pracowitości, odwadze, zamiłowaniu wszystkiego co jest dobre i piękne, świetną dla kraju przyszłość upatruję, w jedném ze mną źródle czerpiącéj natchnienie, i najbliższą moją uczuciem, myślą, dążeniem, stanowiącéj rodzinę.

Kraków, 1 sierpnia 1861.

CZATTERTON,

Dramat w trzech aktach

podług

ALFREDA de VIGNY.

PRZEDSŁOWO.

I.

Wiersz użyty w tém przepolszczeniu Czattertona jest pentameter jambowy, ten sam, którego dawniéj używali Grecy i Rzymianie, którego dotąd używają Anglicy, Włosi i Niemcy, w celniejszych utworach scenicznych, od Eschylesa i Plauta, do Szekspira, Alfierego i Szyllera. W istocie jest on daleko stosowniejszym do dramatu, aniżeli solenny lecz trochę ociężały wiersz trzynasto-zgłoskowy, dotąd przez naszych tragików używany; gdyż podobnie do zbyt długiéj szaty w biegu, nasz rymowy hexameter zwalnia pęd akcyi, dyalog rozciąga, i treść jakąś krasomówczą ogładą rozrabia. Te przymioty czynią go szczególnie zdatnym do rzeczy opisowych, do epopei; nie zaś do rzeczy na scenie działanych, gdzie każda myśl jak iskra zapalać się i uderzać powinna. Wiersz jedynasto-zgłoskowy, jeszcze nie dość utarty, zmusza prawie koniecznie do przeplatania zbyt często powtarzanych rymów; w skutku czego dyalog przemienia w ciągłą piosenkę z kuplecikami i zwrotką, w libretto do układu w muzykę gotowe. Do komedyi najlepszy, w dramacie niedogodny, do tragedyi całkiem nieprzydatny. Jakiż nam więc pozostaje, kiedy chcemy pisać dramat polskiéj scenie przeznaczony, lub téż przeszczepić na naszym języku utwór obcy, blaskiem zeszłych wieków lub uwielbieniem współczesnych jaśniejący? Zapewnie ten którym wspomnieni mistrzowie przemawiali, i już doświadczony niezmiennem nowszych dramaturgów użyciem. Po Janie Kochanowskim, który w Odprawie posłów greckich pierwsze potrzeby onego wyraził przeczucie, wielu piszącym się zdawało iż ich wiersze nierymowe będą uchodzić za miarowe, byle w każdym jednostajna ilość zgłosek się znajdowała. W podobnym stylu znamy bardzo liczne sztuki teatralne w ostatnich szczególniéj czasach pisane, bez końcówki, bez miary a często i bez sensu, grywane tu i owdzie, drukowane w Lipsku, Wrocławiu, Żytomierzu, Kijowie i t. d. Są to potwory ani wierszem ani prozą, do żadnego rzędu istot żyjących nie należące. Takiemi są... Niech mi wolno będzie tytuły dzieł i nazwiska autorów, dla ważnych powodów przemilczeć. Oprócz krótkich ustępów z dzieł B. Zaleskiego lub W. Pola, nie zdarzyło mi się napotkać dotąd ani jednego dziełka, niby to miarowym wierszem, któreby istotnym warunkom prozodyjnego ruchu odpowiadało. A przecież nasz język, tak jak wszystkie pierwotne, jest w ilościach bogatym, łatwo

się w rytm układającym, nawet śpiewnym na równi z włoskim, czego nasze melodye karpackie, krakowskie, biało-ruskie, oczywistym są dowodem. Nasza prozodya jest tém doskonalszą, że posiada jedno tylko nieomylne, niezmienne prawidło; przedostatnia zgłoska każdego wyrazu jest długa, krom pewnéj liczby wyrazów złożonych i nazwisk zagranicznych. Wiersz jambowy jest zaiste trudniejszym od rymowego; bo każda zgłoska, od pierwszéj do ostatniéj, w niezbłaganą formę rytmu jest ujętą: lecz podług mego przekonania, może się u nas przyjąć i rozkrzewić, byle piszący nim, z prawami ustanowionemi przez mistrzów dokładnie się zapoznali i oswoili. — Jest on dziesięcio-zgłoskowym i pięcio-miarowym, naprzemian z krótkich i długich zgłosek złożonym. — Dwie zgłoski, krótka i po niéj długa, stanowią Jambę. — Cezura czyli spoczynek, w ciągu każdego wiersza konieczna, przypada na parzystą, a zatém długą zgłoskę drugiéj miary, jak naprzykład:

„Zmarźnięta dłoń, (a w głowie płonie żar,"

lub trzeciéj:

„By porwać błędną myśl (i przenieść ją,"

lub czwartéj:

„Stracony bez nadziei! Sąd, (więzienie!"

Bez takiéj średniówki, wiersz miarowy całkiem nie istnieje. — Ostatnia zgłoska jest cicha, jeżeli krótka, jak w poprzedzającym przykładzie; i wtedy do składu wiersza się nie liczy. — Jedno-zgłoskowe wyrazy są długie lub krótkie, podług potrzeby, znaczenia, a szczególniéj zwyczaju dobrego wymawiania; zawsze długie w średniówce lub na końcu wiersza.

Te są zebrane w kilku słowach dramatycznéj Jamby prawidła. Myśl schwycona w tę miarę już nie ulega żadnéj przewłoce, żadnemu przeistoczeniu dziwném zrządzeniem rymu zmuszonemu, czasem w zupełnie różną od pierwotnéj; i owszem, zachowuje całą swoją czerstwość i potęgę, skupia się raczéj i zgromadza. Wyraża w zupełności to co autor chciał wyrazić, ani mniéj ani więcéj. Jest to mowa zwyczajna, lecz bardziéj ścisła, dobitna, że tak powiem uskrzydlona, i w ustach celniejszych aktorów włoskich lub angielskich których słyszeć mi się zdarzyło, jakąś uroczą barwę namiętnéj genialności przybierająca.

Teraz parę słów co do pobudek, dla których dramat Czattertona nie zaś inny na tę próbę wybrałem. Autor tego arcydzieła, choć sam znakomity między pierwszemi tegoczesnemi rymotwórca, napisał je prozą, i słusznie; bo przedmiot z potocznego życia wyjęty w przelaniu na wiersz francuzki, byłby wiele na rzeczywistości i efekcie swoim stracił. Każde jego pojawienie się na scenie, jest przyjętém jako znamię odrodzenia się sztuki dramatycznéj. Tak jak wszystkie śmiałe pomysły społeczne, gorące uwielbienia i gwałtowne zawiści wywołało; czytelnik sam najlepiéj osądzi, które słuszniejsze. Chciałem podług wyłożonego systematu przepolszczyć dramat obcy, noszący na sobie cechę niezaprzeczonéj wyższości, którejby nigdy oryginalny utwór nie posiadał; tak więc wszystkie niedostatki w czytaniu lub też w przedstawieniu spostrzeżone, mnie samemu, nie zaś panu Alfredowi de Vigny przypisane będą. Prócz tego, Czatterton zajmuje w sobie głęboką naukę, dla wszystkich krajów przydatną, ale zwłaszcza dla naszego, gdzie co krok można spotkać lordów Talbot lub Beckford, a gdzie, niestety! charaktery Kitty Bell i Kwakra, są może płonnym i bolesnym, bo zbyt rzadko sprawdzającym się w życiu ideałem.

K. O.

00.

Pan Alfred de Vigny należy do szkoły romantycznéj francuzkiéj; lecz tém się różni od swoich kolegów, że lubo mniéj płodny, mimo tego głębszy bywa od wielu: a co najważniejsza, jest to prawdziwy kompozytor, który długo obmyśla przedmiot i formę w jaką ma je odlać, aby dzieło urodziło się i pozostało żywém. Już to samo, że u nas kilkakroć tłómaczono jego dramat, dowodzi że tkwi w nim coś żywotniejszego niż w tylu nowszych utworach francuzkich, równie skwapliwie czytanych jak prędko zapomnianych. To ma do siebie Czatterton, że w nim wymowna obrona praw poety, nadzwyczajnie wzruszała świat piszący. Zarzucano z początku niemoralność temu utworowi z powodu samobójstwa Czattertona; poeta bowiem najwięcéj winien cierpieniu, a właśnie samobójstwo dowodzi, że mu brakło odwagi. Jednakże w tym przypadku da się ta zbrodnia dramatycznie usprawiedliwić, zwłaszcza ze względu na ułomność natury ludzkiéj; bo jest to rzeczywisty człowiek, nie ideał. Jakoż kiedy się rzuca w obłąkaniu rozpaczy na flaszeczkę z opium, zupełnie tak nam się przedstawia jak jeleń co ścigany przez złaję gończych, nie widzi innego ratunku jak rzucić się w wodę; — jeżeli w niéj utonie, niedowodzi to żeby mu knieja obrzydła: podobnie i trujący się Czatterton, bynajmniéj nie pała nienawiścią do życia i świata, lecz tylko tak srodze jest ścigany przez nikczemność ludzi, że musi szukać ocalenia w znęcającym go oceanie wieczności... I taka jest właściwie moralność tego dramatu, że winę i hańbę samobójstwa zwala nie na rozpacz nieszczęśliwéj ofiary, lecz na tych co ją do gwałtownego kroku przywiedli.

Tłómacz, pan Krystyn Ostrowski, można powiedzieć, z żywą miłością wziął się do przekładu tego dramatu, który chociaż w orginale pisany prozą, on go chciał podnieść jeszcze miarowym wierszem. I w rzeczy saméj bardzo szczęśliwie wywiązał się z tego zadania. Koturn, w który ozuł Kitty Bell, Kwakra i pustych lordów, nic tu nie zaszkodził; i owszem, tak skoncentrował potęgę słowa, iż ani wątpić jako sztuka ta przedstawiona w teatrze, mogłaby sprawić niesłychany efekt. Co do wiersza miarowego użytego w tym przekładzie, można jeszcze zrobić tę uwagę, że rodzaj ten tylko wtenczas bywa znośnym, jeżeli rzecz sama pełna jest zajmującéj treści; pusty deklamacyjny wiersz najgorzéj się wydaje bez rymu: — przeciwnie tam gdzie myślą, obrazem ciężarny, tam, osobliwie w dramacie, rym zdaje się być rzeczą zbytkową.

W przekładzie Czattertona zachodzi właśnie ten przypadek, że wszystko tu potrzebne, ściśnięte, ważne myślą. Tłómacz zatém miał wszelkie prawo obejść się bez rymu, i winniśmy oddać mu tę słuszność, że go się czyta z prawdziwym smakiem, a w niektórych ustępach daje nam wzór porywającéj dykcyi.

Radzibyśmy oglądać na scenie Czattertona przepolszczonego, żeby przynajmniéj słyszeć jak się ten pentameter jambowy wydawać będzie dla ucha. Tłómacz w zwięzłéj przedmowie podaje prawidła swéj prozodyi, z wykształconych obcych języków do własnego zastosowanéj. Lecz najlepszém prawidłem jest podobno sam jego wiersz, który jeżeli dobrze się wyda w ustach aktorów, może i powinien uzyskać prawo obywatelstwa w naszéj literaturze dramatycznéj.

29 listopada 1860.

Lucian Siemieński.

OSOBY.

CZATTERTON.
KWAKIER.
KITTY BELL.
RACHELKA, sześcioletnia jéj córka.
JOHN BELL *), rękodzielnik.
LORD BECKFORD, Lord-major Londynu.
LORD TALBOT.
LORD LAUDERDALE.
LORD KINGSTON.
Trzéj młodzi lordowie.
Dwaj dżokeje.
Służący lorda Beckford.
Służący Johna Bell.
Ośmiu wyrobników.

(U Johna Bell, w okolicy Londynu).

(Aktorowie szykują się porządkiem na czele każdéj sceny wskazanym).

---

*) Wymawia się: Dżon Bell, Loderdel, i t. d.

Akt I.

Obszerny zakład handlowy; izba porządna i dostatnia, za którą widać przez drobne szybki szklannéj przegrody dobrze zaopatrzony sklep bławatny.

— Po prawéj stronie (od sceny), komin nałożony węglem ziemnym; w głębi, schody kręte prowadzące do kilku ciasnych izdebek, między któremi pokoik Czattertona. Po lewéj, drzwi do sypialni Kitty Bell.

— Kwakier czyta siedząc, na prawo. Kitty Bell szyje przy stoliku z przeciwnéj strony; u stóp jéj synek na ławeczce, przy nim Rachelka z książką w ręku.

Scena I.

KWAKIER, RACHELKA, KITTY BELL.

KITTY BELL do Rachelki, pokazującéj bratu obrazki w książce.

To pana głos w przedsionku; ciszéj dzieci.

(do Kwakra).

Mój Boże! pewno znów zdarzenie jakie!

(Kwakier wzrusza ramionami).

Pan dzisiaj gniewny! to po głosie znać. —
Rachelko, przestań biegać jak szalona!

(upuszcza robotę i słucha).

Wszak już mniéj groźny; czy nieprawda panie?

(Kwakier potakuje skinieniem głowy i czyta).

Zdejm zaraz te paciorki, proszę cię;
Błyskotek marnych tknąć nam się nie godzi. —
A któż ci dał tę książkę? Co ja widzę!
To biblia; ręczę że ten młody pan,
Nasz gość od trzech miesięcy?

RACHELKA.

On, mamuniu.

KITTY BELL.

O Boże! coś zrobiła! — Mówię wciąż
Byś od nikogo nic nie przyjmowała,
Szczególniéj zaś od niego... taki biedny! —
A kiedyś go widziała, moje dziecię?
Wiem żeście z rana śmieli wejść oboje
Codzienny pierwszy dać mu pocałunek;
A czy to pięknie?

(całuje dzieci).

Wszak on pisał jeszcze,
Bo lampa się świeciła całą noc.

RACHELKA.

I nawet płakał.

KITTY BELL.

Płakał! on, jak zwykle...
Nie gadać o tém więcéj, bardzo proszę;
On płakał! Trzeba zwrócić mu ten dar,
Gdy was zawoła; lecz mu nie przeszkadzać,
I nie brać nic od niego, wcale nic.
Od trzech miesięcy jak w tym domu mięszka,
Jam ani razu mówić z nim nie śmiała;
A wy tę książkę wzięliście mu z rąk.
To bardzo źle. — Niech Kwakier was uściska;
On wasz przyjaciel, z nieba wam zesłany.

(Dzieci biegną do Kwakra).

KWAKIER.

Dziateczki, chodźcie, chodźcie tu oboje.
Słuchajcie pilnie... Tak. —

(sadza je na kolanach).

Powiedzcie matce
Że serce jéj jest czyste i nabożne,
Lecz że jak wasze, chęci jéj dziecinne;
Że swoich słów nie dosyć rozważyła,
I że ją proszę rozkaz swój odwołać.
Bo zwrócić nieszczęsnemu dar serdeczny
Jest upokorzyć go za dobry czyn,
I całą jego nędzę mu wyjawić.

KITTY BELL, zrywając się z siedzenia.

Ach! prawdę mówi; tak, najświętszą prawdę! —
Rachelko, daj tę książkę. — Trzeba ją
Zachować całe życie! — Nasz przyjaciel
To żywa prawda. — Matka twa zbłądziła.

KWAKIER głęboko wzruszony, całując jéj rękę.

Ach! nie mów o mnie tego, Kitty Bell!
Aniele tęskny! — Mądrość, to złudzenie. —
Patrz, jeślim chciał powiedzieć prawdę szczerą,
Zmyliłem się w téj prawdy wysłowieniu.
Czym dzieci przestrzedz miał o błędzie matki? —
O! niemasz myśli tak rozumnéj w świecie
By zrównać mogła duszy twéj przeczuciom,
Lub jednéj łzy wylanéj z twego serca.

(Słychać grzmiący głos za sceną).

KITTY BELL, zalękniona.

O Boże! jeszcze gniew, ten sam co wczoraj!
Ochłonąć muszę.

(pada na krzesło).

Burza nie daleka,
A wszystkie burze biją tu, aż w serce.

KWAKIER.

Już wiem co w głowie ma twój mąż i pan;
Z wyrobnikami swemi wciąż się swarzy.
Wysłali z Norton ośmiu do Londynu,
O przebaczenie dla jednego z nich.
Dwie mile pieszo, bez żadnego skutku! —
Oddalcie się; was trojga tu nie trzeba...
Ten człowiek was zamęczy... jest to sęp
Co własne gniazdo dziobem swym rozdziera.

(Kitty Bell wychodzi z jedną ręką na sercu, a drugą wsparta na głowie synka, którego wraz z Rachelką wyprowadza).

Scena II.

KWAKIER, JOHN BELL, ÓŚMIU WYROBNIKÓW za nim u drzwi stających.

KWAKIER, patrząc na wchodzącego Johna Bell.

Nachodzi bogacz i właściciel hardy,

Szczęśliwy przedsiębierca... to samolub!
Mąż sprawiedliwy podług praw, i siebie.

JOHN BELL do wyrobników, z gniewem.

Nie, nie, raz jeszcze! — Precz mi ztąd! Będziecie
Pracować więcéj; ja tak chcę i kwita.

JEDEN WYROBNIK, do towarzyszów.

A mniéj zarabiać; pan tak chce i kwita.

JOHN BELL.

Co! Niech się dowiem kto tak odpowiada,
Wypędzę go natychmiast, jak tamtego.

KWAKIER.

I słusznie Johnie Bell! wspaniałyś w gniewie
Jak król udzielny, gdy przed ludem stoi.

JOHN BELL.

Ty jesteś Kwakrem, więc ja cię nie słucham;
Lecz gdybym wiedział który się odzywa!
O, ten buntownik niema czci ni wiary!
I jakżem przyszedł do majątku mego;
Czym wyrobnikiem nie był tak jak wy?
Czym Norton kupił od jednego razu?
Choć wszystkie domy, choć przędzalnia moja,
Wszak dałem przykład pracy i rządności?
Powiedzcie sami; czym intraty rocznéj
Każdego dnia zarobkiem nie zasilał?
Czym kiedy był leniwym i rozrzutnym?
Tak czyniąc, każdy z was bogatym będzie.
Warsztaty moje płacę wam zmniejszają,
Lecz mnie przynoszą zysk; żałuję was,
A sam się cieszę: bo niech będą wasze,
I produkt ich do was należeć będzie.
Kupiłem je za pracę moich rąk;
Pracujcie więc, i szczędźcie tak jak ja! —
Pomnijcie na przysłowie naszych ojców:
„Pilnujcie grosza, szeląg sam się strzeże.“
A teraz już za Tobym się nie wstawiać;

Wygnałem go na dobre, bo zasłużył.
Precz ztąd, nie szemrać! bo kto jeszcze piśnie,
Z przędzalni mojéj razem z nim wyleci,
Bez chleba, pracy, domu i odzieży.

(Rzemieślnicy wychodzą).

KWAKIER.

Cóż dalej, Johnie Bell? I w parlamencie
Wymowniejszego głosu nie słyszałem.

JOHN BELL, wracając jeszcze rozdąsany i ocierając sobie czoło.

A ty, nie ufaj w to że Kwakrem jesteś
By wszystko psuć i mącić w koło siebie.
Choć rzadko mówisz, lepiéj milcz zupełnie. —
Bo słowa twoje w każdy czyn rzucone
Podobne są do pchnięć ostrego noża.

KWAKIER.

To tylko zdrowy rozum, i nic więcéj;
Ból głowy daje temu kto ją traci.
Lecz ja mych słów bynajmniéj nie żałuję;
Wrażenie ich jest wątłe i przelotne,
Po jednéj chwili nic się zostaje.

JOHN BELL.

Inaczéj sądzę; wiesz że lubię z tobą
Rozmawiać o pokoju lub o wojnie:
Lecz błędnie wszystko na swój łokieć mierzysz.
W kościele naszym Kwakry są wyjątkiem,
A tyś wyjątkiem w sekcie twéj wyłącznéj.
Synowcom cały swój majątek dałeś;
Prócz lichéj spłaty nic ci nie zostało,
I kończysz życie w myśli bez uczynku. —
Jeżeli ci z tém dobrze, zgoda na to;
Lecz nie pozwolę byś w mym własnym domu
Zachęcał do zuchwalstwa moich sług.

KWAKIER.

A w czém ci to zuchwalstwo szkodzić może?
Twych owiec bek czy nie pozwala ci

Ich wełnę strzydz lub krwawe mięso jeść?
Wszak wolno ci każdego pościel sprzedać?...
Czy każda matka nie wysyła dzieci
Schnąc, blednąc, kasłać nad przędziwem twojém?
Czy w ich istnieniu jest nie twoja chwila?
Czy każda potu kropla po szelągu
Ci nie przynosi? Norton, twa dziedzina,
Spoczywa w ręku twojém, jak w Karola
Wielkiego dłoni ziemski krąg jaśnieje.
Mocarzem jesteś lennéj twéj fabryki.

JOHN BELL.

To prawda, lecz to słusznie. — Ziemia moją,
Bo ją kupiłem; domy mą własnością,
Bom je zbudował; jéj mieszkańcy moi,
Bo mi czynszują; ich robota moją,
Bo za nią płacę: — więc, w obliczu prawa,
Jam sprawiedliwym.

KWAKIER.

Dobrze; a czy prawo
Jest sprawiedliwém przed obliczem Boga?

JOHN BELL.

Za takie słowa wisiałbyś niechybnie;
Lecz jesteś Kwakrem.

KWAKIER.

Sambym się powiesił,
Do ciebie gdybym mówić miał inaczéj;
Bo chociaż Kwakier, jam przyjaciel wasz.

JOHN BELL.

Od lat dwudziestu gdybym cię nie znał,
I gdybyś syna niebył mi wyleczył,
Już dawno, bracie, z domu byś wyjechał.

KWAKIER.

Tém gorzéj; bom uleczyć chciał i ciebie
Zaślepionego tą chciwością zysku,

Niemniéj jak dzieci wieku ich słabością. —
Chcę żebyś twego sługi nie wyganiał. —
Nie proszę cię; o! nigdy nie prosiłem,
Lecz radzę.

JOHN BELL.

Co się stało, to się stało. —
Dla czego wszyscy mnie nie naśladują?
Niech u nich wszystko służy jak u mnie. —
Czy ja do pracy żony nie napędzam?
Nie słychać jéj, lecz jest tu cały dzień;
Choć oczy spuszcza, wciąż zarabia niemi.
Przędzalnie po przedmieściach moim działem;
Niech ona téż folwarkiem tym zarządza,
Gdzie z końcem dnia zjeżdżają się lordowie
Po parlamencie, łowach lub przechadzce.
Na późniéj ztąd wysokie znajomości. —
I Toby był dość zręcznym rzemieślnikiem,
Lecz nie przezornym. — Każdy człek porządny
Zarobek w domu ze wszystkiego ciągnie. —
Żyjące rzeczy, jak i nieżyjące,
Powinny zysk przynosić. — Ziemia płodzi,
I pieniądz rodzi, z czasu grosz pochodzi. —
Kobiety żyją w czasie, jak my sami;
Więc oczywisty dochód ten marnuje
Kto żonie czas zostawia bez użytku. —
Że Toby swéj z córkami dał próżnować,
Dla niego szkoda; mnie to nie obchodzi.

KWAKIER.

On złamał sobie rękę, w twéj machinie.

JOHN BELL.

Ba! i machinę złamał.

KWAKIER.

A ja wiem
Że żal ci większy za stalową dźwignią,
Niż za ramieniem z ciała i krwi ludzkiéj.
Stalowe twoje serce jak machiny. —

Społeczność stanie się jak twoje serce;
Jéj bogiem złoty pręt, wyznaniem lichwa,
A szachraj żyd kapłanem i cesarzem. —
Nie twoja wina; ty rostropnie działasz.
Na świat przychodząc, takim go zastałeś,
I całkiem tego niemam ci za złe.
Tyś synem twéj epoki, przymiot rzadki. —
Lecz skoro mówić szczerze mi nie wolno,
Mam prawo czytać.

(bierze książkę i odwraca się na krześle).

JOHN BELL.

Widzisz go, braciszek!

(głośno, otwierając drzwi od pokoju żony).

Tu, mistress Bell!

Scena III.

CIŻ, KITTY BELL, DZIECI.

KITTY BELL trzymając za rękę dzieci, kryjące się pod jéj odzieniem.

Cóż, panie?

JOHN BELL.

Gdzie rachunki!
Ten młody człowiek co na górze stoi,
Pan Tom lub Tomasz... jak się tam nazywa,
Czy rychło się wyniesie?

KITTY BELL, biorąc rejestr ze stolika i przynosząc.

Na rejestrze
Zapisał Tom, nic więcéj. — Oto są
Rachunki dzienne, z przeszłych dwóch tygodni.

JOHN BELL, czytając.

Tyś mniéj porządna, Kitty, mniéj przykładna! —

(patrząc jéj w oczy, z wyrazem nieufności).

Ten mądry Tom po całych nocach ślęczy,
A lichą ma wyprawę. — W tém cóś jest, —

(przejrzawszy rachunki).

Ty źle się rządzisz.

KITTY BELL.

Zkąd ten wyrzut, panie?

JOHN BELL.

Czy pani nie wie?

KITTY BELL.

Cyfry źle dodane?

JOHN BELL.

Najszczersza kręci, jak przed psami lis.
Odpowiedz wprost, i patrz mi w oczy śmiało!

KITTY BEL.

Lecz cóż cię gniewa w tém co tu znajdujesz?

JOHN BELL.

Mię gniewa właśnie czego nie znajduję;
Ten brak mię dziwi...

KITTY BELL, zmięszana.

Lecz ja niewiem dobrze;
Wszak można przejrzeć.

JOHN BELL.

Za spojrzeniem jedném,
Widocznie zbywa pięć lub sześć gwinei.

KITTY BELL.

Racz mi wyjaśnić...

JOHN BELL, biorąc ją za ramię.

Wróć do siebie proszę;
Mniéj roztargnienia, a szczerości więcéj.—
Próżnują dzieci, ja nie lubię tego.
Mój dom w nieładzie, niczém się nie trudnisz.
Rachelka źle ubrana, prawie naga...
To wszystko nic do rzeczy.

(Rachełka biegnie ztrwożona do Kwakra).

BIBLIOTEKA W TORUNIU UNIWERSYTECKA

Idź, i czekaj;
Ten szereg dodać i przez siedm pomnożyć.

(wchodzi za żoną do sypialni i zamyka drzwi z łoskotem).

Scena IV.

KWAKIER, RACHELKA.

RACHELKA.

O, ja się boję!

KWAKIER.

Tak się będziesz bać
Przez całe życie, aż cię Bóg wyzwoli;
Bać męża kiedyś, jak dziś ojca twego.

(Czatterton wygląda z izdebki, i zwolna schodami zstępuje;— patrzy nieruchomy na starca i na dziecię).

O dziecię, igraj aż kobietą będziesz;
Aż dotąd śnij o niebie, o aniołach,
Zapomnij potém: o, zapomnij jeszcze!
Bo czego w życiu doznasz, tak jest różném
Od twoich snów, że żal ci po nich będzie.—
Ta ziemia nie jest rajem, lecz wygnaniem
Zkąd wzniosłe dusze tęsknią do ojczyzny.—
Baw się bez przerwy, nie rozmyślaj nigdy;
Myśl jest cierpieniem.— Co, ty płaczesz dziecię?
Ty chylisz główkę na mém łonie? Patrz,
Przyjaciel schodzi; witaj go z uśmiechem.

Scena V.

KWAKIER, RACHELKA, CZATTERTON.

CZATTERTON dając pocałunek Rachelce bieżącéj ku niemu, i ściskając rękę Kwakra.

Dzieńdobry ojcze, zbyt surowy radzco.

KWAKIER.

Nie dość jak radzca, a tém mniéj jak ojciec.
Twa dusza ciało trawi, masz gorączkę.
Ognista dłoń, a twarz jak całun blada.—
Jak długo myślisz żyć w podobnym stanie?

BIBLIOTEKA W TORUNIU

CZATTERTON.

O, jak najkrócéj! — Gdzie jest mistress Bell?

KWAKIER.

Czy życie twe nie przyda się nikomu?

CZATTERTON.

I owszem; wszystkoim cięży, jak i mnie.

KWAKIER.

Czy silnie wierzysz w to co mi powiadasz?

CZATTERTON, z cierpkim uśmiechem.

Jak ty, w braterską miłość i sumienie.

KWAKIER.

Czy dawno żyjesz? serce masz tak młode
Jak dziecka tego; a twój duch posępny
Już doświadczeniem stary, tak jak mój.

CZATTERTON.

Dziś kończę rok ośmnasty.

KWAKIER

Biedne dziecię!

CZATTERTON.

Oj biedne, prawda! — Dziecię? nie zupełnie...
Przeżyłem tysiąc lat.

KWAKIER.

Więc nieznasz jeszcze
Półowy złości ludzkiéj na tym świecie. —
Wszechwiedzą duszy jest cierpienie.

CZATTERTON

Zgoda!
Więc zemnie mądry starzec!... Ja myślałem
Że panią Bell tu znajdę. — Oto list
Pisany z wielkim trudem.

KWAKIER, czytając napis.

Do Beckforda!—
Tyś nadto dobry. Strzeż się tego synu.
Są ludzi dwa rodzaje; męczennicy
I kaci: los cię zrobił męczennikiem
Każdego z nich, jak matkę tego dziecka.

CZATTERTON, z nagłém uniesieniem.

Człowieka dobroć czyni zeń ofiarę,
Dopóki sam zezwala; dzień swobody
Jest w jego ręku.

KWAKIER.

Co przez to rozumiesz?

CZATTERTON całując Rachelkę, najtkliwszym głosem.

Czy mam to dziecię trwożyć? tuż przy matce!

KWAKIER.

Jéj matki ucho jest dotknięte głosem
Mniéj rzewnym jak twój głos; do niéj nie dojdzie.
(do siebie).
Już oto trzeci raz o nią się pyta.

CZATTERTON, wsparty na krześle na którém Kwakier siedzi.

Ty wciąż mię łajesz; lecz mi powiedz jeno
Czy się nie godzi iść za swym popędem,
I rzucić walkę przed znużenia chwilą?
Jam postanowił nie przylepiać maski
Na moją twarz; być tém czém Bóg mię stworzył,
Słuchając serca w gniewie lub zachwycie,
I dotrwać w przeznaczeniu aż do końca.
Czy mam udawać cnotę, ja chwiejący?
Surowym być, do pobłażania skłonny?
Pod mą srogością każdyby rozpoznał
Litości uśmiech; anibym potrafił
Zasłony dosyć gęstéj wdziać na duszę.—
Zdradzony zewsząd, o czém wiem oddawna,
Tak mało cenię siebie, świat i ludzi,
Że od téj zdrady bronić się nie raczę.

Zazdroszczę głupcom téj radości dzikiéj
Że mię podstępem grubym chcą pokonać;
Zdaleka patrzę jak stawiają sieci:
A niechcę skłonić głowy, by choć jedną
Ich nić rozerwać, tak nie dbam o życie.
Zemszczony dosyć jestem ich podłością
Co w oczach własnych wznosi mię nad siebie,
I czekam chwili gdy nas Bóg rozsądzi.
Czy niemiał celu tworząc ich i mnie?
Czy ja natury prawa mam przetwarzać?
Czy moją rzeczą, kłam zadawać Twórcy?

KWAKIER.

Marzenie w tobie już zabiło czyn.

CZATTERTON.

Cóż z tego, gdy godzina w tém marzeniu
Dzieł więcéj płodzi, niż dwadzieścia dni
Czynności drugich? Sądź pomiędzy nami;
Czy praca ciała jedną dla człowieka?
Czy myśli trud niegodzien choć litości?
Czy sztuka liczb najwyższą sztuką ducha?
Czy Pytagoras jest stworzenia bogiem?
Czy mam powiedzieć duszy méj natchnieniom:
Nieschodźcie z nieba, wyście nie potrzebne?

KWAKIER.

Fatalném piętnem skroń ci naznaczyły...
Ja cię nie ganię, lecz nad tobą płaczę.

CZATTERTON, siadając.

Mój dobry Kwakrze, w twém myślącém bractwie,
Czy jest opieka nad katuszą myśli?
O, ja tak sądzę! tyś dla wszystkich ostrym,
A mnie pobłażasz; to mię z życiem godzi.

(Rachelka siada na kolanach Czattertona).

Od trzech miesięcy prawiem tu szczęśliwy;
Nikt o mnie się nie troszczy, ledwie zna,
I piękne dziatki na kolanach pieszczę.

KWAKIER.

Ja lubię cię za twój poważny rozum.
Tyś godzien zasiąść w sekty méj zebraniu,
Gdzie wrzask papistów przed obrazem złotym
Ni śpiew dziecinny lutrów nie dochodzi.
Ja lubię cię, bo świat cię nienawidzi.
Marząca dusza jest ciężarem wszystkim
Ruchawym głupcom co trząsają ludźmi.
Tęsknota, czułość, są to dwie choroby
Dla których żaden gap nie miał litości! —
Ty ani wiesz nazwiska tajnych wrogów
Krążących koło ciebie; lecz ja wiem
Że cię nie cierpią, bo cię znać nie mogą.

CZATTERTON, z zapałem.

Czy niemam prawa do miłości braci,
Ja który dzień i noc dla nich pracuję?
Com z takim trudem w gruzach méj ojczyzny
Rozkrzewił piękny kwiat poezyj dawnéj,
Chcąc nowy blask zaszczepić na koronie
Téj wspólnéj matki? ja, co w tylu morzach
I w tylu rzekach perły téj szukałem?

(Rachelka porzuca Czattertona, siada przy Kwakrze na krzesełku i przegląda ryciny).

Ach, gdybyś znał me prace!... Prerobiłem
Mój kąt w klasztorną celę; myśl i życie
Świętością przyodziałem; wzrok stępiłem,
Zaćmiłem dlań oświaty naszéj słońce,
By z prostszém sercem łatwiéj się nauczyć
Dziecięcéj mowy tych spłynionych lat.
Pisałem jak król Harold do Wilhelma,
Jak Sas do Franka, wierszem dwu-plemiennym;
Tę muzę wpół zakonną, na ołtarzu
Jak świętą postawiłem.— O! ci ludzie
Strzaskaliby ją pewnie, gdyby doszli
Że z ręki méj stworzona: czcili ją,
Jak utwor mnicha co nie istniał nigdy,
Któregom ochrzcił Sasem i Rowleyem.

KWAKIER.

Zabijać żywych, a umarłych wskrzeszać,
To ich uciecha.

CZATTERTON.

Przecież, ktoś wyjawił
Że książka ta jest moją. Zniszczyć późno;
Więc żyć jéj dano. Lauru liść zyskałem,
A z lauru nikt nie żyje.— Ja, poeta,
Daremnie chciałem nagiąć się do czynu;
A pisać jest jedyném mém rzemiosłem.
Bez skutku wziąłem się do ścisłych prac.—
O, niech ci ludzie Bogu raz przebaczą
Że tak mię stworzył!— Czy to zbytek sił,
Czy też haniebna słabość, nie wiem sam.—
Lecz nigdy w ciasnych i wytkniętych groblach
Nie mogłem ująć myśli méj powodzi,
Swe brzegi rwiącéj jak wezbrany prąd.
Niezdolny w żółwich czołgać się działaniach
Codziennych rachub, sam się ich wyrzekłem.
Uznawszy cyfr zwycięztwo nad mą duszą,
Powziąłem zamiar ciałem mém zarabiać.—
Niestety, bracie! znów upokorzenie,
Znów cierpka boleść!— Ciało, od dzieciństwa
Strawione żarem idei bezsennéj,
Choć od najlżejszéj wzbrania się roboty.

(coraz gwałtowniéj).

Stu Herkulesów choćbym moc posiadał,
Pomiędzy mną a pracą wiecznie stoi
Ta współzrodzona, ta złośliwa wróżka,
Zapewne w méj kolebce znaleziona,
Poezya, rozmarzenie!— Ta mię ściga,
Czaruje świat i kirem swym pokrywa,
Kolejno w raj lub piekło mię unosi;
Oddaje wszystko, wszystko mi wydziera:
W niéj me zbawienie, w niéj i zguba moja!

KWAKIER.

Co teraz robisz?

CZATTERTON.

Nic... Harolda piszę.—
Dla czego? niewiem... Pewnie bo tak trzeba.

(pada na krzesło; i już niesłuchając odpowiedzi Kwakra, patrzy na Rachelkę i przywołuje ją do siebie).

KWAKIER.

Choroba nie do wyleczenia.

CZATTERTON.

Moja?

KWAKIER.

O nie! ludzkości.— Sercem twém się rządząc,
Litujesz się nad temi co ci mówią:
Nie bądź poetą;—ja, słuchając głowy,
Pogardzam niemi; bo ci mówić chcą:
Zejdź nam od słońca, tu nie twoje miejsce.
Niech ich kto chce wyleczy. Jam bezsilny;
Lecz ich przynajmniéj chłostać nie przestanę.

CZATTERTON głośno do Rachelki, z którą po cichu rozmawiał podczas odpowiedzi Kwakra.

Gdzie moja biblia? gdzie mamunia twoja?

KWAKIER, wstając.

Wyjdź ze mną.

CZATTERTON.

Gdzie ta książka, miss Rachelko?

KWAKIER.

Pan znowu burczy.

JOHN BELL, za sceną.

Nie, ja tego nie chcę.—
To być nie może.— Na to nie pozwolę.

KWAKIER do Czattertona, biorąc śpiesznie kapelusz i laskę.

Twe oczy zaszły krwią od nocnéj pracy;
Chodź na przechadzkę. Ranek cię ochłodzi.

CZATTERTON, czekając wejścia Kitty Bell.

I ona także jest ich męczennicą.

KWAKIER.

Cóż ci do tego? Niech tu nie zastanie
Nikogo, płacząc. Daj klucz od twéj celi. —
Niech sama znajdzie. Na domowe kłótnie
Nie trzeba zważać. — Chodźmy więc. — To ona.

CZATTERTON.

Jak szlocha, biedna! Nie, ja płaczu jéj
Niemogę znieść.

(wychodzą).

Scena VI.

KITTY BELL, RACHELKA, JOHN BELL.

KITTY BELL, odsyłając Rachelkę do swego pokoju.

Rachelko, idź do brata.
Za chwilę przyjdę.

(do męża, ze łzami).

Proszę cię i błagam
Po tysiąc razy, nie wymagaj więcéj
Bym ci wyznała zkąd ten brak pochodzi;
Czy sześć gwinei znaczy cóś u ciebie?
Wszak mogłam je utaić bez trudności
Zmieniając kilka liczb; lecz ja nie skłamię
O moje dzieci choćby mi chodziło.
Wolałam prosić cię o dzień lub dwa,
I milczeć; gdyż nie mogę prawdy mówić
Ni skłamać bez występku.

JOHN BELL.

Odkąd ksiądz
Połączył nasze ręce przed ółtarzem,
Jam jeszcze cię nie widział tak upartą.

KITTY BELL.

Sądź więc jak święty powód mię zniewala.

JOHN BELL.

Lub też... zbrodniczy.

KITTY BELL, z oburzeniem.

Ach! nie myślisz tego.

JOHN BELL.

Kto wie.

KITTY BELL.

Miéj litość nad służącą twoją!
Ty mię zabijasz.

JOHN BELL.

Ba! mocniejszą jesteś
Niż sama sądzisz.

KITTY BELL.

Temu zbyt nie ufaj...
Na dzieci cię zaklinam!

JOHN BELL.

Dosyć tego.
Gdzie tajemnicę, tam i grzech znajduję.

KITTY BELL.

A jeśli właśnie spotkasz czyn litości,
O, żal ci będzie!

JOHN BELL.

Czemu z nim się kryjesz?

KITTY BELL.

Bo twoje serce tak już skamieniało
Że nie uwierzy gdy ci go wyjawię,
I nie dozwoli mi mojego słuchać;
A kto ubogim, ten i Bogu daje.

JOHN BELL.

Na dobry procent grosz pożyczać wolę.

KITTY BELL.

Niech Bóg uczucia takie ci przebaczy!

JOHN BELL, przechadzając się niecierpliwie.

Zbyt wiele czytasz od pewnego czasu;
W kobiecie narów ten jest tylko śmieszny,
W mężczyznie to coś więcéj: bo mężczyzna
Powinien żyć przez siebie nie przez innych. —
Inaczéj jest nie pszczołą, lecz szerszeniem...
Czy chcesz być literatką?

KITTY BELL.

Ach, mój drogi!
Więc będziesz mną pomiatać za to tylko
Żem pierwszy raz cię ślepo nie słuchała?
Niewiastą jestem prostą i ułomną;
Chrystusa słowo, to nauka moja.

JOHN BELL.

Znać je a niewypełniać, to zgorszenie.

KITTY BELL.

Daj mi choć tydzień, bym rachunki zdała;
A pierwsze słowo z moich ust do ciebie,
Błagalném słowem będzie za tę zwłokę.
Za drugiém wszystko, wszystko ci wyjawię.

JOHN BELL.

Ja chcę byś nic przedemną nie taiła.

KITTY BELL.

Bóg wie, że w życiu mém i chwili niema
Za którąbym powinna się rumienić.

JOHN BELL.

A jednak dotąd jam o wszystkiém wiedział.

KITTY BELL.

Do kłamstwa często zmusza nas obawa.

JOHN BELL.

Więc umiesz kłamać?

KITTY BELL.

Będąc czém mię sądzisz,
Czy taką prośbą trudzić bym cię chciała? —
Tyś srogim dla mnie sędzią.

JOHN BELL.

Niezbłaganym!
Gdzie są pieniądze?

KITTY BELL.

Jutro ci odpowiem.

JOHN BELL.

Więc dziś nie będę już się dopominać.

KITTY BELL, całując mu rękę.

Tyś znów jak dawniéj, dobry! — Bądź nim zawsze.

JOHN BELL.

Już dosyć, dosyć! czekam aż do jutra.
(wychodzi).

Scena VII.

KITTY BELL, sama.

Dla czego, gdym dotknęła jego ręki,
Uczułam żal na książki téj wspomnienie,
I skryta w sercu mém powstała trwoga?
(rozmyśla).
Ja oddam ją. Sumienie to głos Boga.
(wychodzi wolnym krokiem).

Akt II.

Scena I.

KWAKIER, CZATTERTON.

CZATTERTON wchodząc spiesznie, jak gdyby uciekał.

Schroniłem się nareszcie.

KWAKIER.

Co za szał!

CZATTERTON.

Ja wiem co czynię.

KWAKIER.

Przed kimże uciekasz?

CZATTERTON, niespokojny.

Ten jeździec mię nie widział?

KWAKIER.

Ani razu
Nie raczył się odwrócić. Pędził czwałem,
A za nim dobrym kłusem dwa dżokeje.
Lecz cóż w tym młodym lordzie tak strasznego?

CZATTERTON.

Czyś tylko pewien że nie poznał nas?

KWAKIER.

Przysięgać jest bezbożnie, lecz zaręczam,

CZATTERTON.

Oddycham więc. — Ty nie wiesz, to lord Talbot,
Przyjaciel mój!

KWAKIER.

Cóż z tego? Wszak przyjaciel
Od obcych ludzi w niczém się nie różni.

CZATTERTON przechodząc się, zasępiony.

Gorszego nic mi trafić się nie mogło.
Przytułek mój poznany, spokój zdjęty,
Zdradzone imie.

KWAKIER.

Wielkież to nieszczęście!

CZATTERTON.

Czy wiesz kto jestem?

KWAKIER.

Wiem żeś dziki bardzo;
Że tak się kryjąc, ujdziesz za złoczyńcę.
Dziecinnie bać się ludzi, bliźnich twoich.

CZATTERTON.

Potrzebniem z tobą wyszedł.

KWAKIER.

Cóż to szkodzi?
Bez tego kiedyś musiałby cię poznać;
Wracając z łowów często tu przybywa.

CZATTERTON.

On sam?

KWAKIER.

Zazwyczaj w swych przyjaciół gronie.

CZATTERTON.

Więc wszędzie przyjaciele, jak na złość!
Spokojnie nigdzie głowy méj nie złożę.

KWAKIER.

Ten wiele już ucierpiał kto tak mówi.

CZATTERTON, z niechęcią.

Tyś jeszcze nigdy tak nie zwalniał kroku.

KWAKIER.

Łaj mię za twoją rozpacz. W téj przechadzce
Nic zająć cię nie mogło. Biedne dziecię!
Przyroda cała martwa przed twém okiem.

CZATTERTON.

Czy mistress Bell jest bardzo świątobliwą?
Widziałem w ręku jéj nabożną książkę.

KWAKIER, porywczo.

Mnie nic do tego. Kitty jest małżonka
Przykładna, bogobojna i cnotliwa;
Co jéj po książkach?
(do siebie).
Gdzie on myślą goni!
O czém śmie marzyć? Raczéj niech utonie
Nim chwyci tę gałązkę. —
(głośno).
Kitty Bell
To zimna dusza; prócz słabości dziatek
Nic jéj nie dręczy. Znam ją od kolebki.

CZATTERTON.

A ja zakładam się o sto gwinei
Że to spotkanie wróży mi nieszczęście.

KWAKIER.

A w jaki sposób?

CZATTERTON.

W jaki? Nie wiem sam.

Lecz się to spełni, rychło i niechybnie.
O jeśli Kitty ma pokochać kogo,
Niech sobie w łeb wypali, nim ją zwiedzie.
To byłoby nikczemnie, czy nie prawda?

KWAKIER.

Więc każdą myślą lecisz do zwątpienia?

CZATTERTON.

Nieszczęście nieuchronne mię otacza.
Przeczuwam je, do niego już przywykłem.
Daremna walka! Sam to będziesz widział;
Napatrzysz się do woli. — Tum chciał spocząć,
Lecz tu mię wróg doścignie.

KWAKIER.

Jaki wróg?

CZATTERTON.

Zwij go jak chcesz; konieczność, los, przypadek:
Rzecz jedna w trzech. — Czy wierzysz w przeznaczenie?

KWAKIER.

Czy wierzysz w Boga?

CZATTERTON.

Wiem o co się lękasz. —
Spokojnym bądź. Jak dziecko jam bezbronny.
(idzie ku niemu i za rękę chwyta).
Nieszczęścia mego nie chcę wnieść w jéj dom. —
Widziałeś nędznych którym trąd lub dżuma
Rozdarła piersi? Pierwsza myśl twa była
Usunąć ich od pomieszkania ludzi. —
Odepchnij mię lub zostaw mię samego.
Ja sam się struję nim zarażę drugich
Truciznę méj niedoli.
(słychać róg myśliwski i trzaskanie z harapów, jak po zaczętych łowach).
Patrz na rynku,
Odyńca samotnego już stropili!

Scena II.

CIŻ, JOHN BELL, KITTY BELL.

JOHN BELL, do żony.

Nie dobrze, Kitty, żeś mi znać nie dała
Że mamy w domu tak zacnego gościa.

(służący zastawia herbatę).

KITTY BELL.

Czy tak, w istocie? Sama nie wiedziałam.

JOHN BELL.

I wielmożnego! Milord mi oznajmił
Że Czatterton jest jego przyjacielem,
Co w ścisłém incognito kryć się chce.

KITTY BELL.

A więc on nie jest biednym? — Ach! tém lepiéj.
Lecz mówić z nim nie będę. Odejść muszę.

JOHN BELL.

Zaczekaj. Proś go na herbatę z nami;
Lordowi Talbot to przyjemném będzie.

(siada na lewo, przy zastawionéj herbacie).

KWAKIER do Czattertona, chcącego wychodzić.

O tobie mowa, słuchaj.

KITTY BELL, do Kwakra.

Racz zapytać
Czy niechce siąść do stołu z naszą dziatwą?

KWAKIER.

Napróżno go zapraszać, on nie przyjmie.

KITTY BELL.

Mój mąż tak chce.

KWAKIER.

Mąż panem w swoim domu. —

(do Czattertona).

Ci państwo mi zlecili prosić gościa,
By raczył pić herbatę z ich rodziną.

(na stronie).

Nie trzeba przyjąć; to z rozkazu męża,
Lecz się jéj saméj rozkaz nie podoba.

JOHN BELL czytając dziennik, do Kitty Bell.

Czy zaproszony?

KITTY BELL.

Doktor mię wyręcza.

CZATTERTON, do Kwakra.

Do siebie wracam.

KWAKIER, do Kitty Bell.

Gość do siebie wraca.

KITTY BELL, do Johna Bell.

Pan Czatterton do siebie wraca.

JOHN BELL, zdejmując okulary.

Tfu!
Poeta; niechże wraca zkąd przychodzi.

(bierze się do herbaty).

CZATTERTON, do Kwakra.

Sam bym odmówił, bo z litości proszą.

(chce odejść, Kwakier go wstrzymuje. — Służący przyprowadza dzieci, i sadza na prawo przy matce; John Bell tyłem do sypialni, Kwakier w pośrodku).

Scena III.

CIŻ, LORD TALBOT, LORD LAUDERDALE, LORD KINGSTON, TRZÉJ MŁODZI LORDOWIE, wszyscy w stroju myśliwskim.

LORD TALBOT, trochę podpiły.

Gdzie jest przyjaciel mój, kolega szkolny?
To on, on sam! Ukłońcie się panowie!

(Lordowie się kłaniają).

A cóż u djabła robisz w téj pustyni?

Tyś nas opuścił? Wszystko więc skończone?
Ty gardzisz nami za to żeś uczony,
Żeś nieśmiertelny? Prawda że w Oxfordzie
Prócz gry na pięści małom się nauczył;
Lecz nie wzgardziłem przeto twą przyjaźnią. —
Panowie, czapki! to przyjaciel mój!...

(Lordowie się kłaniają).

CZATTERTON, przerywając.

Milordzie...

LORD TALBOT.

Nasz przyjaciel, Czatterton!

CZATTERTON podając mu rękę, z powagą.

Więc jeszcze, Jerzy, mierzyć słów nie umiesz?

LORD TALBOT.

Czy cię to smuci? — Oto jest, panowie,
Ów sławny mąż, erudyt i poeta;
Jam w szkole wyższéj był spółuczniem jego!

(Lordowie się kłaniają).

CZATTERTON.

Już dość!

LORD TALBOT.

O twym talencie nie wiedziałem.
A chytry, jak mię złapał! — Oto są
Lordowie młodzi Lauderdale i Kingston;
Na pamięć oba znają pieśń Harolda.
Jeżeli chcesz być z nami na wieczerzy,
Ich dobry smak ci wielce się spodoba.
Sam Garrick na Pegazie tak nie jeździ. —
Żałuję że myślistwo cię nie bawi,
Bo klacz Rebekę byłbym ci pożyczył,
Kupioną niegdyś od rodzica twego.
Wiesz że po łowach zawsze się tu schodzim;
Wypijem wasze zdrowie... Cóż u licha!
Czyś ty w żałobie?

CZATTERTON, smętnie.

Tak, po moim ojcu.

LORD TALBOT.

Stuletni starzec! Jesteś więc dziedzicem.

CZATTERTON, z goryczą.

A tak! wszystkiego co przy śmierci miał.

LORD TALBOT.

Jeżeli dotąd sypiesz tak pieniędzmi
Jak dawniéj w szkole, to ci cześć przyniesie;
Choć już w Oxfordzie trocheś był odludnym.
Ja téż zaprawdę takim sam się staję.
Mam spleen godzinę, lub najwięcéj dwie. —
A, mistress Bell! Nadobna purytanko,
Dziś jeszcze rączki sam mi nie raczyłaś!
To źle być purytanką; bom ci chciał
Polecić gościa i spółucznia mego.

JOHN BELL, do żony.

Odpowiedzże! — Milordzie, godność wasza
Przebaczyć raczy; żona tak nieśmiała!
(do Kitty).
Dla tego pana bądź grzeczniejszą trochę.

KITTY BELL.

Nie wątpi milord, że mój mąż ma względy
Dla wszystkich gości w domu tym bawiących.

JOHN BELL.

Czy milord wierzy, że od trzech miesięcy
Jak pan tu mieszka, głosu jéj nie słyszał?

LORD TALBOT.

Z téj nieśmiałości trzeba ją wyleczyć.
Ty, Czattertonie, bądźże jéj lekarzem.

KWAKIER, siedząc.

Od pięciu minut bawisz tu, młodzieńcze;
A wszystko coś powiedział, nic do rzeczy.

LORD TALBOT.

Cóż to za zwierz? Podobnych mało w lesie.

JOHN BELL.

Milordzie, to nasz Kwakier, z przeproszeniem.

(Śmiech ogólny).

LORD TALBOT.

A, prawda! Kwakier! Cieszmy się, panowie!

(patrząc przez szkiełko).

Zwierzyny takiéj jeszcześmy nie szczuli.

(Śmiech głośniejszy).

CZATTERTON spiesząc do lorda Talbot, półgłosem.

To wszystko, Jerzy, nadto nie rozważnie;
Przypomnij sobie Primrose-Hill! Ty wiesz
Że mój charakter żartów tych nie znosi...
Jak wrócisz z pola, mam ci coś powiedzieć.

LORD TALBOT, osłupiały.

Czy znowu duet na krucice? Zgoda!
Lecz jam był pewien że ci to przyjemnie.
Czym cię obraził? Prawda, że dziś rano,
Wsiadając na koń, piliśmy strzemienne.
I cóż w tém złego? Widzę co się święci.
Gospodę pewnoś przyjął, dla gosposi.

CZATTERTON.

Milordzie! dość już tego, ani słowa!

LORD TALBOT.

A, w złym humorze pan dziś rano wstał?
Nie dawaj mu zielonéj pić herbaty,
Bo mógłby zginąć, ręka by mu drżała.
Wszak szkoda, mistress Bell?

KITTY BELL, do siebie.

Jak on bezczelnie
Do mnie przemawia!

LORD LAUDERDALE, ściskając rękę Czattertona.

Przyjm usługi moje;
Piosenki pana mocno mię bawiły.

CZATTERTON.

Czy tak? bawiły?

LORD LAUDERDALE.

Tak; i cieszę się
Żeś pan tu osiadł. Lepiéj mu się wiedzie
Niż Talbotowi; zakład mój wygrany.

LORD KINGSTON.

Daremnie złotem męża trzos ładuje,
On nie dostanie Kasi... czy tam Kitty.

CZATTERTON.

Więc milord zna spieszczone jéj nazwanie?

KITTY BELL, do siebie.

Czy jeszcze? Przed nim palcem mię wskazują!

LORD KINGSTON.

I dla Jerzego byłaby łaskawszą;
Lecz pan tak zręcznie dałeś mu od kosza!
Nasz Jerzy zresztą gniewać się nie będzie;
On złości nie ma. — Czy pan dziś cierpiący?

CZATTERTON.

Tak, zwłaszcza teraz.

LORD TALBOT.

Dość, panowie, dość!
Ten pan u siebie.

DWAJ DŻOKEJE, wchodząc.

Konie są gotowe.

LORD TALBOT, trącając Johna Bell po ramieniu.

Mój mości Bell, na honor, nigdzie wina

Francuzkie i hiszpańskie nie są lepsze
Niż u nabożnéj małéj twéj gosposi.
Wypijem je wracając; a niech wezmę
Sforami w skórę, jeśli nie przyniosę
Dziesięciu lisów, dla niéj, na futerko. —
Odprowadź nas. — Ty, Lauderdale, idź przodem.
Tu zjazd wieczorem, jeśli mi Rebeka
Nie skręci karku. Więc na koń!

LORDOWIE.

Na koń!

JOHN BELL, do Czattertona.

Ach, panie! co za szczęście pana znać!
(ściska mu rękę aż do wyłamania).
Dom cały na usługi.
(do wychodzącéj Kitty Bell).
Ależ, Kasiu,
Piękniejszy pokój, droższy trzeba mu dać.
Pogadaj z panem.

KITTY BELL.

Dzieci mię czekają.

JOHN BELL.

Nie; zostań, bądź uprzejmą, ja tak chcę!

CZATTERTON, do Kwakra.

Wychodźmy ztąd. Ostatnie me schronienie
Zdobyte gwałtem; mir i spokój błogi
Wtrącony w przepaść, i zawistne światło
Wrzucone w moją noc, o to męczarnia!
Wszak ci mówiłem? Chodźmy ztąd czémprędzéj.

JOHN BELL.

Doktorze, proszę; pan zostanie z żoną.
Koniecznie chcę z doktorem się rozprawić,
Pojednać go z milordem.

KWAKIER.

Ja zostaję.

(Wszyscy wychodzą. — Kwakier w pośrodku sceny siedzący, obok niego Czatterton i Kitty stoją zadumani).

Scena IV.

CZATTERTON, KWAKIER, KITTY BELL.

KWAKIER, trzymając rękę Czattertona w jednéj swojéj a drugą przykładając mu do serca.

Niewinne, młode serca nie umieją
Niechęci taić dla powszednich ludzi. —
Mój drogi synu, mój nieszczęsny synu,
Samotność często zgubną jest rozkoszą.
W téj górnéj sferze, trudno znieść poziome
Ludzkości tchnienia. Życie jest to burza;
W niéj trzeba się przyswoić do żeglugi. —
Wszak się nie godzi, mistress Bell, by żeglarz
W tak młodym wieku wzdychał do przystani?
Zostawiam was, wyłajesz go do woli.

KITTY BELL, zmięszana.

Ach, zostań, ojcze! Mąż mój wnet powraca,
I chce się z nim rozmówić sam na sam.
Pan musi tęsknić do przyjaciół swoich?
Mnie dziwi nawet że nie poszedł z niemi.

CZATTERTON, do siebie.

Chce mię odesłać.

KWAKIER, do Kitty Bell.

Zgiełk ich ci dokuczył?

KITTY BELL.

Ich zgiełk i myśli! Pan je zna zapewne?

CZATTERTON, do siebie.

Odgadła ich i gniewna! Co za zmiana!

KITTY BELL do Kwakra, tłumiąc oburzenie.

Nie dość samotną żyłam, dla tych panów.

KWAKIER.

Niech ich szaleństwa zbytnie cię nie troszczą.

KITTY BELL.

Tę książkę w ręku córki méj znalazłam.
Od pana może wzięła ją niebacznie?

CZATTERTON.

Istotnie, moją była; i żałuję
Żem się jéj pozbył, dając ją Rachelce.

KITTY BELL, do siebie.

To dar był szczery, dar nieoceniony!
Ach! nieśmiem teraz przyjąć jéj, ni zwrócić.

KWAKIER, do siebie.

Zakłopotani mocno są oboje.
(chowa biblią do kieszeni, patrząc półokiem na ich zmięszanie; — do Czattertona).
Milcz, ani słowa; widzisz łzy w jéj oczach.

KITTY BELL, spokojniéj.

Znajomi pana bardzo cóś ucieszni.

KWAKIER.

On ich nie ściągnął; zacóż mu wymawiać?

KITTY BELL.

Pan Czatterton ich może tu nie czekał.

CZATTERTON.

Spojrzenie wroga, niech to pani wierzy,
Znośniejszém by mi było, niż ich twarze.

KITTY BELL.

Tak dobrze znają pana; my, tak mało!

KWAKIER do Czattertona, półgłosem.

Zranili ją w głąb serca, o nikczemni!

CZATTERTON.

A mnie?

KITTY BELL.

Pan dawno zna ich obyczaje;
Jak oni też, zamiary jego znając,
Pobytu z nami dobrze nie tłómaczą.

KWAKIER, wstając.

Przekleństwo téj szarańczy plądrującéj
Po obcych polach, a na świecie zwanéj
Dobrego tonu ludźmi! toż ich dzieło!
Próżniacy! w jednym dniu tak wiele szkody!

CZATTERTON, sadzając go.

Nie wychodź, w imie Boga, nim się dowiem
Com jéj zawinił. To mię trapi srodze.

KITTY BELL.

Mój mąż mi zlecił spytać go, czy niechce
Droższego mieć w tym domu pomięszkania.

CZATTERTON.

Do mych zamiarów moje mi wystarczy.

KITTY BELL.

Lecz tając swe zamiary, można wreszcie
Bojaźni więcéj wzniecić niż zajęcia;
Ja zaś...

CZATTERTON.

Co, pani?

KITTY BELL.

Sądzę...

KWAKIER.

Cóż takiego?

KITTY BELL.

Że ci panicze słusznie się dziwili
Iż pod tak skromnym dachem jak jest nasz,
Pan ukrył życie swoje i nazwanie.

KWAKIER, do Czattertona.

Do serca tego nie bierz; ona mówi
Żeś nie wyglądał za przybyciem twojém
Na podczaszego tych rozkłutych dzbanów.

CZATTERTON, z powagą.

Nie byłbym wchodził, gdyby mię spytano
O mój majątek, imie i tok życia...
Spytany dzisiaj, wyszedłbym podobnie.

KWAKIER.

Masz; niema pycha złe domysły płodzi.

CZATTERTON zrywając się do odpowiedzi, wstrzymuje się nagle i woła.

Cóż jeden cierń w męczeńskim wieńcu znaczy!
(uchodzi spiesznie).

KITTY BELL, z przestrachem.

O Boże! czemu tak ucieka nagle?
Czy pierwsze moje słowa go zraziły?...
Wszak on mi obcy!... Po co tu się schronił?...
Ja nie pojmuję, lecz chcę wiedzieć czemu
Cierpiemy wszyscy przezeń lub dla niego!
Com ja mu winna i téj całéj zgrai?
Czyś był powinien do mnie go sprowadzać? —
Ja kryć się muszę przed nim i przed niemi!
O gdybym nigdy ich nie była znała!

KWAKIER, smętnie i niecierpliwie.

Coś chciała mówić, mnie to mówić było.
Już niema dla mnie smutku i zniewagi;
Lecz jemu, co za błąd!

KITTY BELL.

Słyszałeś, ojcze,
Tych młodych panów? — Jak ci ludzie śmieją
I mają władzę mącić tak me życie
Któremu sam Zbawiciel błogosławi! —
Tyś jest mężczyzną lepszym od tych ludzi,
Poważnym, słodkim i wierzącym w duszę;

Więc powiedz mi jak żona żyć powinna,
I w jakiéj puszczy ma się skryć przed światem?
Spuszczałam wzrok ku ziemi; rozciągnęłam
Nad życiem mém samotność jak zasłonę,
A oni ją rozdarli, podeptali.
Myślałam że sam Bóg o mnie pamięta,
A jestem znana tak jak ich kochanki.
Bez jednéj plamy chciałam żyć, umierać,
A jakiś zakład o mą cześć się toczy!
Cóż mi pomoże ta zakonna cisza,
I jaka matka świętą jest przed ludźmi,
Jeżeli dosyć téj szyderskiéj bandzie
Raz widzieć ją, przypadkiem, na swéj drodze,
By porwać razem imie jéj i sławę,
I grać jak w piłkę z rąk do rąk rzucaną?

(głos jéj w płacz przechodzi).

Ach, drogi ojcze, zlituj się nad nami!
Niech oni nigdy, nigdy tu nie wrócą!

KWAKIER.

Kto?

KITTY BELL.

Oni wszyscy... wszyscy.

KWAKIER.

I on także?

KITTY BELL.

I on... szczególniéj.

(szlocha).

KWAKIER.

Więc go zabić chcesz?

KITTY BELL, z żywością.

Ja... Coś powiedział? Ja go zabić mam! —
Ja cobym chciała... O przedwieczny Boże!
Ty do którego dzień i noc się modlę,
Ty wiesz, o panie, czy mu śmierci życzę!
Ja błagam cię, a niewiem czy mię słuchasz;

Otwieram serce, czy ty czytasz w niém?
A jeśli w nie spozierasz, niewiem jeszcze
Czyś mi przebaczył, czym twéj łaski godna!
Ach, czemuż dzieckiem ojciec mię zostawił!...
(biorąc rękę Kwakra).
Do rzymskiéj wiary czasem téż mi tęskno,
Jedynie dla spowiedzi. Spowiedź święta
To wynurzenie serca przed Chrystusem;
Lecz przebóstwione... mnie spowiedzi trzeba!

KWAKIER.

Jeżeli głos sumienia i modlitwa
Nie dość cię wspiera, zbliż się córko do mnie!

KITTY BELL.

Wyjaśnij mi tę trwogę mimowolną
Na widok jego w sercu mém sprawioną;
Dla czego patrząc nań, ach! patrząc tylko!
Łzy ronić muszę?

KWAKIER.

O niewiasto biedna!
Niewiasto słaba! zakryj łzy i trwogę,
On sam powraca.

KITTY BELL.

Boże! jak zmieniony!

CZATTERTON wpada jak szalony, z odkrytą głową. — Przebiega pokój niewidząc nikogo, i mówiąc bezładnie.

...A z resztą, skarby te czy ich własnością?
Tak jak ten pokój moją. — Świat jest słowo. —
Na wiarę można wygrać go lub przegrać
W minucie jednéj. Nikt z nas niema więcéj
Nad sześć stóp ziemi, stary Will to mówi. — *)
Na zawołanie oddam wam izdebkę;
Mnie innéj trzeba, lecz ciaśniejszéj jeszcze.
Jam czekać chciał na skutek tego listu;
Już niedoczekam.
(pada na krzesło).

*) William Shakespeare.

KWAKIER powstawszy ku niemu, ręką obejmując głowę, półgłosem.

Wstrzymaj się w zapędzie. —
Uspokój wrzącą głowę. Niech ten szał
W milczeniu przejdzie; nietrwóż nim lękliwéj
A tobie obcéj, synu, téj niewiasty.

CZATTERTON zrywając się na wyraz „obcéj“ z drgającym przekąsem.

Obcemi teraz wszyscy mi na świecie.
Przed każdym muszę kłaniać się i milczeć.
Mnie mówić nieprzystojnie i zuchwale;
Przepraszam ich pokornie za ten błąd...
W tym domu chciałem parę chwil wypocząć,
Choć dla sklejenia kilku stron ulotnych;
A którem winien odnieść, jak czeladnik
Zrównany pień majstrowi musi zdać. —
Jam wyrobnikiem słowa i nic więcéj. —
Pracowni szerszéj już mi niepotrzeba;
Pan Bell zbyt czuły na przyjaciół mowy.
Lord Talbot ma tu prawo być kochanym. —
Lecz jego przyjaźń dla mnie, to błazeństwo.
Ten żart spoczywa na fałszywéj myśli,
Niezdolnéj przeżyć jedno me wyznanie;
Na mylnéj cyfrze, którą przy wieczerzy
Wystrzałem jednym z głowy mu wykreślę.
Już ją mój ojciec porwał w swym całunie;
Dość znaczna cyfra, bo za nią zyskałem
Pokłony liczne i ściśnienia rąk. —
To wszystko żarty, jam rzeźbiarzem słowa. —
Bądź pani zdrowa; bądź pan zdrów. Czas leci!
Cha, cha! Pracować muszę! do roboty!

(wbiega na schody i zamyka drzwi za sobą).

Scena V.

KWAKIER, KITTY BELL, oboje patrząc za nim.

KWAKIER.

Tyś przerażona, córko?

KITTY BELL.

Ach! drżę cała.

KWAKIER.

Ja także.

KITTY BELL.

Ty, mój ojcze? Ty, tak silny,
Że nic jak żyję wzruszyć cię nie mogło? —
Cóś w tém niezrozumiałe dla mnie biednéj;
On przybył tu nędzarzem, a bogaty,
Lord Talbot mówi z nim jak z równym sobie.
On wszystkich nas oszukał. Czego chce?
Litości naszéj czemu się domaga?
Wszelako mówić zdaje się od serca,
I w bladéj twarzy jawném jest nieszczęście.

KWAKIER.

Dla niego śmierć by pożądana była.

KITTY BELL.

Ach! czemu?

KWAKIER.

Lepiéj umrzeć, niż oszaleć.

KITTY BELL.

A więc ty mniemasz... Boże! ja truchleję.
(siada bezwładna).

KWAKIER.

Że najsilniejszy rozum nie wytrzyma
Półowy cierpień które w nim się łączą. —
Lecz muszę ci mą całą myśl wyjawić.
Aniołów czystość w duszy twéj jaśnieje;
Dziewica-Matka pod zbawienia krzyżem,
Na Syna twarz litośniéj nie spogląda,
A przecie wiele złego tu zrządziłaś.

KITTY BELL.

O Chryste! czy być może?

KWAKIER.

Słuchaj mię. —

Jak złe z dobrego czasem się wyradza,
Z porządku nieporządek, to rozumem
Nie łatwo pojąć; równie, by go zgubić,
Jednego dosyć było ci spojrzenia,
Choć natchnionego czcią lub miłosierdziem,
Najświętszą cnotą z pod prawicy Boga. —
Młodzieniec ten, z umysłem już dojrzałym
Pod słońcem ducha, jak w cieplarni róże,
Zachował serce proste i dziewicze.
Rodziny niema, innéj więc zażądał;
Niewiedząc o tém, przywykł żyć przy tobie,
Natchnienie czerpiąc w czułéj twéj postawie,
I w macierzyńskim oczu twych wyrazie.
Ten urok cichy który cię otacza
Dla tęsknéj duszy tak był niebezpiecznym,
Jak sen pod pięknym, lecz zatrutym kwiatem.
Nie twoja wina, że wygnaniec biedny
Z przyjęcia twego tyle był szczęśliwym,
Iż niemy zamian myśli i współczucia
Stał się potrzebą, życiem dla sieroty. —
Czy ma kto prawo wydrzeć mu ten skarb?

KITTY BELL.

Więc, twojém zdaniem, on niezwodził nas?

KWAKIER.

Uchowaj Boże! Lovelace miał więcéj
Jak lat ośmnaście. — Czy na jego czole
Wstydliwéj nędzy piętno nie wyryte?
Sam ją zgłębiłem; przepaść to bezdenna.

KITTY BELL.

O! jak me słowa musiał czuć boleśnie!

KWAKIER.

I ja tak sądzę, pani Bell.

KITTY BELL.

Ach, ojcze!
Ja, pani? — Ty się gniewasz! Gdybyś wiedział
Co ja zrobiłam, i com zrobić chciała!

KWAKIER.

Mów, pilnie słucham.

KITTY BELL.

Dziś, zgniewałam męża
O drobne sumy skrycie już wydane
Na odzież jego. Mówić mu nie śmiałam,
Więc jeszczem dłużna. Mąż mój się domyślił.
W téj chwili właśnie miałam się upomnieć.
O, dzięki tobie żeś mi nie pozwolił
Dokonać skąpstwa... ach! co mówię, zbrodni!
Gdyż to by zbrodnią było, bez wątpienia.

KWAKIER.

On sam ją spełniał aby cię zasłonić.
Znam jego dumę, więc ci ręczyć mogę.
Miéj wzgląd na niego, gdyż on jest dotkniętym
Chorobą straszną, prawie bez nadziei;
Choroba ta, udzielić się mogąca,
Powszechnie czepia się niewinnych serc,
Bijących dla wszystkiego co na ziemi
Jest pięknem, dobrém; a na świat zrodzonych
By spotkać wszystkie nędze i niecnoty,
Przez pychę źle zlepionéj społeczności.
Ten zgubny wstręt do życia, miłość śmierci,
Nazywa się: uparte samobójstwo.

KITTY BELL.

Ach! przebacz, wielki Boże! czy to prawda?
(kryje głowę oburącz i płacze).

KWAKIER.

Uparte mówię; rzadko ci nieszczęsni
Zmieniają zamiar w duszy raz powzięty.

KITTY BELL.

On chciałby umrzeć? Czyś ty pewien tego?
Ach! ojcze, powiedz wszystko! Niech nie ginie!
Ja niechcę jego śmierci! Cóż on winien?
Tak młode serce! dusza tak promienna!

Anielska dobroć i prostota dziecka!
Duch jaśniejący tak uroczém światłem,
Spaść aż do zbrodni którąby sam Chrystus
Zaledwie śmiał przebaczyć! To nie będzie.
On tak nie skończy. Czegóż mu potrzeba?
Czy trochę złota? Znajdziem. — Ja dostanę.
Patrz, oto me klejnoty, nienoszone;
Weź je, i sprzedaj. — On się zabić chce!
Tu, w moich oczach, przed mojemi dziećmi! —
Ach! sprzedaj wszystko, powiem co wypadnie.
Ja kryć się zacznę; chcę dla niego też
Popełnić grzech: ja skłamię, on niech żyje!

KWAKIER.

Daj ręce córko, niech uścisnę obie!
(całując jéj ręce złączone).
Niewinne są twe winy, święta zbrodnia!
I twoje siostry w niebie nad twém czołem,
By zakryć je, gwiaździste chylą wieńce.
Zachowaj twe klejnoty; Czatterton
Dwadzieścia razy skonałby przed złotem
Niezarobionem, lub nie po swym ojcu.
Daremnie walczyć z wadą w nim jedyną,
Ze szczytnym grzechem i cnotliwym prawie,
Z ubóstwa dumą nigdy nie ugiętą.

KITTY BELL.

Wszak mówił nam o liście już pisanym
Do pewnych osób, z dawna mu znajomych?

KWAKIER.

Ach, prawda! To wypadło z méj pamięci,
Lecz żaden dźwięk nie ginie w sercu twém;
Ostatnia to kotwica miłosierdzia,
Na niéj spoczniemy.
(chce wyjść).

KITTY BELL.

Co te słowa znaczą:
„Lord Talbot ma tu prawo być kochanym?“
Co chciał powiedzieć?

KWAKIER.

Nie myśl o tém wcale.
Cierpieniem, pracą, dusza tak zajęta
Jest nieprzystępną złym zazdrości radom,
A jeszcze mniéj próżności tych latawców.
Skąd te wyrazy? Czy przypuścić można
By jego zdaniem Talbot był szczęśliwym
W zwodzeniu Kitty Bell; a Czatterton
Miał prawo tego szczęścia mu zazdrościć?
Czy można wnieść że współcierpienie wasze
W namiętną miłość mogło się zamienić?...
Ach, gdyby tak być miało!

KITTY BELL.

Dosyć, ojcze...
Uciekam.

(uchodzi zakrywając uszy).

KWAKIER, głosem za nią goniąc.

Jeśli tak, niech raczéj zginie!

(Słychać róg myśliwski i głośną rozmowę za sceną).

Ktoś idzie... byle nie z przyjaciół naszych. —
Lord Talbot! byłem pewien że powróci.

Scena VI.

KWAKIER, LORD TALBOT, JOHN BELL.

LORD TALBOT.

Niech sobie karki łamią, niech polują!
Jam już nie wesół, dość mam ich zabawy.
Bezemnie będą pić, bezemnie strzelać.
Uciecha dziwna, widzieć ich trwoniących
Chudobę swoją goniąc za mym zbytkiem!
Ta gra mię nudzi. Mości Bell, dwa słowa. —
Czyś ostrzegł mię o smutkach i ubóstwie
Naszego Czattertona?

JOHN BELL.

Lecz, milordzie,
Za jego smutki ja nie odpowiadam;
Ubóstwa nie znam, bo mi nic nie winien.

LORD TALBOT.

Ach, jak on żyje! Gdybyście słyszeli,
I wy, mój ojcze, co mi powiedziano!
A najprzód jego dzieła mu nie dały
Kawałka chleba. — Wiersze, to rzecz prosta,
I bardzo piękne; tak się zwykle dzieje.
Powtóre, jakiś partacz bez sumienia,
Gryzmoła lichy równie jak szkodliwy,
Ogłosił drukiem (tego mu nie mówcie!)
Bezczelną potwarz. Twierdzi, że król Harold
I dalsze poemata, są skradzione.
Lecz ja mu kłamstwo zadam. Ja widziałem
Gdy składał je przedemną, dzieckiem prawie.
Zaświadczę, wydrukuję i podpiszę:
„Lord Talbot.“

KWAKIER.

Ach! to dobrze, to zaszczytnie!

LORD TALBOT.

Lecz to nie wszystko. Czyście tu widzieli
Pewnego żyda co się Skirner zowie?

JOHN BELL.

Właściciel kilku domów w téj stolicy?

LORD TALBOT.

On sam.

JOHN BELL.

Był tu i wczoraj.

LORD TALBOT.

Chce go znaleść
I pojmać, on, trój-milionowy pan,
Za lichy grosz komorny niespłacony.
A Czatterton... — To zbyt okropna myśl. —
To tak mój kraj zawstydza, że chciałbym
Podziemnym głosem mówić, by powietrze
Niedosłyszało słów. — Przystąpcie oba.

Chcąc wynieść się od niego, Czatterton
Zaręczył i podpisał... — wiecie co?...
Czytałem... Że w dniu bliskim, już ubiegłym,
Zapłaci dług; a jeśli umrze wprzód,
Medycznéj szkole... tego nie wypowiem...
Sprzedaje ciało swoje: a ten łotr
O trzech milionach, wziął haniebny kwit!

KWAKIER.

O nędzo! szczytna nędzo!

LORD TALBOT.

Dług, to fraszka;
Ja wszystko dam, bez jego wiedzy dam.
Lecz kto zrozumie tę spokojność jego?

KWAKIER.

A czy ty znasz, młodzieńcze, jego dumę?

LORD TALBOT.

Jam znał go pierwéj niż go pan poznałeś. —
Chcę z nim się widzieć; wiem jak doń przemawiać,
Jak miłość sławy można w nim obudzić.
Przyszłością, losem, niech się zajmie szczerze...
A z resztą, pewną rzecz naprawić muszę.

JOHN BELL.

Do kata! zły interes, zły interes.
Z milordem widząc go tak poufale
Jam sądził że to istny gentleman;
To wszystko w domu cóś plotkami trąci.
Mnie dosyć tego. Milord mu oświadczy
Że jutro może sobie iść gdzie chce.

LORD TALBOT.

Już jutro? zgoda; jeśli mu to miło,
Mój dom, jak tuszę, stanie mu za twój.

KITTY BELL, wchodząc trwożliwie z Rachelką.

Nim milord wyjdzie, mam o cóś go prosić,
Za pozwoleniem pana Bell.

JOHN BELL, chodząc zacietwierzony w głębi.

Mów śmiało.
Mojego pozwolenia ci nie trzeba.

KITTY BELL.

Wszak milordowi nasz Lord-major znany?

LORD TALBOT.

Lord Beckford, czy go znam! A nawet, pani,
Jesteśmy trochę krewni po kądzieli.
Raz w rok się widzim, na Zielone-Świątki,
Gdy jestem pewien że mię nie zanudzi. —
On łaje mię za długi; ja, choć milczę,
Mam go za głupca... lecz go świat poważa.

KITTY BELL.

Pan doktor nam powiedział że tak światły,
Tak dobroczynny...

LORD TALBOT.

A, na prawdę mówiąc,
To najpoczciwszy mąż w królestwie całém.
Gdy pani chce... odwiedzę go dziś jeszcze.

(Rachelka wstępuje na schody i puka; Czatterton otwiera drzwi od swego pokoju, a widząc lorda Talbot, nagle zamyka).

KITTY BELL.

Tu jest ktoś taki co się do ń odwołał.

JOHN BELL.

Czyś oszalała? co ty mówić śmiesz?

KITTY BELL, z ukłonem.

Co panu się spodoba.

LORD TALBOT.

Dajże skończyć.

JOHN BELL.

A jak ty wiesz o jego interesach?

KWAKIER.

Odemnie, jam powiedział.

JOHN BELL, groźnie.

Jeśli kiedy...

KITTY BELL.

Nie zżymaj się, nie sami tu jesteśmy.

JOHN BELL.

Już nie mów o nim.

KITTY BELL.

Jak mi pan rozkaże.

LORD TALBOT.

Nietracąc chwili, lecę do milorda,
A raczéj sam go tutaj przyprowadzę.

KWAKIER.

Ach! uczyń to; niech Bóg ci błogosławi!

(Wychodzą lord Talbot, John Bell i Rachelka).

Scena VII.

KWAKIER, KITTY BELL.

KITTY BELL.

Więc sądzisz że Lord-major mu pomoże?
Że lepszéj doli wkrótce się doczeka?
Ja skłonię się do wszystkich twoich rad.

KWAKIER, zamyślony.

Nie długo ztąd mu wynieść się wypadnie.

KITTY BELL.

Błogosławiony dom, gdzie znajdzie szczęście
Którego tu nie doznał ani chwili;
Niech tylko żyje, ja nie żądam więcéj.

KWAKIER.

O téj przemianie zrazu mu nie wspomnę;
Powoli go z tą myślą chcę oswoić.

KITTY BELL, lękliwie.

A gdybym sama to mu poradziła?

KWAKIER.

O nie! zawcześnie.

KITTY BELL.

Jeśli, jak powiadasz,
To tylko zmiana miejsca i zwyczaju?

KWAKIER.

Cóż więcéj może być? — Poeci nic
Nie zwykli kochać, prócz swych rękopismów...
On duszy swéj niewiąże do nikogo,
O sławę tylko dba... lecz to zawcześnie.

KITTY BELL.

Obecność jego, mówisz, jest fatalną.

KWAKIER.

To moja myśl, i nie zapieram się.

KITTY BELL.

Więc mu oznajmię...

KWAKIER.

Wszystko byś zgubiła.

KITTY BELL, wpół uradowana.

A jeśli tu zostanie, przyznaj sam
Że ja nie mogę źle się z nim obchodzić,
I dolę jego słodzić mu powinnam.
Me dzieci chcą mu zanieść podwieczorek,
Owoce, ciasta, trochę z nim zabawić,
Oderwać go na chwilę od roboty;
Czy one grzeszą? lub czym ja występna?
(Kwakier siada i odwraca się, ocierając łzę).
Czy prawda że on świetne dzieła pisze?
Czy je czytałeś?

KWAKIER, niby obojętnie.

To narodu chwała.

KITTY BELL.

Tak młody! czy podobna? — Niechcesz mówić,
To źle; bo wiesz że słowa twe pamiętam.
Mówiłeś mi naprzykład dzisiaj z rana:
„Że zwrócić nieszczęsnemu dar serdeczny
Jest upokorzyć go za dobry czyn,
I całą jego nędzę mu wyjawić.“
Czy tak? więc jestem pewna żeś téj książki
Nie oddał jeszcze. — Przyznaj, wszak to prawda!

KWAKIER oddając jéj zwolna biblią, po namyśle.

Masz, moje dziecię; masz odemnie, schowaj.

KITTY BELL siadając u stóp jego, z dziecięcém przymileniem.

Ach, ojcze drogi, dobroć twa niekiedy
Wygląda jakby złość, lecz to najlepsza!
Tyś od nas wszystkich wyższym twą mądrością,
I mógłbyś widzieć u twych stóp, daleko,
Te drobne burze serc, któremi gardzisz,
A przecie z nami dzielisz się litośnie;
Wyrzekniesz kilka słów natchnionych z nieba,
Wnet słońce błyszczy, chmury się rozchodzą,
I uśmiech tęczy wita twe spojrzenie:
Boś ty nasz ojciec!

KWAKIER, całując ją w czoło.

Wiem, o córko droga,
Że po téj książce żal mi nie zostanie.
(błogosławiąc).
Ten dar, to dziecię, racz zachować Panie!

Akt III.

Izdebka Czattertona, ponura, ciasna, licha, nieogrzana; — łóżko nędzne i nie posłane.

Scena I.

CZATTERTON, siedząc na łóżku i pisząc na kolanie.

Że mię nie kocha, to już wiem... A ja?
Ja chcę o niéj nie myśleć... Zimno mi...
Zmarźnięta dłoń, a w głowie płonie żar...
Z pańszczyzną moją sam na sam zostaję...
Już niczém dobroć, uśmiech i pokłony,
Ściśnienia rąk... ta farsa odegrana;
Ja inną tu zaczynam z samym sobą. —
Dziś wola moja tak być silną musi
By porwać błędną myśl, i przenieść ją
W zbutwiałe trupy z dawnych lat wskrzeszone,
I w rój widziadeł com je sam wymarzył. —
A raczéj trzeba by przed Czattertonem
Zgłodniałym, chorym, myśl ma postawiła
Innego Czattertona, ku zabawie
Gawiedzi próżnéj wciąż wzruszenia chciwéj,
Strojnego wieńcem na rycerskiém czole,
Z truwera złotą lutnią na ramieniu;
I żeby tego, tamten jéj wyśpiewał,

Ja żebrak, mnie poetę!... to mój los,
Poezya cała w dwóch postaciach różnych. —
Rozczulać tłum, lub śmiech litości budzić,
Grać w lalki, lub samemu lalką być,
I tém małpiarstwem chleba się dorabiać!
Rozpłatać serce na kramarskim stole,
Tém lepiéj jeśli ranne; bo kalectwo
Jest drożéj płatne...

(powstaje).

Wstań, obrazie Boga!
Żyjący trupie, chełp się z twéj nicości! —

(śmieje się i siada; — stary zegar bije wpół, dwoma uderzeniami).

Nie, nie! Godzina cię przestrzega; siedź
J pracuj, najemniku! Czas upływa,
Czas drogi, myśląc... jedna myśl ci starczy,
Żeś ty jest nędzny, biedak bez przytułku. —
Czy słyszysz? nędzny, o żebranym chlebie!
Minuta każda w płonnym twym zachwycie
Okrada nędzę twoją. — Na co myśl,
Gdy tylko słowo zysk ci przynieść może?
Są pewne słowa płatne po szelągu;
Myśl sama niema ceny... Precz odemnie,
Na Boga, precz! wystygłe zniechęcenie;
Pogardo siebie, w przepaść mię nie wtrącaj!
Bo teraz imie moje i mięszkanie,
Już wszystkim znane; a przed jutrem, jeśli
Roboty méj nie skończę, jam zgubiony,
Stracony, bez nadziei; sąd, więzienie! —
O wstydzie! hańbo! pracy nie chwalebna!...

(pisze).

To pewna że mię Kitty nie pokocha. —
A cóż! téj myśli nigdy nie odpędzę?...

(długie milczenie).

Pokornym bardzo marzyć o tém jeszcze.
Lecz niech kto powie zkąd bym dumnym był?
Ja, pyszny? ja wygnaniec w kraju własnym,
Odarty z méj spuścizny... Przecież wiem
Że ta wrodzona duma mię podpiera.
Wciąż ona woła bym sam siebie żywił,
Jałmużny bym nie żądał. Bo dla kogóż

Udajem wszyscy szczęście? Dla kobiety; —
W nieswoje szaty stroim się przed nią.
O biedne dusze! biorą cię za tron
Nikczemna sławo! a tyś jest pręgierzem,
Gdzie lada gawron może bić po twarzy
Wybranych twoich!... Lecz niemylnie sądzą
Gdy lubią tych co nigdy się nie płaszczą. —
Przynajmniéj ta co na mnie tu spogląda
Nie ujrzy mię spodlonym. Nie, przez Boga! —
O gdyby mię kochała!...

(długo marzy i budzi się nagle).

Pisz, nieszczęsny;
Niech wola twa zwycięży!... Co, bezsilna?
Nie ruszy z miejsca téj niesfornéj myśli
Co krok stającéj mimo jéj rozkazu?
Więc nowe dla mnie, nowe to zhańbienie! —
Przed jeźdzcem dotąd zawsze się zrywała;
Jéj cugla trzeba było, dziś ostrogi!...
Despoto ciała! ty, wypływie boski!
Ty, nieśmiertelny! czyś ty skrzepnął nagle
Pod tą wilgotną mgłą co pokój lichy
Przenika i zasępia?... czyli dość
Téj mroźnéj pary by pokonać ciebie?

(zarzuca kołdrę na ramiona).

Ta gęsta mgła za oknem się rozciąga
Jak biały całun... tak wisiała w dzień
Gdy ojciec mój umierał... tam, na dole,
Tamiza płynie, mętna i leniwa,
Jak w piekle rzeka co niepamięć daje.
Nie jeden jęk rozpaczy w niéj stłumiony...

(zegar bije trzy kwadranse).

Więc jeszcze? czas cię nagli; kończ, zarabiaj!

(czyta).

„Haroldzie! królu mój! przedwieczny Boże! —
Gdzie książe Wilhelm?... „Co mię tam ten król
Obchodzi, proszę? — Czym to ja napisał?

(rozdziera rękopism; — z poczynającym szałem).

Udałem katolika, więc skłamałem;
Bo stałbym się trapistą, gdybym wierzył.
Trapista ma za łoże własną trumnę,

Lecz w trumnie śpi. — Tak! wszyscy ludzie drzémią
W spokojném łożu; ja tu ślęczę w mojém.
(ręką ociera czoło).
Gdzie lecę, gdzie? mój wyraz myśl unosi...
O zgrozo! czy szaleństwo tak nie stąpa?
Najśmielsze serce to przestraszyć może.
Uspokój się, dla Boga!... Com ja czytał? —
To dzieło nie dość piękne, nie dojrzałe;
Pisane za pieniądze... O katuszy!...
„Gdy zwiedli bitwę Sas i Normand dzielny,
Pod Hastings...“ Brednie! Czy mię to zajęło?
Nie! Na cóż pisać gdy tak mówić wiele?
(wstaje i chodzi raźnym krokiem).
Popioły stare budzić mym oddechem,
Gdy wszystko drga i cierpi w koło mnie?
Gdy Cnota w jarzmie kona bez pomocy;
Gdy krwawa Praca bez szacunku ginie;
Gdy Miłość jest bezdzietna; gdy nadzieja
Jest bez kotwicy; Wiara bez kielicha;
Gdy Prawo jest bezbożne i zepsute
Jak nierządnica; gdy głos Ziemi woła
O pomstę do poety na złodziei
Co kopią sól i złoto w jéj wnętrznościach,
I bluźnią że bez Nieba się obejdzie! —
A ja, czujący to, ja bym zaniemiał?
Odpowiem jéj! na honor, ja odpowiem!
Uderzę biczem niecnych tych fałszerzy,
Jeremiasz Miles i Warton niechaj drżą!
Ach! to... Satyra! potwarz! ja, nikczemny!
Ja złym się staję!
(płacze długo i boleśnie).
Pisz na martwéj mgle
Co cię zasłania, jak ojcowski zgon!
(bierze na stole tabakierkę).
To on, mój ojciec; on, zsiwiały majtek,
Waleczny żeglarz, król na swym okręcie,
Co w dzień się bił, a w nocy spał spokojnie...
On niebył tak jak ja, myślącym parią,
Od ludzi odepchniętym... O mój ojcze!
Ten biały papier jest to żagiel moja;

A jeśli jutro nie zwiniętą będzie,
Więzienie, wstyd; a niemam w duszy méj
Jednego tchnienia bym ją mógł zapełnić!
Sprzedałem z głodu dyament jedyny
Co jaśniał na twém czole jak jutrzenka;
Już niemam nic, a został głód i śmierć!...
Mam jeszcze dumą twą, dla któréj milczę...
Ty, stary, ty wiedziałeś że za sławę
Nie można żyć; że złoto zabrał wróg,
A nacóż, starcze, dałeś mi istnienie!

(rzuca tabakierkę; — bieży za nią, podnosi, klęka całując i płacze).

Ach! przebacz mi, mój ojcze srebrnowłosy! —
Tyś mię na łonie twém tak czule ściskał;
Po życiu pełném zasług i poświęceń,
Umarłeś na wygnaniu, jak złoczyńca!
To sprawiedliwość królów na tym świecie!
Jam winien sam! ja wieszczem się mniemałem!
Lecz imie twe nie pójdzie do więzienia!
Na twoją krew, przysięgam! Patrz, to opium;
Ja głodny, jeść nie będę... lecz wypiję!

(łzami rosi tabakierkę).

Któś ciężkim krokiem po mych schodach stąpa...
Ten skarb ukryję... Czemu? czym niewolny?
I kogóż mam się bać? Czy stary Kato
Przed rzeszą krył swój miecz? więc, Rzymianinie,
Bądź tém czém jesteś, patrz na ludzi śmiało! —

(stawia opium na stole).

Scena II.

KWAKIER, CZATTERTON.

KWAKIER, postrzegłszy truciznę.

Ach!...

CZATTERTON.

Cóż takiego?

KWAKIER.

Znam ja tę truciznę. —
Sześćdziesiąt granów opium to przynajmniéj.

Zażywszy ją, miałbyś przyjemny szał
Jak dla poety; później dreszcz z gorączką,
Nareszcie, sen głęboki, niezbudzony. —
Tak długoś sam pozostał, Czattertonie!

CZATTERTON.

A jeśli sam chcę zostać wiecznie, mów,
Czy niemam prawa?

KWAKIER siedząc na łóżku (przed nim stoi Czatterton, z obłąkanym wzrokiem).

Tak poganie mówią.

CZATTERTON.

Daj mi godzinę szczęścia, to uwierzę;
Chrześcianinem będę! — Co... cię trwoży,
Stoicy zwali to: „przystojném wyjściem.“

KWAKIER.

Twierdzili nawet że przyczyny zwykłe
Wiążące nas do życia, są błahemi;
Więc z błahych przyczyn też je rzucić wolno. —
Mój synu, zważ że los się często zmienia,
Że jest wszechmocnym, lecz dla żywych jeno.

CZATTERTON.

A przeciw martwym cóż on zdziałać może?
Los ślepy, mniemam, samo złe wyrządza;
Więc dobrze czyni kto się przed nim chroni.

KWAKIER.

Ten kto ucieka, ja go mam za tchórza. —
Odważny się nie kryje w ciemny grób,
Pod wielki głaz; bo to nie mężnie wcale.

CZATTERTON.

Jakiego samobójcę znasz nie mężnym?

KWAKIER.

Choć i Nerona.

CZATTERTON.

Temu ja niewierzę.
Narody gardzą ludźmi bez odwagi,
A Neron sam jest w Rzymie popularnym.

KWAKIER.

Popularności to pochwała wielka. —
Lecz się nie sprzeczam. Idź za twym popędem,
A mocno uszczęśliwisz twych rywalów.
Nie jeden z nich bezbożnie szydzić będzie,
Rozśmieszać gmin dziejami śmierci twéj;
A coby nigdy sami nie zdołali,
To dla nich czynisz, schodząc im z widowni.
Wspaniale bardzo dajesz im twą sławę,
Tę suchą kość o którą się gryziecie.

CZATTERTON.

Zbyt wiele cenisz mię. Kto zna me imie?

KWAKIER, do siebie.

Ta struna jeszcze drga; ja ją rozdźwięczę.
(głośno).
Tém lepiéj znane, że je kryjesz sam.

CZATTERTON.

Doprawdy? to mię cieszy. — Po méj śmierci,
Głośniejszém będzie.

KWAKIER, do siebie.

Wciąż ta jedna myśl,
I wszystkie drogi do niéj go prowadzą.
(głośno).
Mówiłeś mi żeś ufał w jakiś list?

CZATTERTON.

Pisałem do Beckforda, Lord-majora;
On ojca mego dawniéj znał i zbliska.
Już często pomoc jego mi stręczono,
Lecz ja nie lubię być protegowanym. —

Liczyłem stale na księgarską pracę,
Na myśli... Co za szał! odbiegły wszystkie;
Została jedna, list do protektora.

KWAKIER.

Lord Beckford słusznie za najpoczciwszego,
Światłego nawet, w mieście tém uchodzi.
Lecz poco zamiar twój przemieniasz w inny?

CZATTERTON.

Jednego lorda dość mi było znać.

KWAKIER.

Szaleniec cię uraził, weź mądrego.
Cóż tamten cię obchodzi?

CZATTERTON.

Na co zwlekać?
Natchnieni ludzie są na krzyżu wiecznie;
Szyderstwo, nędza, to dwa gwoździe krzyża:
I mamże trzeci gwóźdź w me serce wbijać,
Zgryzotę płonną żem się sam poniżył?
Chcę „wyjść przystojnie;“ to mój los konieczny.

KWAKIER.

Niech Bóg przebaczy to co czynić muszę!—
O Czattertonie! jam już długo żył;
Jam chrześcianin i z najczystszéj sekty
Powszechnéj wiary z rąk Chrystusa zlanéj.
Jam dni me spędził, w pracy i modlitwie,
Z mojemi braćmi; powiem ci więc święcie
Prawdziwą rzecz: a mówiąc jak ci mówię,
Chcąc cię ratować, biały włos mój plamię! —
O Czattertonie! chcesz twą duszę zgubić;
Lecz niemasz prawa gubić dwie zarazem...
A jest i druga z twoją tak związana,
I którą tak zwabiło twe nieszczęście,
Jak podług Szkotów, słoma kwiat przyciąga.
Jeżeli zginiesz, i ta druga zginie,
I tak jak ty, na wieki potępiona,

Niegodna stanąć przed obliczem Boga! —
O Czattertonie! wątpisz o wieczności;
Lecz ona wierzy w nią w prostocie ducha.
Ty będziesz sądzon według twéj niedoli,
I możesz się spodziewać miłosierdzia;
Nie ona, chrześcianka i szczęśliwa.
Młodzieńcze! dla niéj błagam cię klęczący,
Gdyż ona jest na ziemi jak me dziecię!

CZATTERTON.

O drogi ojcze! coś ty mi powiedział?...
Czy cię rozumiem? wstań! mię wstyd za ciebie.

KWAKIER.

Litości! jeśli umrzesz to i ona...

CZATTERTON.

Kto?

KWAKIER.

Ona, słaba ciałem i umysłem,
Choć sercem silna.

CZATTERTON.

Czym ja sądzić śmiał?...
Jéj imie!...

KWAKIER, wstając.

Jeśli jéj to kiedy powiesz,
Już wtenczas samobójstwa ci nie trzeba,
Zabiję cię, jak zdrajcę.

CZATTERTON.

To więc ona?...

KWAKIER.

Małżonka, matka dwóch aniołków.

CZATTERTON.

Kitty!

KWAKIER.

Tak, Kitty Bell cię kocha... Chcesz ją zabić?

CZATTERTON, padając w objęcia Kwakra.

Więc już umierać ani żyć nie mogę!

KWAKIER.

Żyć trzeba, milczeć, i dziękować Panu!

CZATTERTON.

Ach, ojcze, tyś mi nowe życie dał!...

Scena III.

CZATTERTON, KWAKIER, KITTY BELL Z DZIEĆMI.

KITTY BELL u drzwi, zaglądając.

Ostrożnie dzieci, za mną tu oboje! —
Z uczynkiem chyba dobrym kryć się trzeba,
A pan dla nas tak hojny, tak łaskawy...
Podajcie kosz i schodźcie bez hałasu,
Bo pan pracuje.

(Dzieci stawiają kosz z owocami na stole; — do Kwakra).

Ach, to wy, mój ojcze!
Ja nie wiedziałam że was tu zastanę...
Te dzieci chciały zanieść wam wieczerzę,
Nie mogłam wzbronić... przebacz im, i mnie!

KWAKIER.

Z całego serca.

KITTY BELL, do Czattertona.

Z darem tym... od dzieci,
Przynoszę dobrą wieść: lord Talbot sam,
Przyjaciel pana, raczył nam oznajmić
Że dziś lord Beckford z miasta tu przybędzie,
Chcąc go zapoznać.

CZATTERTON.

Mnie?

KWAKIER.

Czy cię to dziwi?

CZATTERTON.

Bynajmniéj; czego list mój nie dokaże,
To przyjaźń lorda Talbot mi wyprosi...
Innego nie mam wsparcia na tym świecie.

KITTY BELL.

Więc pan go przyjmiesz?

CZATTERTON.

Przyjmę, bez wątpienia.
Jam wszystko przyjąć rad... dla ciebie, Kitty.

KWAKIER.

Spokojniéj synu; pomnij na te dzieci...
Rywalność błoga dwóch protekcyj możnych!
Lord stary będzie chciał wspanialszym być
Niż młody... zysk niechybny z obu stron.
(Słychać róg myśliwski, i powóz jadący po bruku).
Wszak słyszę powóz...

KITTY BELL.

Zejdźmy więc...

KWAKIER.

O nie!
Ten widok pewniéj serce ich poruszy,
(wskazując izdebkę Czattertona)
Jeżeli mają serce.

Scena IV.

CIŻ, LORD BECKFORD, LORD TALBOT, LORD LAUDERDALE, LORD KINGSTON, TRZÉJ MŁODZI LORDOWIE, JOHN BELL.

(Lordowie wprowadzają Beckforda z serwetami w ręku i w myśliwskim ubiorze.— Czterech lokai wchodzi z rozpalonemi głowniami, i stają rzędem przy ścianie).

KITTY BELL.

On, Lord-major!
U Czattertona! dzieci, co za szczęście!
Pocałuj mię, Rachelko!
(bieży do dzieci i całuje z uniesieniem).

JOHN BELL, wchodząc.

Co tu robisz?

KWAKIER.

Jam ją wprowadził.

(do siebie).

Matka, nie świadoma,
Kochanki całus dzieciom swym oddaje.

JOHN BELL.

Niewiasty często dziwny szał napada.

LORD BECKFORD, usiadłszy i mówiąc głośno.

A, witam tu zebranych miłych gości.
Cóś hucznie wam czas płynie, mości Bell,
Mój wierny kumie! bo zastaję z wami
Pocieszne twarze, tchnące zgiełk i wrzawę,
Nad miarę trochę.— Lecz ich wiek po temu.

JOHN BELL.

Dostojność jego zbyt łaskawa na mnie,
Że drugi raz mój dom odwiedzać raczy.

LORD BECKFORD.

A, prawda! prawda że to drugi raz
Wstępuję w progi wasze; bom już był
Winszować wam w tym domu pomyślności
Zakładów waszych; dziś piękniejszy jeszcze.—
A, ładna żonka rządzi nim, to słusznie.
Te śliczne dziatki, pewnie jéj?

JOHN BELL.

I moje!

LORD BECKFORD.

I wasze! zgoda.— Wszak jéj wiek po temu.
Aż tu z podagrą moją wejść musiałem,
Pod strych wysoki, gdzie koczują zwykle
Rodzeni bracia, szczury i poeci...

(Młodzi lordowie się śmieją).

Te wiercipięty drogę mi wskazały.—
A, Talbot, kuzyn mój... ty nic nie mówisz!
Przerwałem ci uciechę, mości Jerzy;
Tyś imieniny święcił z twą drużyną?
Talbocie, oj ty trzpiocie, czy do śmierci
Latawcem będziesz?— Lecz twój wiek po temu.

LORD TALBOT.

Nie trudnij się mym losem, drogi lordzie.

LORD LAUDERDALE.

Co milord mówi, to mu wciąż mówiemy.

LORD BECKFORD.

A, Lauderdale, i Kingston w jednéj bandzie?
Wy zawsze z nim? śpiewając, pijąc, grając,
Po całych nocach? Wszyscy źle skończycie.

LORD KINGSTON.

Nasz wiek po temu...

LORD BECKFORD.

Lecz wam tego nikt
Za złe nie weźmie; każdy z was ma prawo
Majątek trwonić jak mu się podoba.—
Wszak macie w domu, mości Bell, młodzieńca
Nazwiskiem Czatterton? ja chcę go widzieć.

CZATTERTON.

To ja milordzie, list odemnie był.

LORD BECKFORD.

A, przystąp bliżéj! niech ci zajrzę w oczy.
To istny ojciec! Znałem go przed laty;
Szlachetny żołnierz, choć nierządny trochę,
Lecz męstwem swém dostąpił świetnéj rangi.
Więc Tomasz Czatterton? nieszpetny chłopiec.
Bawiłeś się wierszami; dobrze raz,
Lecz trwać nie trzeba w płochéj téj zabawce.
Tę śmieszną wszyscy mieliśmy gorączkę.

Jam także klecił wiersze w méj młodości;
A nigdy Littleton, lub Swift i Wilkes,
Dla pięknéj płci nie nabazgrali tyle
Zalotnych zwrotek co ja sam, to ręczę.

CZATTERTON.

O! bardzo wierzę.

LORD BECKFORD.

Lecz jam święcił Muzom
Stracony tylko czas. Bo pamiętałem
Co prawi gdzieś Ben Jonson, że najmilsza
Nie może chleba dać wieszczowi swemu;
Że trzeba mieć te panny za kochanki
A nie za żony.

(Lordowie się śmieją).

LORD LAUDERDALE.

Brawo! bez wątpienia.

CZATTERTON.

Że to jest prawdą, dziś to sam poznaję.

KWAKIER.

Przy wolnym ogniu chcą go żywcem piec.

LORD BECKFORD.

Tysiące młodych ludzi tak zginęły!
Przeklęte wiersze tylkoś miał na myśli;
A ja cię pytam na co się to zda? —
Na nic, mospanie. Bo z każdego człeka
Powinien kraj mieć plon.— A mówże, proszę,
O naszych obowiązkach co ty myślisz?

CZATTERTON, do siebie.

Dla niéj ten kielich aż do dna wychylę! —

(głośno).

Ja sądzę że je znam jak każdy z nas.—
Brytania jest eskadrą. Wyspa nasza
Naczelnym statkiem. Patrząc ku północy,

Jak na kotwicy wśród dwóch Oceanów
Ma w straży stały ląd. Z płodnego łona
Wyrzuca wciąż okręty jéj podobne,
I które barwy jéj roznoszą wszędzie.
Lecz na pokładzie téj olbrzymiéj nawy,
Tam wspólna praca nasza. Król, lordowie,
Komuny, są przy igle magnesowéj,
Przy fladze lub u steru; my zaś wszyscy
Musim się piąć na maszty, dźwigać liny,
Rozciągać żagle lub nabijać działa;
My wszyscy jéj osadą, nikt w jéj ruchu
Nie jest zbytecznym: wszyscyśmy żołnierze.

LORD BECKFORD.

A, nieźle, nieźle! choć on jeszcze marzy;
Lecz dajmy na to, przecie wyznasz mi
Żem słusznie sądził. Bo i cóż u diabła
Poeta może robić na twéj nawie?

(Chwila oczekiwania).

CZATTERTON.

On czyta w gwiazdach drogę jéj wskazaną
Przez palec boski.—

LORD TALBOT.

No, i cóż, milordzie?
Wszak bez sternika łódź nie ruszy z miejsca?

LORD BECKFORD.

To szał lub urojenie, mój kochany!
Głupstwami temi głowę sam nabiłeś,
I sam nią strzelasz.— Wiemy już o tobie;
Tyś do niczego... więc...

LORD TALBOT.

Milordzie, proszę;
To mój przyjaciel, mówże z nim po ludzku.

LORD BECKFORD.

Przyjaciel twój? to co innego zgoła.

Więc będziesz kontent ze mnie, gdy ci powiem
Żem już dla niego zrobił coś, pomimo
Wyjawień pana Bale... Twój Czatterton
Podobno nie wie że już nam odkryto
Pisarskie jego figle i podejścia;
Niewinny błąd, i pobłażania godny.—
Magisterial jest pismo wyśmienite;
Chcę cię nawrócić: masz je, z listem tym
Gdzie ci zaręczam sto gwinei rocznie.
Nie gardź tym darem; ojciec twój, me dziecię,
Z Adamowego żebra nie pochodził,
Królewskim bratem nigdy się nie pisał;
A tyś do tego zdatny co ci daję.
Początek dobry; wciąż przy mnie zostaniesz,
Ja z bliska będę czuwał nad twym losem.

CZATTERTON po chwili wahania, spoglądając na Kitty.

Przyjmuję wszystko.

LORD LAUDERDALE.

Ach, jak milord dobry!

JOHN BELL.

Czy pierwszy toast Lord-Major przyjąć raczy?

KITTY BELL, do córki.

Pocałuj pana w rękę.

KWAKIER, do Czattertona.

Daj mi twoją;
Odważnym byłeś.

LORD TALBOT.

Kuzyn mój się spisał.—
Z okrętem twym do portu zawinąłeś.
Przebaczysz mi dzisiejsze moje żarty;
Pijany byłem, sam to ci wyznaję.

LORD BECKFORD.

Więc mości Bell, prowadźcie nas do stołu

Z łotrami temi, niech przy mnie zasiędą. —
To mię odmłodzi.

LORD TALBOT.

Nikt się nie wymówi,
Sam Kwakier zejdzie. — Przez was czy przezemnie,
Milordzie, sternik nasz spokojnym będzie. —
Do stołu!...

LORD KINGSTON.

Wszyscy za milordem w pary!

JOHN BELL, do żony.

Ty zejdziesz na usługi, ja tak chcę.

CZATTERTON, do Kwakra.

Czym wszystko według woli twéj uczynił?
(głośno, do lorda Beckford).
Mam do zniszczenia parę pism ulotnych,
Za chwilę służę.

LORD BECKFORD.

No! z czytania w gwiazdach
Nasz majtek się poprawia; dobrze, dobrze.
(Wszyscy odprowadzają lorda Beckford).

JOHN BELL do żony, porywczo.

Słyszałaś mię, czekamy przy wieczerzy.

KITTY BELL, stając u progu i patrząc z obawą na Czattertona.

Dla czego sam chce zostać, Boże mój!

Scena V.

CZATTERTON sam, chodząc po pokoju.

A teraz, precz mi ztąd, panowie moi. —
To dziw że los mój tak się nagle zmienia.
Ja mu nie ufam; choć na pozór szczery.
Byt ustalony. — Co ten starzec mówił
O mych podejściach? Tak! co wszyscy mówią.

Odgadli to com sam wyznawał śmiele,
Żem twórcą moich dzieł, a nie kto inny.
Subtelny domysł! godzien ich w istocie!
Ten urząd czém też będzie? w miejskim rynku
Brukowym redaktorem? cóż, to chlubnie!
Potrafię żyć niepisząc płaskich rzeczy
Co chleb mi dają. — Kwakier wnet odzyszcze
Straconą przez mój wpływ pogodę ducha;
Zaś ona, Kitty, już nie umrze dla mnie.
Choć ja niewierzę bym ją zabić miał. —
Co tak upornie w sercu swém taiła,
Nie może być gwałtowném; dusza jéj
Jest nadto macierzyńska na kochankę.
Co bądź to bądź, już niechcę z nią się widzieć.
Tak lepiéj będzie... umrzeć, wszak to jedno.
Gdy trup pod ziemią, któż o niego dba?
Przezorny Kwakier... on o wszystkiém myśli...
On tego jéj nie powie... Mamże żyć?
Dla kogo? czemu?... tak, dla jéj zbawienia,
To dość!... ponura myśli, stój... nie wracaj...
Czytajmy to...

(czyta dziennik).

„*Pan Czatterton nie jest*
Autorem swoich pism...“ Masz dowód jasny.
„*Te szczytne poemata są utworem*
Rowleya mnicha, który je przekładał
Z Turgota również mnicha; ten zaś żył
W dziesiątym wieku... Podstęp tak widoczny
Żakowi ledwie daje się przebaczyć,
Lecz późniéj, mieniłbym to zbrodnią... Bale...“
Sam się podpisał żądłem swém zjadliwém...
A z jakiéj nory płaz ten łeb wychyla?
Com mu zawinił? — Imie me stłumione,
Zaćmiona cześć i honor pokrzywdzony! —
Tak mówi sędzia!... Co protektor daje?

(zrywa pieczęć z listu, czyta... i woła z oburzeniem).

Kamerdynera miejsce w swéj usłudze!
Ach!... niecny kraju! ziemio łez i wzgardy!
Przeklinam cię na wieki!

(chwyta opium).

Duchu mój,
Jam cię zaprzedał! tém cię wykupuję.
(pije truciznę).
Skirnera dług spłacony. — Wolnym teraz!
I wszystkim od dziś równy! — Stało się.
Spoczynku pierwsza chwilo w mém istnieniu,
Ostatnia męki, zorzo dnia bez końca,
Bądź pozdrowiona! — Żegnam was na zawsze
Szyderstwa, złości, prace bez wytchnienia,
Rozpacze, nędze, kłamstwa i rozboje,
Tortury serc, wy wszystkie precz odemnie!
O co za radość że się żegnam z wami!
Ten ktoby wiedział jak szczęśliwy jestem
O życieby niedbał! Swobody gończe,
Aniele śmierci, jak twój spokój błogi!
Ja czciłem cię, choć zdobyć cię nie śmiałem. —
Wiem że twe kroki wolne są, lecz pewne.
Cherubie groźny, patrz jak ja przed braćmi
Zacieram ślady moje po téj ziemi!
(otwiera gwałtownie okno i rzuca w rzekę swoje pisma).
Szlachetne myśli, dla niewdzięcznéj zgrai
W bezsennych cieniach nocy mych zebrane,
Niech was do morza rzeka ta zaniesie,
Jak wolny duch ulata ku wieczności!
(Z wniesionemi oczyma rozdziera powoli swoje poezye, w poważnéj i natchnionéj postawie stanowczéj spełnionéj ofiary).

Scena VI.

CZATTERTON, KITTY BELL.

(Kitty Bell z wolna drzwi otwiera, patrzy na Czattertona i staje milcząc między nim a oknem. — Ten pisma nagle z rąk upuszcza).

KITTY BELL, do siebie.
Ach! cóż on robi? mówić chcę, niemogę.
Cóś rzuca w rzekę... Mroźna mgła mię trwoży;
Twarz jego strasznie blada w jéj całunie.
(głośno).
Czy pan nie zejdzie do przyjaciół swych?

CZATTERTON, drżąc całém ciałem.
Toś ty! aniele... Kitty! Już! — Ach, pani!
Zapomnij mię! klęczący proszę! błagam!

KITTY BELL.

Zapomnieć! czemu? jak?

CZATTERTON.

Wybieram się
W daleki kraj. — Bądź zdrowa, Kitty Bell! —
Nie trzeba by kobiety dłużéj były
Igrzyskiem naszém; to ci radzę szczerze.
Poetów żądze ledwo że istnieją.
Nie kochaj już tych ludzi... samolubów.
Nie!... oni nawet siebie nie kochają.
Ich serca zimne mózg ognisty żywią.
Nie baw się z niemi i nie czytaj nigdy;
Jam od nich wszystkich gorszym był.

KITTY BELL.

O Boże!
Dla czego mówisz pan: jam był?

CZATTERTON.

Bo niechcę
Już być poetą; patrz, podarłem wszystko.
Czém późniéj będę, to nielepsze może;
Ciekawym wiedzieć. Bądź mi zdrowa. Słuchaj!
Czy kochasz dzieci twe?

KITTY BELL.

Nad życie własne.

CZATTERTON.

Więc kochaj własne życie im oddane.

KITTY BELL.

Dla nich je tylko cierpię.

CZATTERTON.

Cóż na świecie
Od nich piękniejszém, Kitty, i od ciebie!
Gdy te aniołki trzymasz na kolanach,
Podobnaś wtedy do Litości boskiéj.

KITTY BELL.

Odstąpią mię.

CZATTERTON.

To skarb najdroższy twój,
To prawda żywa! Miłość bez obawy
I bez goryczy. W nich krew twojéj krwi,
Twéj duszy dusza; kochaj więc je pani
Jedynie, nadewszystko. Chcę być pewnym
Że ty je kochać będziesz!

KITTY BELL.

O mój Boże!
Uśmiecha się, a w oczach stoją łzy!

CZATTERTON.

Niech oczy twe nie znają nigdy łez;
Niech uśmiech wieczny lica twe upiększa!
Niech nigdy z obcych stron przychodzień smętny,
Nie stanie między tobą a rodziną!

KITTY BELL.

Czy żal od nas zależy?

CZATTERTON.

Precz z obcemi!...
Przez nich nieszczęście w każdy dom się wkrada.
Są pewne myśli co wstęp serca chronią.
Zapytaj o nie Kwakra, on nastręczy. —
Ja niemam czasu; już wychodzić muszę.
(idzie ku drzwiom).

KITTY BELL.

O Boże! jak pan cierpi!

CZATTERTON.

Ja? bynajmniéj.
Jam już wyleczon; choć mi głowa wre. —
Dobroci zbytkiem gubią się niewiasty.

Ta dobroć trapi mię sto razy srożéj
Niż ich nienawiść.

KITTY BELL.

Czy o własnéj mówisz?

CZATTERTON.

To ona cię tu wiedzie. Tam cię czeka
Wesołe grono! czemu tu zostajesz?

KITTY BELL, z obłąkaném spojrzeniem.

Ach! gdyby teraz cały świat mię czekał,
Ja tu zostaję.

CZATTERTON.

Spieszę wnet, za tobą.
Bądź zdrowa, Kitty!

KITTY BELL.

Ja nie wierzę temu.

CZATTERTON.

Niebawem schodzę.

KITTY BELL.

Nie! pan nie masz zejść!

CZATTERTON.

Ten dom jest pani, ta godzina moją.

KITTY BELL.

A jak jéj pan użyjesz?

CZATTERTON.

Kitty Bell! —
Są chwile gdy niemożem schylić głów
Do waszych serc; tém mniéj rozpieścić głosu
By wam pochlebiać. Zostaw mię samego.

KITTY BELL.

Niespocznę nigdy jeśli ztąd odejdę,
A pan zostaniesz.

CZATTERTON.

Jakie złe natchnienie
Do mnie cię zsyła? mów!

KITTY BELL.

Niezwykły strach.

CZATTERTON.

A straszniéj będzie jeśli nie chcesz wyjść.

KITTY BELL.

O panie! maszli jakie złe zamiary?

CZATTERTON.

Czym niedość już powiedział? Oddal się!

KITTY BELL.

Czy mogę teraz?

CZATTERTON.

Musisz... Ja cię kocham.

KITTY BELL.

Ach! jeśli to wyznajesz, chcesz umierać.

CZATTERTON.

Mam prawo umrzeć. — To przysięgam tobie,
I tam przysięgnę, gdy przed Bogiem stanę!

KITTY BELL.

A ja przysięgam że to czyn zbrodniczy;
Pan go nie spełnisz.

CZATTERTON.

Już skazany jestem.

KITTY BELL.

Co słyszę! jeden dzień! ach, myśl o duszy!

CZATTERTON.

Ja w duszy méj o wszystkiém już myślałem.

KITTY BELL.

Godzinę tylko! chwilę, dla modlitwy!

CZATTERTON.

Ja się nie modlę... już nie czas po temu.

KITTY BELL.

Więc ja cię błagam! ja, dla saméj siebie;
To mię zabije...

CZATTERTON.

Już za późno, mówię.

KITTY BELL.

A jeśli kocham ciebie?

CZATTERTON.

To wiedziałem,
Dla tego właśnie Bóg mą śmierć przebaczy.

KITTY BELL.

Twą śmierć! Coś zrobił?

CZATTERTON.

Kitty, już umarły
Do ciebie mówi.

KITTY BELL padając na kolana, z rękami wzniesionemi.

Wy, anieli w niebie!
Wy módlcie się nad biednym! zbawcie go!

CZATTERTON.

Precz!

KITTY BELL.

Ja nie mogę...

CZATTERTON.

Więc bądź moją wiecznie,
I módl się za mną w niebie i na ziemi.
(całuje ją w czoło, chwieje się i pada).

KITTY BELL.

Ach!... Wielki Boże! ratuj nas, mój ojcze!

(znajduje flaszkę).

Cóż to? — Trucizna! przebacz mu i mnie!...

Scena VII.

KITTY BELL, CZATTERTON, KWAKIER.

KWAKIER, wbiegając.

Zgubiona jesteś! Co ten krzyk ma znaczyć?

KITTY BELL, przechylona przez poręcz łóżka nad Czattertonem.

Patrz, patrz! on kona!... zbaw go, zbaw... na Boga!

KWAKIER.

Twój mąż cię szuka... uchodź ztąd, co żywo!

(Kitty Bell, na wpół zemdlona, idzie ku drzwiom, co krok wspierając się na sprzętach lub o ścianę; sili się otworzyć drzwi, i upada. — Słychać na dole głos wołającego Johna Bell. — Kwakier ją podnosi, sadza na stołku i drzwi otwiera. — Czatterton kona w jego ręku).

KITTY BELL, z donośnym krzykiem.

Ach!

JOHN BELL.

Kitty! mistress Bell!

(Kitty zrywa się jak na sprężynie; — dzieci przybiegają i czepiają się jéj sukni).

Gdzie wasza matka?

(Kitty chwyta biblią i czyta po cichu, modląc się, niedosłyszane wyrazy).

KWAKIER.

O! strzeżcie jéj anieli! Córko moja!

JOHN BELL wchodząc gwałtownie, w głębi.

Więc jeszcze tu zastaję moją żonę?
Gdzie ten zwodziciel? Niech go ztąd wywloką!

(Wpadają słudzy).

KWAKIER.

Niech raczéj go wyniosą, bo nie żyje.

JOHN BELL.

Umarły?

KWAKIER.

Już, w ośmnastym roku życia!
Przyjęliście go wszyscy tak wspaniale,
Że musiał uciec wam, do grobu!

JOHN BELL.

Lecz...

KWAKIER.

To dość przestrachu, dla niéj.

(wskazuje na umierającą Kitty Bell).

Weź te dzieci!
Niech zgonu jéj nie widzą.

(wyrywa dzieci z pod stóp Kitty Bell, oddaje ojcu, i bierze ją w objęcia. — John Bell je odprowadza, i staje we drzwiach oniemiały. — Kitty umiera).

JOHN BELL, przerażony.

Kitty! wstań!
Co tobie?

(wstrzymuje się przed Kwakrem klękającym).

KWAKIER, na kolanach.

Kona!... W święte twe podwoje,
O Boże, przyjm tych męczenników dwoje!

KUPIEC WENECKI,

Dramat w trzech aktach

MIAROWYM WIERSZEM

podług

SZEKSPIRA.

OSOBY.

DOŻA WENECKI.

BEJ MAROKAŃSKI } ubiegający się o rękę Portii.
KSIĄŻE ARRAGOŃSKI }

ANTONIO, kupiec wenecki.

BASSANIO jego przyjaciel, kochanek Portii.

GRATIANO krewny Antonia, kochanek Neryssy.

LORENZO, kochanek Jessyki.

SZYLOK *), żyd

TUBAL, jego spólnik.

ŻOŁĄDEK, sługa Szyloka.

STEFANO, sługa Portii.

LEONARDO, paź Gratiana.

PORTIA, dziedziczka zamku Belmont.

NERYSSA, jéj powiernica.

JESSYKA, córka Szyloka.

Senat wenecki, Sąd, Dozorca więzienia, Orszak, Muzyka, Słudzy, Paziowie.

(W pierwszym i w trzecim akcie, scena w Wenecyi; — w drugim w Belmont, na stałym lądzie).

---

*) Wymawia się Szajlok, Porcya i t. d.

Akt I*).

Rynek w Wenecyi, przed pałacem doży. — Po prawéj stronie (od sceny), dom Szyloka; po lewéj, dom Bassania; w głębi, Rialto.

Scena I.

ANTONIO, BASSANIO, LORENZO.

ANTONIO.

W istocie niewiem co mi się przyśniło;
Mnie ta tęsknota, jak i wam nie miłą.
Lecz zkąd się zbiegły chmury te złowieszcze,
Gdzie? jak? dla czego? to pytaniem jeszcze;
Choć mi ten smutek tak zajechał drogę,
Że, jak Bóg żywy, poznać się nie mogę.

BASSANIO.

O wiem ja czemu smutny nasz Antonio;
Twe błędne myśli za statkami gonią,
Co jak potężni morskich fal mieszkańce,
Z wiejącą flagą na dwa ziemi krańce,
Wzgardliwie patrzą na kupieckie łodzie,
Gdy niski pokłon biją im w przechodzie:
I orlim lotem ciągną po przestworzu.

*) Pięciomiar jambowy jak w poprzednim poemacie, z dodaniem końcówki. Tłómaczenie dyalogu, oprócz zwięźlejszego układu niektórych scen, prawie dosłowne.

LORENZO.

Ja, gdybym tyle statków miał na morzu,
Nie mógłbym spać, i równą miał obawę
O mój majątek. Wciąż bym zbierał trawę,
Pytając z jakiéj strony wiatr zawieje,
Na mapach licząc troski lub nadzieje;
A każdy szkopuł na téj śliskiéj drodze,
Jak ciebie bracie, dręczyłby mię srodze.

BASSANIO.

Przy stole, wrzącą kaszę bym wystudził,
Mój własny oddech dreszcz by we mnie budził,
Na samą myśl, iż wiatr me żagle zrywa;
Gdy w méj klepsydrze pył godzinny spływa,
Już patrzę w duszy na piaszczyste węzły,
Na których piękny Argo mój ugrzęzły,
Złamaném żebrem, i schyleniem czoła
Swój grób całuje. Wchodzę do kościoła;
Gdy zmierzę okiem te kamienne szczyty,
Już widzę rafy, których ząb ukryty
Zaledwie drasnie wątły bok méj nawy,
Wysypie w morze ziarna i przyprawy,
Lub nur ubierze w mych szkarłatów stroje.
A wreszcie, czy te skarby tylko moje?
Czy nie związany z niemi los tysiąca?
Czy moja zguba w otchłań ich nie strąca?
O, pewny jestem że nasz brat w téj dobie,
O innych myśli, więcéj niż o sobie!

ANTONIO.

Mniéj chlubny, bracie, troski méj początek;
Nie w jednym brygu leży mój majątek,
Ni w jednéj strefie; mam trzy świata części:
Choć w jednym roku los mi nie poszczęści,
Mój morski handel przecie mię nie złupi.

LORENZO.

Czyś zakochany?

ANTONIO.

Ja nie taki głupi.

LORENZO.

Nie kochasz? zgoda! Patrzysz więc żałobnie
Boś nie wesoły. Mógłbyś rzec podobnie
Że masz ochotę śmiać się, grać wesoło,
Boś nie jest smutny. Przez Janusa czoło!
Są dwa dziwaków roje na tym świecie;
Ten mizdrzy się i puste bajki plecie,
Kobziarza nawet bawi go muzyka;
Ten znowu kwaśny jak cytryna dzika,
Zaciska zęby, sierdzi się i dąsa,
Choć stary Nestor śmiałby się z pod wąsa.

Scena II.

CIŻ, GRATIANO.

LORENZO.

Lecz oto nasz przyjaciel a twój krewny,
Gratiano. Żegnam cię, Nestorze gniewny!
On może snadniéj chmury te rozpędzi.

ANTONIO.

Zostańcie, proszę; bo choć stary zrzędzi,
Obecność wasza bardzo mi przyjemną;
Nie chcecie chyba już się nudzić ze mną.

GRATIANO.

Antonio, bracia, dobry dzień!

LORENZO.

Nawzajem.
Pocieszać troski twoim jest zwyczajem,
A więc polecam ci kuzyna twego.
Zbyt rzadkim ptaszkiem stajesz się, kolego;
Bassania ci zostawiam. Do widzenia
Przy stole, przed odjazdem.

GRATIANO.

Choć jedzenia,
Po méj przyjaźni, mam na pierwszym względzie;

Gratiano zawsze wam posłusznym będzie. —
(do Lorenza, na stronie).
O pięknéj twéj żydówce, ani słowa?

LORENZO.

Téj nocy ze mną drapnąć jest gotowa;
Jéj sługa do wycieczki nam pomoże,
I oto jest jéj okno.

GRATIANO.

Szczęść ci Boże!

Scena III.

BASSANIO, ANTONIO, GRATIANO.

GRATIANO.

Kuzynie drogi, źle mi cóś wyglądasz!
Świat nie jest rajem, zbyt od niego żądasz;
Zmieniłeś się do niepoznania bracie,
Jak spadkobierca po wujaszka stracie.

ANTONIO.

Świat dla mnie światem; więcéj go nie cenię
Jak nędzną sztukę na zużytéj scenie.
W téj sztuce każdy gra zmyśloną rolę,
A moja smutną.

GRATIANO.

Ja zabawną wolę.
Nim wśród uciechy lata mię zaskoczą,
Niech win balsamem płonie pierś ochoczo,
A mroźne żale głowy mi nie mącą.
Czy godzi się by człowiek z krwią gorącą,
Z kamienia rytéj babki swéj miał postać,
Od łez i nudów chciał żółtaczki dostać,
Świętoszka całun żywcem wdział na siebie,
I jęczał wciąż, jak płaczka przy pogrzebie? —
O mój Antonio! taka chęć nie szczera.
Znam pewnych ludzi, których twarz przybiera
Powłokę mglistą, jak w kałuży błoto;

Chlubiących się milczeniem i tęsknotą,
By pewien czas uchodzić w oczach tłumu
Za wzór powagi, wiedzy lub rozumu.
To są gawrony pod piórami pawia;
Wyroczni głosem duma ich przemawia,
Znaczenia żądza wzdyma pierś i szyję,
A gdy wyrocznia mówi, sza kto żyje! —
O mój Antonio! wielu są mędrcami,
Bo nic nie mówią i nie piszą sami;
Przyganiać innym, to ich rozkosz licha,
Ich cnotą podłość, ich nauką pycha,
Ich złość bezsilna, nic nie może stworzyć;
A gdyby śmieli usta raz otworzyć,
Spłoszona gawiedź poszłaby do piekła,
Że na bliźniego „głupiec“ w głos wyrzekła! —
O mój Antonio! są to ludzie próżni;
Od innych zwierząt wszak nas mowa różni,
A nie milczenie. Porzuć więc tęsknotę,
I przestań łowić w tę udaną cnotę,
Jak w sieć dziurawą kiełbie i piskorze,
Pochwały ludzkie. — Reszta po nieszporze,
Z puharem w ręku.

BASSANIO.

Po téj szumnéj mowie,
Wypijem wszyscy za Antonia zdrowie;
Lecz do tych niemych istot się przyznaję,
Gdyż mi Gratiano słowa rzec nie daje.

GRATIANO.

Pomięszkaj ze mną rok lub dwa na los,
A sam zapomnisz jakim był twój głos.

ANTONIO.

Przy tobie żyjąc, stanie się gadułą.

GRATIANO.

Wojować lepiéj słowem jak szkatułą;
Milczeniem zaś uzacnia się na pozór
Filozof niemiec, lub wędzony ozór.

Scena IV.

BASSANIO, ANTONIO.

BASSANIO.

Czy był w tém jaki sens?

ANTONIO.

Mój brat Gratiano
Wyrazów mnóstwem głowę ma nadzianą;
Lecz arcymądry, kto w nich myśl wyczyta!
Maxymy jego są jak ziarnko żyta
W dwóch korcach plew; kto szuka, dzień utraci,
A marna korzyść trudu nie opłaci.
Lecz o téj pani cóś mi wyznać miałeś,
Do któréj w podróż milczkiem się wybrałeś;
I jaką drogą stanąć chcesz u celu?

BASSANIO.

Wiadomo ci, mój zacny przyjacielu,
Żem nadwerężył kredyt mój i mienie,
Wystawniéj trochę żyjąc, niż sumienie
A własne środki na to pozwalają.
Nie żal mi tego żem z lichwiarzy zgrają
Zmuszony walczyć, że się skromniéj żywię;
Lecz z moich długów chciałbym wyjść uczciwie,
Mój byt ustalić mniéj rozrzutną dłonią.
Winienem twéj przyjaźni, mój Antonio,
Największą sumę i najwyższą wdzięczność;
I teraz w niéj jedyną widzę zręczność
Bym ci mój zamiar szczerze mógł otworzyć,
Jak wszystkie długi razem chcę umorzyć.

ANTONIO.

Twym sługą jestem w jakiéj bądź potrzebie;
I jeśli jak niewątpię, znając ciebie,
Z honorem zgodne są zamiary twoje,
Bądź pewien że ci ku pomocy stoję,
Z majątkiem, życiem, radą lub orężem.

BASSANIO.

O wiem żeś godnym i szlachetnym mężem!

Za szkolnych czasów, strzałę gdym postradał,
Tom zaraz drugą na cięciwę wkładał,
I słał za pierwszą; lecz celując lepiéj,
Gdyż ta, sądziłem, w mecie się zaszczepi:
Tak téż i dzisiaj chcę wynaleść obie. —
Dla tego tylko to zbliżenie robię,
Że wniosek mój podobnie trafnym będzie. —
To coś mi dał w przyjaźni twéj zapędzie,
Jak pierwszy wystrzał, marnie już stracone;
Lecz jeśli chcesz w tę samą rzucić stronę
Powtórną strzałę, ręczę ci na duszę
Że lub za jedną dwie ci znaleść muszę,
Lub wystrzeloną zwrócę ci ostatnią,
I dłużnym będę za tę pomoc bratnią.

ANTONIO.

Znasz mię i tylko tracisz czas na próżno,
Krętemi słowy trapiąc chęć usłużną;
I pewnie większą krzywdę mi wyrządzasz
Gdy mię o skąpstwo w myśli twéj posądzasz,
Jak gdybyś wydał wszystkie me dostatki.
Więc powiedz prosto, śmiało, bez zagadki,
Co chcesz lub żądasz, a we dnie i w nocy,
Najchętniéj zrobię wszystko co w méj mocy.

BASSANIO.

W Belmoncie jest dziedziczka... o to mniejsza,
Pięknością słynna; lecz od słów piękniejsza
Jéj rzadka cnota. Z oczu jéj sto razy
Milczące, słodkie, doszły mię wyrazy.
Jéj imie Portia. Z wdzięku i wymowy
Podobna do téj Portii Brutusowéj,
Katona córy. Świat ją czci jak bóstwo;
Przez wszystkie morza wiatr jéj niesie mnóstwo
Książęcych synów. Włos, jak runem złotém,
Jéj skroń ozdabia swym czarownym splotem,
Z Belmontu czyniąc Kolchidy wybrzeże,
Gdzie stu Jazonów swéj zdobyczy strzeże.
Z Kadyxu właśnie przybył tą zatoką
Z hiszpańskim księciem, jakiś bej z Marokko;

Jest Polak, Niemiec, Francuz, jak na wojnie.—
O mój Antonio! gdybym mógł przystojnie
Choć jeden dzień wystąpić z niemi w szranki,
Niewątpiłbym o sercu méj kochanki;
W przeciwnym razie, wszystko to złudzeniem,
I romans mój zakończy się więzieniem!

ANTONIO.

Dłużnikiem moim jest szerokie morze;
Niewidzę źródła zkąd bym mógł w téj porze
Znaczniejszą sumę ściągnąć lub pożyczyć;
Lecz w mieście możesz na mój kredyt liczyć:
Wyprężę go jak strunę, by cię zbawić,
Byś mógł w Belmoncie godnie się przedstawić.
Idź więc, poszukaj ktoby miał pieniądze,
Z poręką moją rzecz tę łatwą sądzę;
I choć w Wenecyi złoto nie jest tanièm,
To czego pragniesz wspólnie ci dostaniem.

BASSANIO.

Ach, wdzięczność moja była już bez granic!

ANTONIO.

Przy twojém szczęściu, mam to wszystko za nic.

Scena V.

BASSANIO, ŻOŁĄDEK.

BASSANIO do Żołądka, stojącego na warcie przed domem Szyloka.

Gdzie pan?... odpowiedz!... Czy ta bestya niema?
(głośniéj).
Czy jest pan w domu?... słyszysz!

ŻOŁĄDEK.

Jest i niema.

BASSANIO.

Wszak sam widziałem jak te drzwi zamykał,
I worek złota pod opończę wtykał.

ŻOŁĄDEK.

To nie pan, ale żyd.

BASSANIO.

A, masz rozsądek.
Jak ci na imie?

ŻOŁĄDEK.

Floryan Żołądek.

BASSANIO.

Nazwisko piękne! Mój Żołądku drogi,
Mąsz na śniadanie i ustępuj z drogi.

ŻOŁĄDEK.

To co innego. Do Szyloka domu
Nie wolno bez pieniędzy wejść nikomu.

BASSANIO.

A wyjść, czy wolno?

ŻOŁĄDEK.

Przez tę furtkę ciemną
Nikt nie wychodzi, tylko z nim lub zemną.

BASSANIO.

Szczególny ród! on nas za łotrów bierze,
A sam jak złodziéj chowa swe grabieże.
(wchodzi do domu Szyloka).

Scena VI.

ŻOŁĄDEK, sam.

I ten zaprawdę kark u niego skręci!
Jak ćmy szalone złotá blask ich nęci,
Nazajutrz koza, Bóg wie jak na długo! —
Co za przyjemność być żydowskim sługą!
Nie lubię ryb, oskomę mam do wieprza,
Od jaj i czosnku wszak wędzonka lepsza;
Tu nikt nie zwącha szperki przy obiedzie,
Studniowy post, a potém chléb i śledzie!
Oj, gdyby nie Jessyka, jego córka,
Od trzech miesięcy byłbym już dał nurka
Przed tą gadziną co krew ludzką chłepce!

Za karkiem djabeł wciąż do ucha szepce: —
„Mój Floryanie, albo mój Żołądku,
Weź nogi za pas; jesteś bez majątku,
Wszak są w tém mieście księża i mieszczanie
Bogatsi jak ten żyd, i chrześcianie;
Zaprawdę, jeśli wiarę im poślubisz,
Wypasiesz się i duszy twéj nie zgubisz!“
Sumienie znowu tu przedemną plecie: —
„Sprzedałeś się żydowi na trzylecie,
Więc zostań aż upłynie termin twój.“ —
Czart mówi: „zmykaj!“ a sumienie: „stój!“
Powiedzcie państwo, kto słuchania godny?
Cóż po sumieniu, gdy Żołądek głodny! —
Wychudłem, zbladłem, aż mię trzęsie febra;
Na palcach ślepy mi policzy żebra,
Dziurawy płaszcz i spodnie wiatr przewierca...
Sumienie, zlituj się; ty niemasz serca! —
Bo wreszcie powiedz na co mi się przyda
Za piecem siedzieć kopę lat u żyda,
Jeżeli głodem zmorzy mię sobaka?
Czart lepiéj radzi; w nocy dam drapaka
Do tego pana co dla swéj Jessyki
Nie szczędzi worka, listów i muzyki;
Lub jeśli mię nie przyjmie brat za brat,
To pójdę za granicę, w boży świat,
Aż do murzynów, tam gdzie pieprz się rodzi;
I... co za szczęście! oto sam nadchodzi.

Scena VII.

ŻOŁĄDEK, GRATIANO, LORENZO, LEONARDO.

GRATIANO.

Załatwij to, mój mały Leonardo.
Wiesz com ci zlecił, głowę masz nietwardą,
Więc bierz co lepsze, i nie kupuj tanio;
Spiesz się, z obiadem czeka mię Bassanio.

LEONARDO.

O! zrobię wszystko co się da, w téj mierze;
Wenecyą całą statek nasz zabierze!
(wychodzi).

GRATIANO.

Tak więc wyśliźniem się podczas obiadu;
I za godzinkę, bez żadnego śladu,
Powrócim nazad jakby nic nie było.

LORENZO.

Ja radzę się uzbroić większą siłą.

GRATIANO.

To moja rzecz; dziś kończy się karnawał,
Do maszkarady mam przyjaciół nawał...
A; jeszczem niezamówił pochodniarzy.

LORENZO.

Nietrzeba nam uchodzić za zbrodniarzy;
Więc bierźmy się do dzieła, bez hałasu.

GRATIANO.

Dopiero szósta, dwie godziny czasu
Do przygotowań. — Dla uciechy większéj
Przytomność żyda wieczór nam upiększy;
A po wieczerzy, ku północy staniem
Z Jessyką twoją w Belmont, za Bassaniem.

(Żołądek zbliża się i podaje kapelusz).

LORENZO.

Cóż mi przynosisz?

ŻOŁĄDEK.

Niech pan ręką własną
Otworzyć raczy; list odpowie jasno.

LORENZO.

Znam dobrze rączkę która go pisała;
To rączka śliczna, pulchna i tak biała
Jak jéj bilecik.

GRATIANO.

Pewno list miłosny;
Po skutku sądzę, bo twój wzrok radosny.

LORENZO, dając inny list Żołądkowi.

Weź to i zanieś; powiedz jéj misternie
Że z jéj wezwania cieszę się niezmiernie. —
Ja biorę cię do służby.

ŻOŁĄDEK, kładąc list do kieszeni.

Dzięki Bogu!
Nie będę stać na warcie przy tym progu,
Słuchając szczęku złota, gdy ten czart
Rachuje, waży, brząka, jak na żart!
Lecz za przesyłkę jeden choć dukatek...

LORENZO.

Masz dwa, nieobrzezane, na zadatek.
Przyjdziemy za godzinę, pokryjomu;
Pamiętaj i bądź zdrów.

(Żołądek wychodzi).

A my, do domu.
Gdy podczas uczty żyd z Bassaniem gości,
Wykradniem ztąd córeczkę jegomości.

GRATIANO.

Ten list żydówki co ci też opiewa?

LORENZO.

Że mego przyjścia w nocy się spodziewa;
Że z klejnotami swéj nieboszczki matki,
W Żołądka piórach, ptak ucieknie z klatki,
I że czułością kocha mnie niezgasłą:
Światełko w oknie da wycieczki hasło.
Tak jeśli w niebie ojciec jéj zasiędzie,
Anielskiéj córce to zawdzięczać będzie;
A jeśli rajem Bóg jéj nie nagrodzi,
To chyba za to że ten czart ją rodzi. —
Weź, czytaj idąc jéj miłości posła;
Jessyka będzie nam pochodnię niosła.

Scena VIII.

SZYLOK, BASSANIO.

BASSANIO, wychodząc z domu Szyloka.

Potrzeba mi dukatów trzy tysiące.

SZYLOK.

Nu, dobrze. —

BASSANIO.

Zaraz!

SZYLOK.

Nu, na trzy miesiące.

BASSANIO.

Nie, na trzy dni.

SZYLOK.

Niech będzie na trzy dni! —
Po sto na dzień.

BASSANIO.

To wiele!

SZYLOK.

Za co mniéj?

BASSANIO.

Antonio będzie mym poręczycielem.

SZYLOK.

Antonio dobry. —

BASSANIO.

Bądź mym przyjacielem,
Ja twym dłużnikiem; ja zapłacę sam,
Lecz on podpisze kwit.

SZYLOK.

Antonia znam.

BASSANIO.

Słyszałeś co w téj mierze przeciwnego?

SZYLOK.

Aj, nie, nie, nie! — Gdy mówię tak do niego:
Antonia znam, to dobre na początek;
Choć jego podpis lepszy niż majątek.

BASSANIO.

Co, jakto?

SZYLOK.

Czysty zysk przenoszą długi;
Ma jeden bryg w Algierze, w Indjach drugi,
Słyszałem téż w Rialto że ma trzeci
Aż w Mexyku; do Anglii czwarty leci,
A resztę pchnął na cały krąg niebieski. —
Majtkowie ludzie, a okręta deski,
Na morzu wszystko wątłe, i przygodne;
Są ziemne szczury, są i szczury wodne,
I jak lądowe, morskie są złodzieje,
To jest korsarze. Wreszcie są koleje
Bałwanów, wiatrów, skał. Choć to powiadam,
Antonio dobry. — Trzy tysiące składam;
Nie stracę nic za jego poręczeniem.

BASSANIO.

Więc chcesz mi pomódz?

SZYLOK.

Chcę! lecz przed ziszczeniem,
Czyś pan już pełnoletni?

BASSANIO.

To pytanie!

SZYLOK.

A prawda, wąsy. Więc ugoda stanie.

BASSANIO.

Bezpiecznie dla nas obu.

SZYLOK.

Ja tak myślę.
Choć dla pewności, rzecz zważywszy ściśle,
Z Antoniem pierwéj chciałbym się naradzić.

BASSANIO.

Na obiad z nami daj się poprowadzić.

SZYLOK.

Nu, szynkę wąchać! karmić się prosięciem,
W co Nazarejczyk, prorok wasz, zaklęciem,
Wleść kazał djablu! Ja chcę z wami gadać,
Prowadzić handel; lecz do stołu siadać,
Lub modlić się, żydowskie prawa bronią. —
Co słychać w rynku?

BASSANIO.

Powie ci Antonio.

Scena IX.

CIŻ, ANTONIO.

SZYLOK, na stronie.

To on! wygląda jak poborca danin.
Ja nienawidzę go, że chrześcianin;
Lecz bardziéj za to że ten sławny kupiec
Pożycza darmo, jak ostatni głupiec:
Że krzywdzi mię, obniża stopę srebra.
O gdybym mógł mu raz pomacać żebra,
Ma stara zawiść ulgi by doznała.
W Rialto nawet, tam gdzie giełda cała,
Ten łotr wzgardliwém ściga nas przezwiskiem;
Mnie, moje sprawy, z mym godziwym zyskiem,
Mianując lichwą. Przeklnij mię proroku,
Jeżeli mu przebaczę!

BASSANIO.

Cóż, Szyloku?

SZYLOK.

Zasoby moje jam obliczał w głowie;

I gdy się na tém dobrze zastanowię,
Niebędę mógł w całości przysposobić
Dukatów trzech tysięcy. Nu, cóż robić?
Mój krewny Tubal da co mi nie stanie.
Na ileż dni? —

(do Antonia).

A, witam, jaśnie panie;
Mówiliśmy tu właśnie, o waszmości.

ANTONIO.

Szyloku, chociaż wedle méj możności
Na wszelkie czynsze mych pieniędzy skąpię,
Od téj zasady chociaż raz odstąpię,
Gdy mój przyjaciel w nagłym jest kłopocie. —
Wiesz ile żąda?

SZYLOK.

Trzy tysiące w złocie.

BASSANIO.

I na trzy dni.

SZYLOK, do siebie.

A później rok w areszcie.

(głośno).

Trzy dni, tak, prawda! — Nu, zobaczym wreszcie;
Poręka wasza całą rzecz uświęci. —
Pan zwykłeś mawiać, jak to mam w pamięci:
„Nie bierz pieniędzy ani nie pożyczaj
Na żaden procent.“

ANTONIO.

Taki mój obyczaj.

SZYLOK.

Dowiodę łatwo że pan jesteś w błędzie.

ANTONIO.

Ciekawym bardzo; to zabawném będzie.

SZYLOK.

Gdy Jakób pasł u teścia swego trzody...
Po Abrahamie był ten Jakób młody
(Za przyczynieniem mądréj swéj macierzy),
Z kolei trzecim z książąt i z pasterzy.

ANTONIO.

Lecz co za związek... czy się lichwą bawił?

SZYLOK.

Nie! choć po sobie liczny ród zostawił,
On lichwy nie brał, co się lichwą zowie;
Słuchajcie tylko co nam pismo powie. —
Gdy Laban taką przyrzekł mu zapłatę
Iż każde jagnie pstre lub pręgowate
Na rzecz Jakóba spadnie, ku jesieni
Wracały tryki do teściowéj sieni.
I gdy z owcami, jak czytamy w księdze,
Plemienne dzieło w całéj szło potędze,
Chcąc sam owładnąć przyszłych trzód zawiązek,
Przemyślny pasterz korę zdjął z gałązek,
I zatknął w ziemię kołki przed maciory,
Naprzemian całe i obrane z kory.
Gdy te poczęły, same z nich bliźnięta
I same pstre rodziły się jagnięta;
Te Jakób dostał, z teściem żył przykładnie
Zysk błogosławi, gdy go się nie kradnie.

ANTONIO.

To był przypadek szczęsny dla Jakóba;
Choć nie dla niego ztąd wynika chluba,
Gdyż Bóg swą dłonią go sprowadził z dala.
Lecz czy to wszystko lichwę brać pozwala?
I nad twym wnioskiem lepiéj się zastanów;
Czy złoto stadem owiec i baranów?

SZYLOK.

Nie wiem; lecz równie szybko je rozmnażam. —
Nu, jeszcze słówko.

ANTONIO, do Bassania.

Patrzaj, jak uważam,
Czart śmie przytaczać pismo, gdy mu trzeba.
Skażony duch, bluźniący słowem nieba,
To pod uśmiechem skryty wróg morderca,
Lub złote jabłko zgniłe aż do serca.
W jak święty pozór się przybiera zbrodnia!

SZYLOK, do siebie.

Trzy dni od siedmiu: — całe pół tygodnia!

ANTONIO.

No cóż, Szyloku, mamyż ci być dłużni?

SZYLOK.

Signor Antonio, jeszcze cóś nas różni.
Gdyś na Rialto lżył me nędzne zyski,
Z wruszeniem ramion zniosłem te pociski,
Bo na cierpienie żyd ma duszę twardą.
Niewiernym psem nazwałeś mię z pogardą,
I plwałeś na żydowską mą sukmanę,
Za to że lubię handel i zamianę.
Aliści teraz jestem ci potrzebnym;
Więc mówisz do mnie tonem wpół pochlebnym: —
„Szyloku, daj pieniędzy!“ Wy, nieczuli,
Wy coście flegmę na mą brodę spluli,
Jak psa zdeptali w hańbie i ohydzie,
Wy śmiecie mówić: „Daj pieniędzy żydzie!“
Cóż na to mam powiedzieć? — „Jaśnie panie,
Czy podły pies ma złoto? czy dostanie
Tak znaczną sumę?“ Lub z okrągłym trzosem,
We dwoje zgięty, rzec dłużnika głosem: —
„Wielmożny panie, lżyłeś mię we środę;
We czwartek z rana plwałeś na mą brodę,
Kopnąłeś w piątek; za te uprzejmości,
Pieniędzy dam co łaska jegomości.“

ANTONIO.

Jam jeszcze gotów lżyć cię jak włóczęgę,
Uderzyć nogą, pluć na twą siermięgę,

Ponieważ nasza zguba cię bogaci;
Przyjaźni nie chcę, (kiedyż brat od braci
Lichwiarski ciągnie zysk z płonnego złota?)
Lecz daj przez zemstę, drzyj nas jak niecnota,
Byś po schybieniu mógł na giełdzie drożéj
Nasz dług odprzedać.

SZYLOK.

Nu, jak pan się sroży!
Ja z wami chciałem odtąd żyć w przyjaźni,
Przejednać was, niepomny krzywd i kaźni;
Wydobyć bliźnich z téj chwilowéj nędzy,
I bez szeląga zysku z mych pieniędzy:
Wszak to uprzejmie?

ANTONIO.

To bajeczna powieść.

SZYLOK.

I tę uprzejmość zaraz chcę wam dowieść. —
Pójdziemy spisać układ u rejenta;
W nim klauzula na żart ma być objęta:
„Iż gdy pojutrze, w téj a téj godzinie,
W tém a tém miejscu, trzeci dzień upłynie,
A nie odbiorę tego co wam daję
W brzęczącém złocie, prawo mi przyznaje
Funt mięsa wzięty gdzie mi się podoba
Z waszego ciała.“

ANTONIO.

To podpiszem oba,
Funt mego mięsa już nie wiele wart.

BASSANIO.

Co za szaleństwo!

ANTONIO.

To żydowski żart.

BASSANIO.

Ja protestuję! nim ten kwit podpiszę,
Niech raczéj wyrok śmierci mój usłyszę!

ANTONIO.

Nie lękaj się, zawodu mu nie zrobię;
Najdaléj jutro, więc w rzeczonéj dobie,
Odbiorę z pewnym statków mych powrotem,
Jak piszę dożą, sto tysięcy złotem.

SZYLOK.

O Abrahamie! cóż to są za ludzie?
Żyjący sami w kłamstwie i obłudzie,
Jak ci niewierni źle o innych sądzą!
Bo jeśli w drodze statki twe zabłądzą,
Cóż zyskam z tego co mi się należy?
Czy funt ludzkiego mięsa, choć i świeży,
Jest tyle wart co wołu lub jagnięcia?
Dla waszéj łaski, dla waszego wzięcia,
Chcę wam dopomódz; nie, to idźcie z Bogiem,
Lecz już przestańcie zwać mię psem i wrogiem!

ANTONIO.

Niech w takiéj treści układ się rozpocznie.

SZYLOK.

Więc u rejenta zejdziem się niezwłocznie,
Możecie kwit zawczasu przygotować;
Ja zaś by sumę zważyć i zrachować
Do domu zajrzę, nim godzina przyjdzie
Wieczerzać z wami.

ANTONIO.

Spiesz, uprzejmy żydzie.
(do Bassania).
On będzie przechrztą, bo się jakoś kruszy.

BASSANIO.

Nie lubię pięknych słów, przy podłéj duszy.

ANTONIO.

Pójdź; w każdym razie nim ten kwit zapadnie,
Okręty moje tu powrócą snadnie.

Scena X.

SZYLOK; później ŻOŁĄDEK I JESSYKA.

SZYLOK.

„Oszukuj goja, tak nas Talmud uczy,
I daj mu ścierwo, gdy mu głód dokuczy“.
Ja tę naukę chcę wykonać ściśle,
I mściwy zamiar krąży w mym umyśle.
O ja niecierpię tych pogańskich panów,
Kaima plemie, istny rój szatanów;
To lwy ryczące, wściekłe, bez litości,
Gdy na czczo zwietrzą mięso, krew lub kości:
Lecz brzęknij złotem, rzuć im parę kies,
Lew rżący zniknął, a zostaje pies!
Hej, gdzie Żołądek?

ŻOŁĄDEK, wychodząc z domu Bassania.

Kto tam!

SZYLOK.

Ja, twój pan.

ŻOŁĄDEK.

Mój pan Lorenzo, mam zacniejszy stan,
Bo wchodzę w jego służbę.

SZYLOK.

Nu, tém lepiéj,
Gdy do leniwca żarłok się przylepi!
Przekonasz się, nim znowu cię wypędzą,
Czém stary Szylok, a czém jest Lorenzo...—
Jessyko, hej!... — Nie będziesz w pełnéj misie
Koszerne mięso trefić, ty urwisie!
Dzień cały chrapać, sukni drzeć na łyko...—
Pójdź tu, Jessyko, żywo!

ŻOŁĄDEK, wrzeszcząc.

Hej! Jessyko!

SZYLOK.

A kto ci kazał wyć, jak wilk pod lasem?

ŻOŁĄDEK.

Mówiliście mi z rana, przed szabasem,
Bym nic nie robił w domu, bez rozkazu.

JESSYKA, wychodząc z domu Szyloka.

Wołacie, ojcze?

SZYLOK.

Było przyjść od razu.

(rozbierając Żołądka).

Weź płaszcz, kapelusz... zanieś do Jonasza...
Bassanio dziś na obiad mię zaprasza.

ŻOŁĄDEK do Jessyki, na stronie.

Jest list w kieszeni.

JESSYKA.

Dobrze, już go mam.

SZYLOK.

Lecz po cóż pójdę? Ja się na tém znam.
Zaprosił mię z potrzeby nie z przyjaźni;
Ja pójdę z nienawiści: bo mię drażni
Rozrzutność tego chama... Klucz od domu,
Masz moje dziecię, nie daj go nikomu;
W kieszeni trzymaj...— cóś się złego knuje,
Bo mi się śniło złoto; gdy rachuję,
Aż nagle złoto w ołów się przetapia...
Dla tego też odprawiam tego gapia.
Niechętnie idę, bo przeczuwam zdradę.

ŻOŁĄDEK.

Mój nowy pan zgotował maszkaradę,
Przy stu pochodniach, by zabawić teścia;

Na bal zaprosił błaznów aż z przedmieścia,
I pewno będzie tam zabawa wściekła... —
Bo w przeszły czwartek krew mi z nosa ciekła
O czwartéj z rana; był to czwartek tłusty.
A czwartek ów przypadał w te zapusty
Na ten sam dzień co w zeszłych był popielec...

SZYLOK.

Nu, maszkarada? widzisz go, wisielec!
Zasunąć drzwi; a jeśli w kotły biją,
Lub dudlą na fujarce z krętą szyją,
U okien mych nie wieszać się ze świecą,
I nie wychylać głowy nad ulicą,
By patrzeć na te pstro barwione goje!
Zamykać ujścia domu i pokoje;
Niech dźwięk swawoli, tych szaleńców zguba,
Nie wejdzie w skromny dom. — Na kij Jakóba,
Ten zgiełk pogański uszu mych nie dotrze!
Lecz muszę kwit odebrać. — Naprzód, łotrze...
Gdzie idziesz?

ŻOŁĄDEK.

Naprzód idę, za rozkazem.

SZYLOK, biorąc go za ucho.

Idź precz, do djabła!

ŻOŁĄDEK.

Nu, pójdziemy razem! —
(wracając do Jessyki, na stronie).
Stój panna w oknie; przyjdzie któś o mroku,
Co choć jest gojem, wart żydówki wzroku.
(Szylok go wypędza).

SZYLOK.

Co szczekał ci ten głupi syn Agary?

JESSYKA.

„Bądź panna zdrowa...“ Dałam dwa talary.

SZYLOK.

To nadto. Nie zły drab, choć żarłok wielki;
Do pracy żółw, krokodyl do butelki,
A śpi jak wąż. W mém ulu na co trutnie?
Więc do Lorenza. Niech go drze wierutnie,
Niech mu pomaga do marnotrawienia
Cudzego grosza.— Idę, od niechcenia;
Wczas wrócę. Tubal miał mi się dowiedzieć
Jak stoi złoto...— Modlić się i siedzieć!
A drzwi zarygluj. Rzecz pod kluczem święta;
Gospodarz dobry zawsze to pamięta.

(wychodzi).

JESSYKA.

Sny szczęścia, jeśli wy mię nie łudzicie,
Straciłam ojca; on utracił dziecię!

(wchodzi do domu).

Scena XI.

GRATIANO, LEONARDO i KILKU PRZYJACIÓŁ; wszyscy zamaskowani; później LORENZO i JESSYKA.

(Mrok zapada).

LEONARDO, z pochodnią w ręku.

Pod tą wystawą kazał nam Lorenzo
Na siebie czekać.

GRATIANO.

Jak godziny pędzą!
Już ósma biła! Nocne te motyle
Uprzedzać zwykły swych zalotów chwile;
I nie czekając dni stęsknionych końca,
Do gwiazd kochanek lecieć jak do słońca.

LEONARDO.

O prawda! stokroć Wenery gołębie
Pośpieszniéj biegną na miłości głębie,
Niż na małżeństwa już przekwitłe ślady.

GRATIANO.

Tak musi być. Któż wstaje od biesiady
Z tym apetytem z jakim doń przybywał?
Gdzie taki koń co drugi raz się zrywał
W męczący zawód z tym ognistym pędem
Co raz mu służył? Żądza jest obłędem;
Znużenie, sytość, oto kres jéj smutny.
Jak strony młodzian, lub jak syn rozrzutny,
Wypływa okręt w swéj świetności wiośnie,
Z lubieżną falą pieści się miłośnie;
I jak syn żebrak, wraca znów przed rokiem
Z rozdartą flagą i zakleśłym bokiem,
Od zmiennéj fali zgięty i zniszczony.

(Okno Jessyki się rozświeca).

LEONARDO.

Ktoś idzie; resztę schowaj pan, dla żony.

LORENZO, wchodząc.

Wybaczcie mi tę zwłokę, przyjaciele;
Jak mąż jutrzejszy, mam zatrudnień wiele.
Gdy wam wypadnie żony kraść, przyrzekam
Że na was także całą noc poczekam. —
Lecz oto znak; tu mieszka żyd, mój teść.

(klaszcząc w dłonie).

Hop, hop, otworzyć i to światło znieść!

JESSYKA ukazując się w oknie, w ubiorze pazia.

Co wy za jedni? zkąd nam tyle gości?
Choć was poznaję, mówcie, dla pewności.

LORENZO.

To ja, Lorenzo, twój kochanek.

JESSYKA.

Wierzę
Żeś mój kochanek, bo cię kocham szczerze;
Lecz czy mię kochasz z duszy, czy przypadkiem?

LORENZO.

Ach, twoje serce niech mi będzie świadkiem!

JESSYKA.

Wysłałam Sarę aż na drugi rynek;
Mnie straszno kochać, czy to zły uczynek?
Weź tę szkatułkę, warta jest starania.
Jam bardzo rada że mię noc osłania;
Gdyż ubiór chłopca trapi mię i wstydzi.
I miłość ślepa; ona też nie widzi
Kochanków drobnych pustot i zalotów;
Bo gdyby mogła, syn jéj spłonąć gotów
Ze wstydu że płeć moja tak odmienna...

LEONARDO.

Jak zorza śliczna!

GRATIANO.

Nie, jak noc wiosenna.

LORENZO.

Weź tę pochodnię; pod wystawą stoję...

JESSYKA.

Co! światło rzucać na przebranie moje?
Mój wstyd już nadto jawny, dla méj zguby;
Chcesz mię odsłonić jeszcze? nie, mój luby:
Ja wolę być ukrytą.

LORENZO.

Moje życie,
Ta noc najlepsze daje ci nakrycie;
Dyana w niebie łączy się z porankiem,
I czeka cię Bassanio z twym kochankiem.

JESSYKA.

Niech drzwi przychylę, zniosę dwa rubiny,
I trochę złota. Zaraz, mój jedyny!

(rzuca mu pocałunek i znika z okna).

GRATIANO.

To klejnot nie żydówka, na sumienie!

LORENZO.

Przeklnijcie mię, lecz kocham ją szalenie.
Że jest roztropna, każdy z was się zgodzi;
I piękna, jeśli oko mię nie zwodzi:
A wierna, że wyrazu mi nie stanie.
Więc za ten rozum, piękność i kochanie,
Ja wiernym też jéj będę.— Mili goście,
Ruszajmy; łódka czeka nas przy moście!

Scena XII.

CIŻ, ANTONIO; później SZYLOK.

ANTONIO, wchodząc po ciemku.

Kto tam!

GRATIANO.

Antonio?

ANTONIO.

Wstydźże się Gratiano;
Dziewiąta bije, wszędzie was szukano:—
Zaledwie w domu mamy czas obiadać,
Bo już Bassanio chce na okręt wsiadać.

GRATIANO.

I ja też wielką chętkę mam téj nocy
Na łódkę wsiąść, i płynąć z całéj mocy.

(Leonardo zapala pochodnię).

JESSYKA, wchodząc w płaszczu Żołądka.

Bądź zdrów, mój ojcze! tęskno mi bez miary
Że się wyrzekam ciebie i twéj wiary;
Tyś dał mi życie, moją krew dziecięcą,
Lecz nie żydowskie serce... O Lorenzo,
Dotrzymaj słowa! jeszcze dziś ochrzczoną,
Do śmierci będę twą najczulszą żoną.
Mój ojciec!

SZYLOK, wychodząc z domu Bassania.

Tyś tu jeszcze, na przekorę!
I w moim płaszczu! Jutro ci odbiorę;
A dzisiaj, precz!

JESSYKA, odchodząc.

Gdy ojciec mię odgania,
Z kochankiem moim pójdę do Bassania.
(bierze pochodnię z ręki Leonarda i wychodzi).

Scena XIII.

SZYLOK, MASKI w głębi.

SZYLOK.

Jak mię znużyły te przeklęte maski!
Zaledwiem uciekł; wszędzie tłum i wrzaski!
To ich karnawał!... daj pieniędzy komu!
Przeczucie dziwne nęci mię do domu.
Mam kwit Bassania, kwit na trzy tysiące...
Już dałem dwa, od reszty zysk potrącę,
Po sto na dzień... ja z Portią się nie żenię...
A jeśli schybi? protest, sąd, więzienie...
Zobaczmy jeszcze jak tan oblig brzmi:
(siada przy latarni i czyta).
„*Jeżeli o dwunastéj, za trzy dni,*
Żyd nie dostanie swoich trzech tysięcy
Trzechset dukatów...“ Ja nie żądam więcéj.
„*Ma prawo mię pochwycić bez wyroku*
I pod sąd oddać, by z mojego boku
Funt mięsa wyciąć.“ Podpis... nu, to śmiało!
Bassania złoto lub Antonia ciało;
Ten stary głupiec ręczy za młodszego,
Niech oba pilnie zemsty méj się strzegą:
Ja im nie schybię!
(wstając).
Co, to drzwi otwarte!
I okno także?... czy mam iść po wartę?...
Jessyko!... milczy... Sara!... co się dzieje!...
Nikogo w domu... wkradli się złodzieje...
Gdzie moja córka? czy uciekła z gojem?

Jam ją wypędził pod Żołądka strojem!
Lecz z kim? gdzie? dokąd?... cały dom złupiony;
Szkatułki niema... gwałtu! jam skradziony!...
Pieniądze moje, com je sam karbował,
Obcinał, ważył, pod pieczęcią schował,
Dwa worki pełne, sześć tysięcy straty,
Strefione wszystko, córka i dukaty!...

(Tańce i muzyka w głębi;— z wściekłością).

Przekleństwo tobie, podła ty niecnoto!
Za moje perły, moją krew i złoto;
W kolebce czemu jeszczem cię nie zdusił,
Lub nie oślepił, by cię czart nie kusił!
Kamienie drogie córka mi wykradła...
Bodaj zginęła wiecznie i przepadła!...

(w obłąkaniu).

Cóż to za widma w koło mnie się snują?
Złodzieje w maskach!... śmieją się, tańcują,
I coraz bliżéj ten grobowy śpiew...
Litości! sądu! zemsty! krew za krew!

MASKI, w koło niego.

Ha, ha, ha!...

SZYLOK, załamując ręce.

Biada méj nieszczęsnéj głowie!
Wszak między wami także są ojcowie
Co mają perły, złoto i kamienie;
Zaklinam was, na duszę, na sumienie,
Szukajcie córki, wszystko ma przy sobie,
Niech ją zabiję, niech ją widzę w grobie;
A jeśli umrę z mą rozpaczą wściekłą,
Niech razem ze mną was pochłonie piekło!...

(pada wpół martwy).

LEONARDO, wychodząc z Gratianem z domu Bassania.

Ktoś padł pod mostem... przy nim leży kwit...
Zostawmy go, to trup!

GRATIANO.

To Szylok żyd!...

Akt II.

Belmont. — Sala w pałacu Portii. — W głębi, framuga za firanką. — Po obu stronach, drzwi sklepione.

Scena I.

PORTIA, NERYSSA.

PORTIA.

Nerysso moja, wielce mi się nudzi
W tak wielkim świecie, wśród tak małych ludzi.

NERYSSA.

I słusznie pani, gdyby ten co w niebie
Uszczuplił dary które zlał na ciebie.
A przecie nadmiar, skąpy lub rozrzutny,
I niedostatek jest zarówno smutny;
I z rąk fortuny ci co nadto wzięli
Są nieszczęśliwi, jakby nic nie mieli.
Kto ceni mierność, znajdzie w niéj pożytek;
Ubóstwo skromne dłużéj trwa jak zbytek.

PORTIA.

Roztropna myśl, choć w główce twéj zawarta.

NERYSSA.

A gdy spełniona, czy nie więcéj warta?

PORTIA.

Kto dobrze radzi, często sam źle czyni.
Niejedna kruchta lepsza od świątyni,
A wiejska strzecha od pańskiego progu;
Ten kaznodzieja co sam żyje w Bogu.
Stu różnym ludziom bym radziła raczéj,
Niż była jedną z moich stu słuchaczy.
Daremnie żądzy mózg nadaje prawa,
Lód jego stopi krwi gorącéj wrzawa;
Rozsądek starzec nad młodością zrzędzi,
A ta, jak szermierz, w sieć tamtego wpędzi;
Tak zawsze cnotę płochy szał zwycięża.
Lecz cóż mi z tego do wyboru męża?
Wyboru! czy mi godzi się wybierać?
Czym nie powinna czucia się zapierać,
I oddać rękę z mym majątkiem razem
Związaną ojca groźbą i rozkazem,
Jak w losowaniu fant lub worek złota?
Czy ty pojmujesz co to za tęsknota
W dwudziestym roku widzieć się niezdolną
Lub słuchać serca, lub pozostać wolną?

NERYSSA.

Cnotliwi ludzie, gdy nad grobem stają,
Przy śmierci dobre też natchnienia mają;
A ojciec pani był to człowiek święty.
Więc w téj loteryi w skrzyniach trzech zamkniętéj,
Z ołowiu, srebra, złota, kto wybierze
Właściwą skrzynię, ten ze wszech miar wierzę
Iż będzie godzien szczęścia i miłości.
Lecz jaką skłonność czujesz dla tych gości
Co serca pani jak dłużnika strzegą?

PORTIA.

Nazwiska wymień; ty z opisu mego
Sądź jak pomyślném będzie ich małżeństwo.

NERYSSA.

Więc książe z Neapolu ma pierwszeństwo.

PORTIA.

To młody źrebiec. Wciąż o kursach prawi;
Kuć konie, siodłać, to go jedno bawi:
Snać księżna matka, z której się przechwala,
Musiała się zapatrzyć na kowala.

NERYSSA.

A pan podstoli, magnat ów z Krakowa?

PORTIA.

Pod dumném czołem myśl nie zawsze zdrowa.
Zmarszczony wiecznie, jakby chciał powiedzieć:
„Mnie pani wybierz; nie, to proszę siedzieć.“
Uciesznych bajek słucha bez uśmiechu,
I wesołości chroni się jak grzechu.
Na filozofa wyjdzie w swéj starości,
Gdy już za młodu życia nam zazdrości.
O! trupią głowę wolę, żart na stronę,
Jak takie dwie, choć jaśnie oświecone.

NERYSSA.

A pan margrabia co się z nim założył?

PORTIA.

To człowiek, zgoda; gdyż go Bóg utworzył.
Wiem że z bliźniego szydzić nieprzystojnie;
Lecz ten! wie wszystko, był na każdéj wojnie,
Brwi marszczy piękniéj jak sam pan podstoli,
Mieć koni lepszych księciu nie pozwoli:
Tłum ludzi w jednym. Kiedy drózd zanuci,
On zaraz w kozły! z cieniem swym się kłóci;
Z tym jednym mężem będę mieć dziesięciu.
Przebaczę wzgardę jak włoskiemu księciu,
Lecz nigdy miłość, jeśli mnie się imie.

NERYSSA.

A lord angielski, jak mu tam na imie...
John Faulconbridge... zmyliłam się zapewne.

PORTIA.

Nazwisko piękne, Faulconbridge, i śpiewne.
Nie mówię z nim, bo się nie rozumiemy.
W łacińskiéj, włoskiéj lub francuskiéj, niemy;
A że angielska mowa mi nieznana,
Więc do oświadczeń trzeba mu drogmana:
I to mię dziwi, jak chcąc się zrozumieć,
Anglicy mogą własny śmiech przytłumić.
Uczciwe serce w nim się stracić boję;
Lecz kto z posągiem gada? Co za stroje!
Z Paryża kaftan, z Włoch odzienie spodnie,
Kapelusz z Niemiec; więc ubrany modnie.

NERYSSA.

A baron szkocki co przy lordzie siada?

PORTIA.

Uprzejmy sąsiad. W twarz wziął od sąsiada
I przysiągł oddać. Ten go pięścią wybił;
Zaręczył Francuz, lecz w terminie chybił.

NERYSSA.

A młody Niemiec, wnuk saskiego księcia?

PORTIA.

Pijany wart cóś więcéj od bydlęcia,
A od człowieka trochę mniéj, gdy trzeźwy;
Przy stole tylko jest zanadto rzeźwy.
Cokolwiekbądź, nie złowi mię to zwierze.

NERYSSA.

A jeśli zechce wybrać i wybierze;
Czy pani woli ojca się sprzeciwisz?

PORTIA.

Wyborem lepszym ty go uszczęśliwisz.
W jałowe skrzynie, na przypadek wszelki,
Reńskiego wina włożysz dwie butelki;
I choćby szatan wabił go do trzeciéj
On do nich pójdzie, gdy go woń zaleci.

NERYSSA.

Powodu niemasz pani się obawiać
Tych adonisów; bo mi zwykli mawiać
Iż w losowaniu choć im się poszczęści
Odjadą zaraz na trzy świata części,
I swemi hołdy już cię niechcą trudzić,
Gdy niezdołali twéj miłości wzbudzić.

PORTIA.

Szczęśliwa droga! bramę każ otworzyć;
Bo choćbym miała lat Sybilli dożyć,
Tak czystą umrę jak bogini nocy,
Nim który żywcem zyska mię z przemocy.
Z pomiędzy wszystkich których mi nasłano,
Los wybrał trzech, i ci tu wkrótce staną;
Przed niemi złożym te fatalne skrzynie.

NERYSSA.

Pamiętasz pani o Wenecyaninie,
Przystojnym, zręcznym, ba i literacie,
Którego stryj markizem w Montferacie?

PORTIA.

Czy nie Bassanio? wszak się tak nazywał.

NERYSSA.

Za życia ojca jeszcze tu przebywał.

PORTIA.

A tak, pamiętam. W stroju choć żałobnym,
On sam do ludzi jakoś był podobnym.

NERYSSA,

Choć pan, ma dowcip; żal mi go, i bardzo,
Bo głupcy u nas rozumnemi gardzą.

PORTIA.

Naukę lubię w innych jak i w sobie,
I kiedy mogę, skroń jéj laurem zdobię.
Mam książek wiele w staréj téj framudze,

Prawniczych nawet; czytam, gdy się nudzę.
Znam kodex, mówię po łacinie czysto,
I kiedyś biegłym stanę się jurystą.

NERYSSA, śmiejąc się.

Ha, ha! kto, pani? chciałabym ją widzieć
W sądowéj todze!

PORTIA.

Źle z nauki szydzić.
Wszak i ty często nad romansem ziewasz!
To będzie pierwéj niżli się spodziewasz;
I w adwokata gdybym się przebrała,
Przed samym dożą proces bym wygrała.

NERYSSA.

Nim przed kratkami staną jéj tyrany,
Z Bassaniem proces pewno już wygrany.

Scena II.

CIŻ, STEFANO.

PORTIA.

Cóż nam doniesiesz?

STEFANO.

Po zwodzonym moście,
Z orszakiem licznym, trzéj tu jadą goście...

PORTIA.

Nerysso, słyszysz?

STEFANO.

Jeden bej z Marokko,
Z obliczem żółtym, z kitą tak wysoką;
Z nim z Arragonu książe, czy z Grenady...

PORTIA.

Czy także żółty?

STEFANO.

Nie, jak całun blady.
I trzeci także chce się widzieć z panią;
Lecz ten rumiany.

NERYSSA, na stronie.

Trzeci, to Bassanio.

PORTIA, u okna.

O nieba! choćby lew ten afrykański
Miał duch anioła w piersi swéj szatańskiéj,
Niech zdejmie z twarzy kolor jéj niestarty
Nim jego będę.

STEFANO.

Jest i Szylok czwarty.

PORTIA.

Co, Szylok u mnie? tego już za wiele!
Jam mu nie dłużna, lichwą się nie dzielę;
Więc czego żąda? przyjąć i zakadzić.

STEFANO.

Czy mam ich razem wszystkich trzech wprowadzić,
Czy po kolei?

PORTIA.

To mi jedno prawie;
Niech razem wejdą, razem ich odprawię.

NERYSSA.

Ach, pani! każdy do drugiego skoczy,
Przeszyje serce, lub wydrapie oczy!

PORTIA.

Po ciemku znajdą i wybiorą lepiéj,
Gdy ślepa miłość oczy im zaślepi.

NERYSSA.

Jak w ciuciubabce. Będziem mieć trzech króli

Przed wielkanocą. Byle się nie struli,
Gdy migdał ślubny jeden z nich dostanie.

PORTIA.

Ach, ty mię straszysz! Niech co bądź się stanie,
Posłuszną będę na wyroki nieba. —
Chodź przebrać mię; wystąpim jak potrzeba.
(Wychodzą).

Scena III.

GRATIANO, LORENZO.

GRATIANO.

Przybywasz tu z Wenecyi?

LORENZO.

Tak, z Bassaniem.
Ten żyd szubrawiec jękiem i szlochaniem
Chciał skłonić dożę, by nasz bryg zatrzymał;
Zapóźno przyszli: żagiel już się wzdymał
Na pełnéj Brencie. Dożę wieść dochodzi
Żem był z Jessyką na osobnéj łodzi;
Antonio słowem ręczy w tym przypadku
Że mię nie widział na Bassania staktu,
I tym wybiegiem nas uwalnia przecie.
O jam szczęśliwy! to prześliczne dziecię,
A zakochane jak aniołek z nieba!

GRATIANO.

Lecz nim powróci, ochrzcić go potrzeba.
Jam tu przyjechał pierwszy, do Neryssy,
Bo bitą drogą, nie jak błędne flisy.
O świat nie widział złości tak dziwacznéj,
Tak sprzecznéj w sobie, wściekłéj i rozpacznéj
Jak tego żyda, gdy na wszystkie strony
Po rynku latał, wrzeszcząc jak szalony:
„O moja córka! — O dukaty moje! —
Uciekła z gojem! — Niech przepadną goje!
Kamienie drogie córka mi wykradła!“
I tym podobnie. — Wziął nas za widziadła

Gdym wzdłuż Rialto szedł z wesołą zgrają;
Weneckie chłopcy za nim wciąż wołają: —
„Kamienie moje, córka i dukaty!“

LORENZO.

Niech się Antonio strzeże w dzień wypłaty
By mu nie schybił; wszystko żyd zagrabi.

GRATIANO.

Wiem od Francuza, skoczka i margrabi,
Że w téj cieśninie słynnéj skał szeregiem
Pomiędzy Anglią a normandzkim brzegiem,
Z ładunkiem całym okręt nasz zaginął. —
Na myśl Antonio wnet mi się nawinął,
I dwakroć potém zjawił mi się we śnie.

LORENZO.

Zbyt głośno mówić byłoby niewcześnie;
Ja sam ostrożnie to mu dziś obwieszczę.

GRATIANO.

Tak wzniosłéj duszy jam nie widział jeszcze.
Z Bassaniem tęskne było ich rozstanie;
Gdy ten przysięgał iż co rychléj stanie
By dług zapłacić: — „Nie śpiesz się zbytecznie
Rzekł mu Antonio, abyś mógł skutecznie
Tę rzecz dokonać, i z pomiędzy wielu
Szczęśliwie spocząć u twych życzeń celu.
Bądź wesół, hoży; niech ten dług przyjaźni
Podjęty wspólnie, myśli twéj nie drażni:
I nie powracaj aż z miłości wiankiem,
Twéj pięknéj Portii mężem i kochankiem.
Bądź zdrów!“ — To mówiąc, szczelnie go uścisnął,
Tkliwości promień w oczach mu zabłysnął,
I błogosławiąc, po tak szczytnéj scenie,
Z pośpiechem odszedł.

LORENZO.

Tém go mocniéj cenię;
W téj pięknéj duszy kwiat przyjaźni żyje.

GRATIANO.

Zazdroszczę szczęścia które z nim użyje.
O chciałbym też przycisnąć go do serca!
Przeklęty Francuz! płochy ten szyderca
Śmiał się, żartował; patrz, ja także płaczę,
I nie ochłonę zanim go zobaczę.
Bogini Fama niech plotkarką będzie
Jak wszelka baba co konopie przędzie,
I żując imbier, klnie na głowę węża
Że opłakuje śmierć trzeciego męża.
Niemniéj Antonio, nasz uczciwy ziomek,
Nieoceniony... — chciałbym znać przydomek
Z nazwiskiem jego złączyć się godniejszy!...

LORENZO.

Od żyda pożycz.

GRATIANO.

Gdy procenta zmniejszy. —
Lecz koniec końców, rozbił mu się statek.

LORENZO.

O niech to będzie naszych klęsk ostatek!

GRATIANO.

A ja ci wtórzę jak braciszek świecki:
„Daj Boże, amen!“ zanim czart wenecki
Modlitwę przetnie... — otóż sam się zbliża,
W postaci żyda.

LORENZO.

Zróbże mu znak krzyża.

Scena IV.

CIŻ, SZYLOK, STEFANO, SŁUDZY.

SZYLOK, wydzierając się z rąk Stefana.

Nu, proszę puścić; nie, to wejdę gwałtem!

GRATIANO.

Szyloku, witam. Powiedz nam ryczałtem,
Co słychać w mieście?

SZYLOK.

Nu, czy wy nie wiecie
Żem stracił córkę?

GRATIANO.

Co, w młodości kwiecie,
Umarła?

SZYLOK.

Gorzéj; skradła mi dukaty!

GRATIANO do Lorenza, na stronie.

Cóż ci mówiłem?

(głośno).

Nadtoś był bogaty;
O marny pieniądz na co tyle krzyków?

SZYLOK.

Sekretarz doży, jeden z mych dłużników,
Zaręczył mi że musi być w Belmoncie.

LORENZO do Gratiana, na stronie.

To szpieg dziesięciu.

GRATIANO.

W tym odludnym kącie?
Żartował z ciebie.

LORENZO.

Znam pewnego krawca
Co do ucieczki uszył jéj latawca.

GRATIANO.

A Szylok wiedział że gdy ptak ma pierze,
Bez pozwolenia z gniazda się wybierze.

SZYLOK.

Przekleństwo wieczne za ten grzech ją skarci!

LORENZO.

Aniołów sądzić nie powinni czarci.

SZYLOK.

Niesforna krew, niesforne moje ciało!

GRATIANO.

Od krwi niesfornéj mięso ci sparciało.

SZYLOK.

Mą krwią i ciałem wszak jest moja córka!

LORENZO.

To fałsz widoczny; bo jéj biała skórka
I twój pargamin, to jak kość słoniowa
I ziemny węgiel. Krew jéj purpurowa
I twoja mętna, to burgundzkie wino
I reńska lura, z jéj powłoką siną.
O wyznaj żydzie żeś ją skradł w kolebce!
Lecz prawdali to co tu każdy szepce,
Że jakiś kupiec stracił gdzieś dwa statki?

SZYLOK.

To wasz Antonio; wsadzę go do klatki.
W tém ciasném przejściu gdzie mu bryg utonął,
Nie jeden okręt morski wir pochłonął;
Goodwins podobno zowie się ten płyt: —
Niech się pilnuje, bo podpisał kwit!
To bankrut, żebrak i krzywoprzysięzca;
On co na rynek wchodził jak zwycięzca,
On teraz gałgan, on sam sobie zbrzydł:—
Niech się pilnuje, bo podpisał kwit!
On łapserdakiem zwał mię z miną pańską;
Pożyczał wam przez miłość chrześciańską,
On sam jest złodziéj, gorszy niż ja żyd: —
Niech się pilnuje, bo podpisał kwit!

GRATIANO.

Ten kwit mi pokaż.

SZYLOK.

Nu, za nic na świecie!

GRATIANO.

Pod mostem wczoraj mógłem wziąść go przecie,
A zostawiłem. Widzisz więc że goje
Nie takie łotry jak współziomki twoje;
Bo pewnie żaden tego by nie zrobił,
I owszem goja okradłby lub dobił.
Więc pokaż...

SZYLOK.

Nigdy! choć za sto tysięcy!

LORENZO.

Wszak trzy ci winien; dam dwa razy więcéj.

SZYLOK.

Aj, nie, nie, niechcę! jutro, o téj porze,
Jeżeli schybi, ja mu pierś otworzę.

GRATIANO.

By rznąć mu ciało, tyś zanadto prędki;
Co komu z tego?

SZYLOK.

Mnie, dla ryb, na wędki;
Lub jeśli żadna pastwy téj nie chwyci,
To moja zemsta niech się nią nasyci.
On z pół miliona zysków mi wytrącił,
Z mych strat urągał, handel psuł i mącił,
Jak stary kundel na mój ród się zaciął,
Spólników studził, grzał mych nieprzyjaciół.
To wszystko za co? żem ja żyd i wróg.
Czy waszym Bogiem nie żydowski Bóg?
Czy nie dał żydom wspólnych wam zdolności,
Organów, nerwów, zmysłów i skłonności?

Czy żyd nie czuje tak jak wy czujecie,
Gdy mroźno w zimie lub gorąco w lecie?
Czy się nie karmi Szylok jak Antonio?
Czy zabić go nie można jedną bronią?
Czy pod zakłuciem krew mu płynąć nie chce?
Czy żyd nie wrzaśnie gdy go kto załechce?
Czy łza radości twarzy mu nie zrosi,
Gdy jego dziecię rączki doń podnosi?
Czy nie ulega zdrowiu i chorobie,
Pod jedną ziemią nie spoczywa w grobie?
Czy od żydowskiéj wasza krew czerwieńsza?
Gdzież jest różnica, choćby téż najcieńsza!
A po skrzywdzeniu mścić się nam nie wolno?
Jeżeli tedy żyd ma duszę zdolną
Do równych cierpień, uciech i korzyści,
Niech wam dorówna téż i w nienawiści;
Bo was chrześcian jeśli żyd obdziera,
Pokora wasza w zemstę się przebiera:
A chrześcianin żyda gdy bezcześci,
Czy mu wzbroniony głośny krzyk boleści?
Wy chrześcianie a ja żyd; cóż potém?
Czy wy perłami, my stworzenia błotem?
Wy niewolnicy brzucha i rozkoszy,
My niemi rządzim, nędza nas nie płoszy;
I przyjdzie chwila, gdy nam sił przybędzie,
Że gojem kiedyś żyd pomiatać będzie!
Kto żydem gardzi, niech się Boga boi!...

GRATIANO.

Mów raczéj diabła.

SZYLOK.

Nu, panowie moi,
Wy nas zmuszacie iść za waszym śladem,
Uczycie złości własnym złym przykładem;
Gdzie wasza wyższość? zkądże żal się rodzi
Że czasem uczeń mistrzów swych przechodzi?

LORENZO.

To podła dzicz, w przesądach swych uparta.

GRATIANO.

Patrz, oto drugi, też w postaci czarta;
A gdyby trzeci zleciał tym kominem,
Lucyper pewno stałby się rabinem.

Scena V.

SZYLOK, TUBAL.

SZYLOK.

Nu, bracie Tubal, wiesz gdzie moja córka?

TUBAL.

To tylko wiem że wczoraj dała nurka,
Przepadła w morzu; zewsząd złe nowiny.

SZYLOK.

Aj waj! aj waj! za brylant mój jedyny,
W Frankfurcie dałem dwa tysiące w złocie!
Nie czułem dotąd w nędzy i kłopocie
Przekleństwa mego rodu.— Dwa tysiące!
A trzy rubiny, zorzy blask mające!—
Bodaj ją w trumnie widzieć u mych stóp,
Z brylantem w uszach! mieć na marach trup,
Na trupie złoto!— Żadnéj więc nadziei?—
A co przy śledztwie stracę na złodziei!—
Aj, koszt na koszt! bo tyle złodziéj kradnie,
A tyle sędzia! wszystko mi przepadnie!
I nigdzie zemsty: rozpacz i ohyda!
Nieszczęścia nigdzie, prócz na barkach żyda!
Ten jęk z méj piersi; łez te gorzkie zdroje
Z mych oczu płyną!

TUBAL.

Każdy z nas ma swoje;
Antonio także...—

SZYLOK.

Co, kto? mów, mój drogi!

TUBAL.

Utracił statek z Trypoli, w pół drogi.—

SZYLOK.

To dwa!... Jak, powtórz, Tubal... mnie gorąco!

TUBAL.

Galerę stracił z Mexyku płynącą.—

SZYLOK.

Trzy!... Bogu dzięki. Czy to tylko pewna?

TUBAL.

Widziałem majtków i kawałki drewna.

SZYLOK.

Wiadomość dobra! Tubal, gdzie, od kogo?
Dziękuję ci za tę nowinę błogą!

TUBAL.

Wiem też że córka twa, litością zdjęta,
Rozdała sto dukatów.

SZYLOK.

O przeklęta!
Co, sto dukatów? sto dukatów razem?
Ty mi przebijasz serce jak żelazem!
Mych stu czerwieńców nigdy nie zobaczę!

TUBAL.

Dwaj wierzyciele kupca, dwaj bogacze,
Ręczyli mi że jutro zbankrutuje.

SZYLOK.

Aj, to pociecha! ja go zamorduję,
Ja go powieszę! ściągnę mu postronek!

TUBAL.

I jeden z nich pokazał mi pierścionek,
Za piękną małpę dany mu do ręki.

SZYLOK.

Za małpę? Tubal, wleczesz mię na męki!

Mój ślubny turkus! klątwa nad klątwami!
Nie dałbym go za cały kraj z małpami!

TUBAL.

Antonia kwit zapłaci za tę zbrodnię.

SZYLOK.

To prawda! najmij choć na dwa tygodnie
Woźnego w mieście. Ja mu wydrę serce!
Wypędzę z kraju, nożem pierś przewiercę!
Bo skoro jutro w dzień wypłaty pęknie,
Mój handel będę sam prowadzić pięknie.
Weź pozew, spiesz się; idź, mój Tubal drogi,
Znajdziemy się w przysionku synagogi;
Ja pierwéj chcę tu zajrzeć w każdy kąt...

STEFANO, drzwi otwierając.

Nadchodzi pani.

GRATIANO, wchodząc.

Precz szachraje ztąd!

(Szylok z Tubalem wychodzą).

Scena VI.

NERYSSA, PORTIA, BEJ MAROKAŃSKI, KSIĄŻE ARRAGOŃSKI, (z orszakami; BASSANIO, GRATIANO, LEONARDO, STEFANO, PAZIOWIE, SŁUŻBA PORTII.

BEJ MAROKAŃSKI, u drzwi.

Zamelduj mię.

STEFANO, meldując.

Wysoki bej z Marokko.

NERYSSA do Portii, na stronie.

I żółty.

PORTIA.

Proszę.

KSIĄŻE ARROGAŃSKI, uprzedzając go.

Murzyn z psią posoką!
Ja wejdę przed nim.

STEFANO, meldując.

Jaśnie oświecony
Don Karlos, infant.

BEJ MAROKAŃSKI.

Karzeł ten chce żony!

NERYSSA.

Jak strasznie blady!

BASSANIO, do Stefana.

Mię, choć w trzecim rzędzie.

PORTIA do Neryssy, na stronie.

Ach, pewna byłam że i on przybędzie!

STEFANO, meldując.

Bassanio z Montferatu.

NERYSSA.

Ten rumiany.

PORTIA.

Przezacni goście! W dniu stanowczéj zmiany
Mojego losu, szczerze was pozdrawiam,
I trzy warunki wstępne wam przedstawiam.
Pod tym kobiercem stoją na wezgłowiu
Trzy skrzynie: złota, srebrna i z ołowiu.
Kto tę wybierze gdzie z obrączką ślubną
Mój portret leży, ten w nagrodę chlubną,
Rozkazem ojca przy skonaniu danem,
Mym mężem będzie i Belmontu panem.
Lecz pierwéj, każdy trzy przysięgi złoży:
Iż niepowoła nigdy na sąd boży
Mojego męża; daléj, że dwaj inni
Ten kraj na zawsze dziś opuścić winni.

BEJ MAROKAŃSKI.

Przysięgam!

PORTIA.

Jesli dwóch wybierze razem
Pomyślną skrzynię, wtedy z mym obrazem
Wyboru prawo do mnie saméj wróci.

BASSANIO.

Przysięgam!

PORTIA.

Wreszcie skoro dom porzuci,
Nikt z was nie będzie myśleć o małżeństwie,
I wejdzie do klasztoru.

KSIĄŻE ARRAGOŃSKI

W arcyksięstwie
Infantkę znajdę.

PORTIA.

Więc na stronę, książe.

KSIĄŻE ARRAGOŃSKI, pó namyśle.

Przysięgam...

(na stronie).

bo przysięga mię nie wiąże.

PORTIA.

Odsłonić skrzynie przed wyborców okiem!
Kto pierwszy przybył, niech przystąpi krokiem.

BEJ MAROKAŃSKI.

A zatém, ja!

PORTIA.

Na złotéj, cóż się święci? —
„*Kto dotknie mię, ma to co wielu nęci.*“
Ta w środku, srebrna; na niéj napis drugi: —
„*Kto dotknie mię, ma wedle swéj zasługi.*“

Z ołowiu trzecia; i na samym szczycie: —
„*Kto dotknie mię, naraża całe życie.*“
Czarowna laska służy przy wyborze;
Na ciebie, panie!

BEJ MAROKAŃSKI.

Teraz, szczęść mi Boże! —
Niech mojéj cery pani się nie lęka;
Choć ogorzała moja twarz i ręka,
Ta barwa słońca jest oznaką mocy.
Niech stanie tu najbielszy syn północy,
Gdzie kry przeświecа blask zimowéj zorzy;
I niech nam piersi sztylet mój otworzy,
Przekonasz się że krew czerwieńsza moja!
Lwie serce kryje ta stalowa zbroja;
I najpiękniejsze naszych stref huryssy
O raju śniły, patrząc na te rysy.
Nad świat mi droższa ta poważna ciemność;
Za twoją chyba dałbym ją wzajemność.

PORTIA.

Niewieścich oczu radzić się nie mogę;
W zamężciu mojém los mi wskazał drogę.
Zalety jego pod tą barwą ciemną
Są zbyt widoczne; lecz mu być wzajemną,
Testament ojca wolność mi odbiera.

BEJ MAROKAŃSKI, wskazując skrzynki.

Z tych jedna, mówisz, obraz twój zawiera?
Spróbuję szczęścia. — Na ten miecz zwycięzki
Co krwawe zadał mym sąsiadom klęski,
Co zbił sofiego, zciął perskiego hana,
W trzech bitwach zniósł proporce Solimana,
Drapieżnych sępów spojrzeń się nie boję;
Tygrysy głodne wyzwałbym na boje,
Bym cię sułtanką widzieć mógł w Marokko!
Jam dzielny, jam potężny, jam opoką!...
Nie chełpię się; lecz nim zabębnią w kotły,
Już te dwie ręce stu rycerzy zgniotły:
I gdy się wojsko w jeden szyk rozpostrze,

Méj krętéj szabli jak zabłyśnie ostrze,
Za jedném cięciem tysiąc głów upadnie!

NERYSSA i kobiety, śmiejąc się.

Ha, ha!

BEJ MAROKAŃSKI, postępując.

Co mówię, to dowiodę snadnie...

NERYSSA.

O nie! wierzemy.

BEJ MAROKAŃSKI.

Służę na rozkazy.
Jak dziad mój Samson, gdy uciekał z Gazy,
Na moich barkach zniosę te podwoje,
I lwa rozedrę żywcem, tak! na dwoje! —
Tak téż dokonam serca jéj zdobycie.
(czytając napis).
„Kto dotknie mię, naraża całe życie.“
Narażać życie za tę skrzynię podłą?
Za szary ołów? precz, kłamliwe godło!
Okruchy takie w łupach się nie liczą.
Lecz oto srebro z barwą swą dziewiczą:
„Kto dotknie mię, ma wedle swéj zasługi.“
Zasługa moja w sile téj maczugi;
Sahary puszcze głoszą me zwycięztwa,
Symunu wyciem! Jam jéj godzien z męstwa,
Rozumu, wychowania, i tam daléj...

NERYSSA.

A gdy się książę sam tak pięknie chwali,
To i gazety, jeśli są w Marokko,
Już nie potrafią wznieść go tak wysoko!

BEJ MAROKAŃSKI.

Więc gdybym przestał na tych słów osnowie? —
Zobaczmy wreszcie co mi złoto powie:
„Kto dotknie mię, ma to co wielu nęci.“
O niéj to mowa. Jéj urokiem zdjęci,

Rycerze ciągną ze wszech stron Europy;
Hyrkańskie błonia i Atlasu stropy
Witają książąt poznać ją pragnących:
Królestwo wód, z którego piersi wrzących
Żwir pluje w niebo, jest jak strumień wązki,
Dla tych co życzą dotknąć jéj podwiązki...

PORTIA.

Ach, dosyć, książe!

BEJ MAROKAŃSKI.

Czyli ta narożna
Jéj obraz mieści? Taka myśl bezbożna;
Lub czyli w srebrze wdzięki jéj zawarte,
Co dziesięć razy mniéj od złota warte?
I to bluźnierstwo.— Tu jéj postać żywa,
Tu w złotem łożu złoty duch spoczywa!
To moja barwa, biegnę doń z ochotą;
Jam synem słońca:— ja wybieram złoto!

PORTIA, do księcia Arragońskiego.

Na ciebie, książe!

(daje mu laskę).

KSIĄŻE ARRAGOŃSKI.

Pochwał mych oszczędzę;
I choć raz w życiu, dotrwam w méj przysiędze.
Niech mię oskrzydli jasny chór aniołów!—
Tu złoto, srebro i posępny ołów;
Ten gminny metal nie wart jest méj chęci.
„Kto dotknie mię, ma to co wielu nęci.“
Co wielu nęci? wielu, jest to tłuszcza,
Co dla pozoru drogi skarb upuszcza;
Nie pójdę nigdy za jéj zdaniem płochém,
I z dzikim niechcę bratać się motłochem.
„Kto dotknie mię, ma wedle swéj zasługi.“
Po tych wyrazach wybór mój niedługi;
Do ciebie idę, srebrna ty skarbono,
Z twém licem białém jak piękności łono:

Zasługi moje? Jam potomkiem Cyda;
Mój ród najpierwszy, tak jak ród Atryda
W pogańskiéj Grecyi. Przy Solimy wzięciu,
W Godfreda wojsku, było nas dziesięciu,
I mam ich godła nad herbową tarczą;
Tak wielkie czyny sławie méj wystarczą.
Jak każdy Hiszpan z dobréj krwi zrodzony,
Z mych ojców trzymam prawo do korony;
Lecz tę koronę chcę podzielić z tobą:
Nie ona twoją, ty bądź jéj ozdobą.
Włoskiego morza ty najczystsza perło,
W oliwną palmę zmień hiszpańskie berło,
I złącz twe róże z tym konarem laurów.
Cyd w srebrnéj zbroi zbił niechrzczonych Maurów;
Ich kości leżą tam gdzie płynie Ebro
Po srebrnym piasku:— ja wybieram srebro!

BEJ MAROKAŃSKI.

Patrz, z tylu ojców wyszedł ten tołubek;
Do małpy méj podobny, kubek w kubek!

PORTIA.

Zbyt wiele, książe, czynisz mi zaszczytu;
Jam dojść niegodna do téj chwały szczytu,
I lżéj mi będzie pod tym wieńcem z kwiatów,
Niż pod koroną dwóch niewolnych światów.
Racz przyjąć wszakże méj wdzięczności słowa;
Wenecyi córka więcéj niż królowa.
(do Bassania).
Na ciebie teraz, ty z kolei trzeci;
Niech bóg miłości twoją myśl oświeci!
Choć na dni kilka wstrzymać bym cię rada,
Wskazówki żadnéj dać ci nie wypada;
Lecz jeśli prawda że mię kochasz szczerze,
Tę w któréj jestem, serce twe wybierze.

BASSANIO.

Z tém słowem, pani, dajesz mi nadzieję;
Czy los ją spełni, lub czy ją wyśmieje?

Ach, tego niewiem; lecz gdy ciebie stracę,
Nadzieję szczęścia, życiem mém opłacę!

PORTIA.

Twe życie mojém; więcéj mam obawy
Niż ty mieć możesz, w obec téj przeprawy.—
Nerysso, wywieś wstęgę tę na dworze;
Niech śpiewny chór zanuci przy wyborze,
By jeśli przegra, skonał jak łabędzie,
W strumieniach pieśni. Jeśli mię zdobędzie,
Niech trąby zagrzmią, jak ten okrzyk męski,
Gdy swego zbawcę wita lud zwycięzki.

CHÓR, za sceną.

Kto powie gdzie się miłość rodzi;
Gdzie jéj kolebka, gdzie jéj zgon?
Czy się rozwija, czy przechodzi,
Niech ją kołysze dzwon!

W spojrzeniu miłość jest zrodzona,
Tam jéj więzienie, tam jéj tron;
Czy na świat rodzi się, czy kona,
Niech jéj zapłacze dzwon!

BASSANIO.

W tym dzwięcznym śpiewie do mnie los przemawia;
Te oczy, w których niebo się objawia,
Niech mię oświetlą jak ta gwiazda błoga,
Co zeń zesłana, wiedzie nas do Boga;
I gdy mię zmyli promień jéj uroczy,
Niech me spojrzenia wieczna noc zamroczy.
Najwyższą duszy prawda jest potęgą;
Hołd składam cnocie skrytéj pod siermięgą,
A pod szkarłatem brzydzę się niecnotą.
Ja ciebie niechcę, ty zwodnicze złoto,
Midasa strawo lub jurgielcie zdrady;
Ni ciebie srebro, ty służalcze blady
Co z rąk do rąk obiegasz świat ułomny;
Lecz raczéj ciebie, ty ołowiu skromny,
Co więcéj grozisz niż przyciągasz: ciebie,
Co jak łuk tęczy na zamgloném niebie,

W pomroku świecisz, ty nadzieją żyzny.
Ołowiem żołnierz broni swéj ojczyzny,
I syn swéj matki od zawistnych wrogów;
I jak bóg Saturn był najstarszym z bogów,
Ołowiu cichy, pierwszy tle żywiołów,
Do ciebie dążę:— ja wybieram ołów!

PORTIA.

Jak się rozbiegły te złowrogie troski!
O dzięki tobie, ty promieniu boski,
Umiarkuj siłę duszy méj zachwytu;
Bym z téj radości nie zleciała szczytu
W bezdenną toń obłędu i rozpaczy! —
(do beja).
Weź klucz do złotéj!

BEJ MAROKAŃSKI, po otwarciu.

Piekło! cóż to znaczy?
To czaszka trupia! w jéj zczerniałém oku
Tkwi jakieś pismo; wspieraj mię, proroku!
(czyta).

„Nie wszystko co się lśni jest złotem;
Tę prawdę gdybyś lepiéj znał,
Chowając męstwo twe na potém,
O marny pozór mniej byś dbał.
Więc próżnym nie trudź się kłopotem,
I przygaś twój miłosny szał.“
(Muzyka).

Tak, próżnym, prawda, jak ta trupia głowa!

KSIĄŻE ARRAGOŃSKI, śmiejąc się.

Murzynką była ta sułtanka płowa!

PORTIA, dając mu klucz.

Niech Arragońskie książe tu się stawi,
I srebrna skrzynia wyrok swój objawi!

KSIĄŻE ARRAGOŃSKI.

W zasługę moją ufam, i urodę.

NERYSSA.

Zbyt długoś, książe, czekał na nagrodę.

BEJ MAROKAŃSKI.

Czy to ziemianka? lub czy to huryssa?

PORTIA.

Powierna moja; zowie się Neryssa.

KSIĄŻE ARRAGOŃSKI, po otwarciu.

Co widzę! świstek daje mi karlica?
O jakże wielka z Portią jéj różnica!
(czyta).
„Bywają głupce pośrebrzeni,
Czołgają się jak srebrny wąż;
Zasługę własną więcéj ceni
Niż sławę przodków, prawy mąż.
Z kimkolwiek waszmość się ożeni,
Ja na twym karku będę wciąż.“
(Muzyka).
Na moim karku twarz głupiego karła?
Czy klejnot rodu potwarz mi wydarła?
To wyrok śmierci, śmiercią go uniknę;
Lecz do twéj wzgardy nigdy nie przywyknę!

GRATIANO.

Choć oświecony, rozum go nie szczyci;
Im głębiéj weźmie, tém wybierze płyciéj!

NERYSSA.

Przysłowie stare książe mi nastręcza:
Że śmierć i żona z góry się zaręcza.

BEJ MAROKAŃSKI, śmiejąc się.

Don Karlos, infant, miał karlicę dostać!

PORTIA, dając klucz.

Bassanio trzecią!

BASSANIO, po otwarciu.

Co za jasna postać!

To żywa Portia! pod obrazem, karta;
W niéj przeznaczenia ręka w pół otwarta:

(czyta).

„Ty co nie rządzisz się pozorem,
Od próżnych ludzi wiecznie stroń;
Los darzy cię tym boskim tworem,
I mirtem wieńczy twoją skroń;
Ten obraz jest piękności zbiorem,
Z pierścieniem ślubnym, weź jéj dłoń.“

(Muzyka).

Nakazie słodki!— Jakiż bóg artysta
Ten cud utworzył? Oto skroń jéj czysta;
Jéj oczy żyją, lub udają życie
Odbite w moich! Jakże mógł w zachwycie
Spojrzenia tego wzrokiem nie przypłacić,
I kończąc jedno, swoich dwóch nie stracić?
Różowe usta jak się mile wdzięczą!
W tych włosach malarz osnuł sieć pajęczą
Na młode serca! Jak mój hołd choć wierny
Ubliża sztuce, przestwór jest niezmierny
Pomiędzy nią, i prawdą!— Pozwól zatém,

(całując rękę Portii).

Niech ta wyrocznia spełni się przed światem!

BEJ MAROKAŃSKI, biorąc rękę Neryssy.

Mnie także, pozwól...

GRATIANO.

Od Neryssy wara;
Dla wielożeńców jest tu śmierci kara!

PORTIA.

Mnie cóś mówiło jak przeczucie wieszcze
Że mię wybierzesz, choć nie miłość jeszcze;
Lecz nienawiści głos odmienny bywa:
Z wygranéj twojéj, panie, jam szczęśliwa!

KSIĄŻE ARRAGOŃSKI.

On portret zdobył, my go dwaj ukarzem;
W tém nic dziwnego, każdy Włoch malarzem.

BEJ MAROKAŃSKI.

W bojowéj sztuce Włosi już osłabli;
Do pędzla zręczni, tak jak my do szabli.

GRATIANO.

My śmielsi duchem, wy mocniejsi ciałem;
Muszkułów siła zwierząt jest udziałem.

BASSANIO.

Obojgiem służę.

PORTIA, między niemi.

A przysięga święta!
Niech o zbawieniu każdy z was pamięta!...
Ty beju mężny, ty potomku Cyda,
Nauka z tego na cóś wam się przyda;
Iż władze zmysłów, choćby téż olbrzymie,
Nie warte myśli. Król święcony w Rzymie
Dopiero wtenczas większym jest od ludzi,
Gdy blaskiem własnym cześć powszechną budzi
A nie dziedzicznym. Nad te dwa przymioty
Jest cóś wyższego, jest potęga cnoty;
Ta zdolność, która każdą rzecz ocenia,
Rozróżnić umie prawdę od złudzenia,
I duszę wznosząc do jéj źródła w niebie
Pozwala sądzić innych, świat i siebie. —
Przyjmijcie zatem pokłon mój najszczerszy.

BEJ MAROKAŃSKI.

Ja pierwszy wyjdę, jak tu wszedłem pierwszy.

KSIĄŻE ARRAGOŃSKI.

Don Karlos, pani, twoich łask nie żebrze.

NERYSSA.

Byleś się, książe, nie utopił w Ebrze!

BEJ MAROKAŃSKI.

Marokko bez Wenecyi się obejdzie.

PORTIA.

Tém lepiéj jeśli rychło czas nadejdzie,
Gdy każdy w domu będzie żyć spokojnie!

KSIĄŻE ARRAGOŃSKI.

Pocieszę się w Madrycie.

BEJ MAROKAŃSKI.

Ja, na wojnie. —
Chodź za mną!

KSIĄŻE ARRAGOŃSKI.

Jakto! pod murzyna wodzą?
Wszak zwykle czarni za białemi chodzą.

BEJ MAROKAŃSKI.

Kto, ja, murzynem?

KSIĄŻE ARRAGOŃSKI.

Patrzaj w to żwierciadło.

BEJ MAROKAŃSKI.

Czyś kiedy przejrzał twoją twarz wybladłą
W tygrysim oku?

BASSANIO, godząc ich.

Lecz panowie moi,
Przed obcą damą ludzkim być przystoi...

KSIĄŻE ARRAGOŃSKI.

Za Maurem wyjść, ubliża méj powadze.

BEJ MAROKAŃSKI.

Tém oknem, karle, na dół cię sprowadzę.

PORTIA, do Stefana.

Każdemu z nich osobne drzwi otworzyć,
I hołd powinny przy wyjeździe złożyć.

BEJ MAROKAŃSKI, wychodząc.

Z nas jeden zginie.

KSIĄŻE ARRAGOŃSKI, wracając.

Dłoń w dłoń, oko w oko,
Przy grobie Cyda!

BEJ MAROKAŃSKI, u drzwi.

Czekam cię w Marokko!

Scena VII.

PORTIA, BASSANIO, GRATIANO, NERYSSA.

PORTIA.

Nareszcie wyszli.

BASSANIO.

Ja mam być ich świadkiem;
Jeżeli który zginie, to przypadkiem.
O co za rozkosz, Portio ma kochana,
Że mogę zostać! Padam na kolana,
Jak przed bożyszczem co mi życie daje;
O ileż uczuć w sercu mém powstaje!
Radością nie śmiem szczęścia mego mierzyć;
O stwierdź je, poświadcz, pozwól mi uwierzyć!

PORTIA.

Bassanio, powstań; ty mię zwyciężyłeś;
Dla ludzkich pochwał, zanim tu przybyłeś,
Nie miałam w sobie żądzy lub odrazy;
Dla ciebie tylko chętnie bym sto razy
Piękniejszą była, lepszą i cnotliwszą,
By w sercu twojém cześć obudzić żywszą.
Dla twéj miłości wszystkie mieć bym chciała
Zalety duszy i powaby ciała,
Lecz mi zostaje wiele do życzenia;
Jam dziewcze proste i bez doświadczenia,
Szczęśliwa ztąd że w główce téj pomieszczę
Nauki trochę; a szczęśliwsza jeszcze

Żem niezbyt tępa na roztropne rady:
Lecz nadewszystko, że choć bez ogłady
Mój duch niewieści z męskim twym się wiąże,
Byś nim kierował jak mój pan i książe.
Ja, mój majątek, wszystko co w méj sile,
To twoja własność; byłam po tę chwilę
Królową siebie, panią méj drużyny,
Dziedziczką zamku; od téj zaś godziny,
Ten dom, ci ludzie, z ich królowéj cieniem,
To wszystko twoje: razem z tym pierścieniem
Na który wieczną wiarę mi poślubisz.
Lecz przysiąż mi że nigdy go nie zgubisz;
Bo wtenczas, pewna że twa miłość w grobie,
Ja sama zginę w smutku i żałobie.

BASSANIO.

Z tą piersią pierwéj dusza się rozłączy,
I z tego serca moja krew wysączy.
Nasz pierścień jeśli przejść ma w ręce czyje,
To powiedz, pani, że twój mąż nie żyje!

NERYSSA.

Po téj przysiędze, na mnie czas nadchodzi
Wykrzyknąć wam: „Niech żyją państwo młodzi!“

GRATIANO.

Obojgu życzę, i na całe życie,
Stokrotnych pociech jakie mieć życzycie,
Bo na mnie także ich cząsteczka zleci!
I gdy hymenu wam pochodnia świeci,
Gdy wam tak pięknie pod miłości wieńcem,
I mnie pozwólcie téż być oblubieńcem.

BASSANIO.

Z całego serca, tylko miéj kochankę.

GRATIANO.

Już mam na sercu białą jéj równiankę,
Z różową wstążką jak promienie ranne;
Tyś ujrzał panią, jam zobaczył pannę. —

Ty swą zdobyczą, ja się moją cieszę;
Nie lubisz zwłoki, ja téż nią nie grzeszę. —
Twój los zależał od tych skrzyń fatalnych,
I mój podobnież; gdyż w zaklęciach palnych
Z uczucia méj miłości aż spotniałem:
I podniebienie wyschło pod zapałem
Ognistych przysiąg. — Wy złączeni ślubem,
I mnie Neryssa swém spojrzeniem lubém
Przyrzekła kochać, milczkiem, za kulisą,
W dzień twego szczęścia.

PORTIA.

Prawdażto, Nerysso?

NERYSSA.

Tak, jeśli łaska; zrobię tę ofiarę.

BASSANIO.

Czy tylko szczerze dajesz jéj twą wiarę?

GRATIANO.

Najszczerzéj w życiu.

BASSANIO.

Związek wasz uświetni
Wesele nasze.

GRATIANO.

Pókiśmy bezdzietni,
Załóżmy się, dostojni państwo młodzi,
O tysiąc szkudów, komu się urodzi
Najpierwszy chłopiec.

NERYSSA.

I położym stawkę?

GRATIANO.

Nie, pierwéj z sobą zrobim tę zabawkę. —
Lecz ktoś tam idzie; otwórz mu kochanko.
To nasz Lorenzo z miłą swą poganką.

Scena VIII.

CIŻ, LORENZO, JESSYKA.

BASSANIO.

Przybliżcie się, i przyjmcie powitanie
Najczulsze jakie dać wam jestem w stanie,
Ja dziś przyjęty gościem w te podwoje. —
Ty sama, Portio, racz mych ziomków dwoje
Łaskawie podjąć.

PORTIA.

Jak mój mąż Bassanio,
Serdecznie witam.

LORENZO.

Bóg niech będzie z panią! —
Zbyt rychłém najściem trudzę was niechętnie;
Lecz mię Jessyka prosi tak namiętnie
Bym ją przedstawił, że jéj dałem słowo
Być jéj zwiastunem.

JESSYKA na kolanach, rozsypując kwiaty.

Dzięki ci, królowo,
Za ten przytułek biednéj mnie sierocie;
Niech te powoje, mirty i stokrocie,
Jak hołd wdzięczności u twych stóp rozpostrę...

PORTIA, podnosząc ją.

Wstań, lube dziecię; kochaj mię jak siostrę. —
O, tyś ładniejsza jak te dary słońca;
Ja téż dni szczęsnych życzę wam bez końca!

LORENZO.

Antonia pismo niech w twe ręce złożę;
Przeczytaj, panie.

BASSANIO.

Nim ten list otworzę,
Racz mi powiedzieć czy jak zwykle zdrowy?

LORENZO.

Posłaniec jego dał krótkiemi słowy
Objaśnień wiele; tylko w tém się zaciął.

PORTIA.

Polecam ci, Nerysso, mych przyjaciół;
Bądź im uprzejmą. — Jak się ma nasz doża,
I z nim Antonio, król wszechwładny morza?
Czy zawsze w zgodzie z niebem i fortuną?

GRATIANO.

Czy nowy Jazon zdobył już swe runo?

LORENZO.

Niech z niém przynajmniéj życia nie postrada!

PORTIA.

Ten list, jak sądzę, złego cóś powiada,
Gdy jasną barwę z lic Bassania spędza;
Czy mu ktoś umarł? czy mu grozi nędza?
Bo cóż tak nagle żar co w piersi tleje
Przygasić mogło?... patrzcie, on blednieje!
Jam twą połową; więc połowa wieści
Tyczących ciebie, to mój dział niewieści:
Mam do niéj prawo!

BASSANIO.

O kochanko droga,
Nie żądaj więcéj! Nigdy wieść tak sroga
Papieru nie splamiła! Po raz pierwszy
Gdym ci wynurzał serca hołd najszczerszy,
Już nic nie miałem w przodków mych dziedzinie,
Prócz krwi szlachetnéj co w mych żyłach płynie.
Tom wyznał jawnie; teraz ci obwieszczę
Że od niczego mniéj posiadam jeszcze,
Bom dług zaciągnął u nieprzyjaciela,
Którego ciężar zbawca mój podziela.
Ach przebacz, pani! stracić cię nie chciałem!—
Ten list okropny jest Antonia ciałem;
A każde słowo wpół otwartą blizną
Ziejącą życiem z krwią cnotami żyzną! —

Czy można wierzyć że jak świat przestrony,
Z Londynu, z Indyi, Mexyku, Lizbony,
Zkąd tylko jego dom wyglądał wsparcia,
Ni jeden okręt nie uniknął starcia
Złowrogich kupcom skał?

LORENZO.

Ni jeden, panie.
I choćby później był zapłacić w stanie,
Drapieżny lichwiarz zemsty nie odwleka.
O, świat nie widział czarta lub człowieka
Tak zawziętego na zagładę ludzi!
Dmie w ucho doży, gdy co noc go budzi,
Iż jeśli mu słuszności nie wymierzy,
Swobody państwa zginą. Kwiat młodzieży,
Mieszczanie, senat, wszyscy od téj chwili
Na poskromienie żyda się zmówili,
Lecz nadaremnie; wciąż uparty żyd
Przytacza prawo, termin i swój kwit.

JESSYKA.

Nim zbiegłam z domu, na Mojżesza księgę,
Przed Husem i Tubalem, klął przysięgę
Iż woli karę w kwicie tym zamkniętą,
Niż dziesięć lub dwadzieścia razy wziętą
Pożyczki sumę; skąd mi wnieść się godzi
Że jeśli temu władza nie przeszkodzi,
Dłużnika żadne prośby nie ochronią.

PORTIA.

Czy bardzo drogim jest ci twój Antonio?

BASSANIO.

Najdroższym w świecie i najlepszym razem;
Gdyż serce jego wszystkich cnót obrazem,
I dawnych rzymskich zbiorem jest przymiotów.
On dla przyjaciół śmierć by ponieść gotów;
Wznioślejszéj duszy w bracie bym nie życzył.

PORTIA.

Jak wielką sumę lichwiarz wam pożyczył?

BASSANIO.

Dukatów trzy tysiące.

PORTIA.

Co, nie więcéj?
Podwoić sumę, dać mu sześć tysięcy,
I dziesięć razy tyle mu zostawić,
A przyjaciela tak zacnego zbawić.
Spiesz do Wenecyi, do naszego księcia;
Gdyż cię nie przyjmie Portia w swe objęcia
Z obawą w sercu. — On cię szczęściem darzy;
On niegdyś ojca więźniem wśród korsarzy
Wykupił hojnie. — Weź tę skrzynię złotą;
Te sznury pereł daję ci z ochotą,
Bierz wszystko, sprzedaj, poszlij mu przez gońca:
Niech razem z tobą wróci nasz obrońca,
Antonia życie droższe mi stokrotnie. —
My tu z Neryssą będziem żyć samotnie,
Jak dwie dziewice przed zamężciem wdowy,
Nim Bóg ślubnemi nas połączy słowy;
Lecz myśląc o mnie, dni tęsknoty skrócisz:
Kupiony drogo, droższym mi powrócisz. —
Przed pożegnaniem, racz ten list odczytać.

BASSANIO, czyta.

„Kochany synu, wszystkie mi okręty
Przepadły w morzu. Wiesz jak wierzyciele
Są niezbłagani; dawne me zasoby
Już wyczerpane, a Szyloka kwit
Za kilka godzin mija bez wypłaty.
Ponieważ płacąc oblig, jak przyrzekłem,
Niemogę mieć nadziei żyć dla ciebie
I dla przyjaciół których ci zostawiam,
Pomiędzy nami wszelki dług ustaje.
Przed śmiercią tylko chciałbym cię pożegnać;
Zrób jednak co wypadnie: gdyż jeżeli
Twe serce cię nie skłoni do przybycia,
Niech list Antonia woli twéj nie wiąże.“

PORTIA.

Ach, śpiesz natychmiast! nic już niechcę pytać.

On ci poświęca swoją krew i duszę;
Ja mu zazdroszczę, ja go zbawić muszę!

BASSANIO.

Gdy ty mię naglisz, cóż mię wstrzymać może?
Nim wrócę, żadne mię nie znęci łoże;
Chcę sam wycierpieć méj płochości winę,
Antonia zbawię, lub z nim razem zginę!

Scena IX.

PORTIA, JESSYKA, NERYSSA, LORENZO.

LORENZO.

O pani! pozwól wyznać, choć przytomnéj,
Że takie czucie w duszy twéj niezłomnéj
Jest bohaterskiém, kiedy dla przyjaźni
Kochanka stratę znosisz bez bojaźni.
Lecz wiedząc komu łaskę tę świadczycie,
Jak drogie wszystkim chcesz zachować życie,
Jak sierot, więźniów troski się umniejszą,
Z twojego dzieła możesz być dumniejszą
Niż prawo serca to ci nakazuje.

PORTIA.

Uczynków dobrych nigdy nie żałuję,
A tém mniéj teraz; bo dwaj przyjaciele
Dzielący wspólnie smutek i wesele,
Gdy bratnim węzłem dusze swe kojarzą,
Koniecznie muszą być podobni twarzą,
Zwyczajem, sercem, cnotą i umysłem.
Ja chcę być trzecią w tém braterstwie ścisłém;
I to co czynię małą jest zasługą,
Gdy mego męża tę połowę drugą
Zasłonić pragnę przed zawiści jędzą.
Lecz dosyć o tém. — Słuchaj mię, Lorenzo;
Przysięgłam sobie po tém rozłączeniu,
Z Neryssą tylko, żyć w klasztornym cieniu.
O parę mil od zamku, nad urwiskiem,
Pustelni wieża, będzie mém siedliskiem.
To śliczne dziecię niech mi towarzyszy;

Tam z ust kapłana boski głos usłyszy,
I święty chrzest jéj śnieżną skroń obleje:
A po powrocie naszym, mam nadzieję
Iż do ślubnego wianka i kobierca,
Trzy pary staną.

LORENZO.

Ach! z całego serca;
To jest najżywszą méj Jessyki żądzą.

PORTIA.

Nim domownicy odjazd nasz przyrządzą,
Niech błogie myśli świecą wam nad czołem.

JESSYKA.

Tyś opiekuńczym duszy méj aniołem!

PORTIA.

Jam twoją siostrą. Żegnam was najmiléj. —
(dzwoni).

Scena X.

PORTIA, NERYSSA, STEFANO.

PORTIA.

Zbliż się, Stefano. Zawszem do téj chwili
Ceniła wielce duszę twą poczciwą;
Tak nadal będzie. Weź ten list co żywo,
I śpiesz do Padwy; znajdziesz tam bez trudu
Kuzyna mego i obrońcę ludu,
Bellario doktor niech ten list odbierze:
A jakie wręczy pisma i odzieże,
Choćbyś pięć koni ubić miał pod sobą,
Do miasta przywieź przed jutrzejszą dobą.
Tam się spotkamy. Idź, mój starcze drogi!

STEFANO.

Na rozkaz pani, mam jelenie nogi.

Scena XI.

PORTIA, NERYSSA.

PORTIA.

Wiesz jaki projekt chodzi mi po głowie?

NERYSSA.

Nie zgadłam jeszcze.

PORTIA.

W pierwszéj dnia połowie,
Małżonków ujrzym.

NERYSSA.

Oni nas podobnie?

PORTIA.

Być może; lecz ubrane tak ozdobnie
Iż się zadziwią że niemamy wąsów,
Choć wiek po temu. Ręczę bez przekąsów,
Że gdy w młodzieńców obie się przebierzem,
Ja będę śmielszym zdawać się rycerzem,
I szpada składniéj będzie bić u kostek.
Przemawiać zacznę, jak ów niedorostek,
Krzykliwym głosem; kroczki dwa przetworzę
W krok męski jeden, prawiąc jak na dworze
Prześwietne panie względów mych żebrały,
A gdym odmawiał, we łzach umierały;
Żem przecie nie mógł starczyć wszystkim razem,
Żem je żałował pod śmiertelnym głazem: —
I tym podobnych rzeczy tak nakłamię
O pojedynkach, bójkach i méj damie,
Iż każdy powie żem od trzech miesięcy
Rok szkolny skończył. — Mam w pamięci więcéj
Niż tysiąc bajek tych uczonych żaków;
Chcę z nich skorzystać.

NERYSSA.

Mamyż grać junaków,
I płci niewieściéj wyrzec się przed światem?

PORTIA.

Jak szumnie mówisz! czyś ty adwokatem?
Mój cały plan w powozie ci wyłożę.

NERYSSA.

A teraz do klasztoru.

PORTIA.

Nie, broń Boże!
Na sąd Antonia; chodź, nie traćmy chwil,
Przejechać mamy dziś dwadzieścia mil.

Scena XII.

SZYLOK sam, wchodząc ostrożnie z boku.

Znalazłem córkę, lecz związaną prawem,
Bo pełnoletnia. Wrócę ztąd niebawem.
(podnosząc list Antonia).
List do Bassania... dwóch na jednę wędę!
Antonio bankrut! — Jutro mścić się będę.
(wybiega).

Akt III.

Sala tronowa w pałacu doży. Po prawéj, więzienie. — Po lewéj, mięszkanie doży.— W głębi galeria, z widokiem na miasto.

Scena I.

DOZORCA WIĘZIENIA, ANTONIO, GRATIANO, SZYLOK.

SZYLOK.

Nu, pilnuj więźnia, choćby klął i krzyczał; —
To on, ten osioł co na wiatr pożyczał: —
Strzeż go, dozorco!

ANTONIO.

Słuchaj mię, Szyloku.

SZYLOK.

Dasz mi mój oblig, zaraz po wyroku!
Mam w tym obligu funt twojego mięsa;
W bóżnicym przysiągł że nie spuszczę kęsa,
A więc mój oblig wyjmę ci z pod serca.
Tyś psem mię nieraz przezwał, ty bluźnierca!
Nu, kiedym pies, to strzeż się moich kłów!
Za dożę ręczę. — Ty, dozorco, mów,
Czyś ty szalony żeś go bez przyczyny
Po mieście włóczył całe pół godziny?

DOZORCA.

Po słońcu trochę chciał się przejść w południe.

SZYLOK.

Co tam po słońcu; on od słońca schudnie!

ANTONIO.

Choć jedno słowo.

SZYLOK.

Każdy pies ma zęby.
Ty chrześcianin, darmo nie psuj gęby.
Czy stary Szylok taki tchórz u licha
Jak ten co mięknie, spuszcza łeb i wzdycha
Gdy ktoś tam jęczy po straconym brygu?
Ja niechcę słuchać, chcę co jest w obligu!
(odchodzi w głąb).

GRATIANO.

A to najtwardszy pies z żydowskiéj psiarni!

ANTONIO.

Niech sobie szczeka. Dosyć téj męczarni,
Już wolę umrzeć. Wiem ja dobrze za co
Na moje życie godzi ten ladaco;
Żem gardząc lichwą, z jego rąk ocalił
Już nie jednego co się na mnie żalił:
Ztąd ta nienawiść.

GRATIANO.

Znam naszego dożę;
Ten oblig nigdy ziścić się nie może.

ANTONIO.

I owszem; doża słuszność mu przyznaje.
Gdyż te swobody, prawa i zwyczaje
Na których stoi byt i wielkość państwa,
Z narodów obcych tworzą się poddaństwa;
A tę potęgę ktoby raz naruszył,
Królową morza w jednym dniu by skruszył.

Lecz dosyć o tém. W takim jestem stanie
Iż na funt mięsa pewno mię nie stanie,
Bym mógł zapłacić krwawy dług u żyda. —
Więc do więzienia. Na co żal się przyda!

(Zegar bije dwunastą).

SZYLOK, licząc.

Raz, dwa, trzy, cztery... mam złodzieja w matni!

ANTONIO.

Dwunasta bije... życia kres ostatni...
Bylem Bassania widział przy wypłacie!

GRATIANO.

Lecz oto doża... nie rozpaczaj, bracie.

Scena II.

CIŻ, DOŻA, SENATOROWIE, BASSANIO, SĄD, PISARZ SĄDOWY.

DOŻA.

Gdzie jest Antonio?

ANTONIO.

Służę, na skinienia.

DOŻA.

Żal mi cię bardzo, bo masz do czynienia
Z potwornym żydem w duchu, i w osobie;
Z krzemiennem sercem, nie mającém w sobie
Ni jednéj skry litości.

ANTONIO.

Już wiedziałem
Że wasza godność, słowem swém wspaniałém,
Tę iskrę chciała wzniecić, lecz daremnie.
Nieludzka zawiść już nie budzi we mnie
Pogardy nawet; stawiam więc bez trwogi
Naprzeciw złości, mir i spokój błogi:
Tą bronią silny, czekam na spotkanie.

DOŻA.

Niech oskarżyciel tu przed nami stanie.

GRATIANO.

Przy drzwiach się krząta... chodźże ty szachraju!

(Szylok się zbliża).

DOŻA, siadając na tronie.

Rozstąpcie się, żyd wolny w naszym kraju.—

(Sędziowie zabierają miejsca).

Szyloku, wszyscy myślą, i ja myślę,
Że twój udany gniew posuwasz ściśle
Do chwili wykonania; że w téj chwili
Tém szczerszéj zgodzie będziem się dziwili,
Im dłużéj trwałeś w twéj zmyślonéj złości;
Że miasto żądać według praw ścisłości
Funt mięsa wzięty z pod dłużnika serca,
Jak srogi tygrys lub jak ludożerca,
Nietylko, tuszym, litość dlań uczujesz,
Lecz mu połowę sumy twéj darujesz,
Przez wzgląd na straty, na zniszczone żagle,
Na klęski spadłe ze wszech stron tak nagle,
Że króla kupców mogłyby przewalić;
Lecz miłosierdziem natchnąć i rozżalić
Żelazne piersi Turków i Tatarów,
Niezdolnych pojąć tych miłości darów
Przez które człowiek bratem jest człowieka.—
Sąd odpowiedzi twéj łagodnéj czeka.

SZYLOK.

Godności waszéj dałem ją zawczasu.
Zakląłem się na święty dzień szabasu
Że muszę mieć to co mi prawo nada;
W odmównym razie, niech ta klątwa spada
Na waszych ustaw próżność i swawolę.
Zapyta kto, dlaczego raczéj wolę
Wziąść funt stęchłego mięsa, niż pieniądze.
Ja nie odpowiem; lecz to dosyć sądzę
Że ja tak chcę, dla zdrowia lub wygody.—
Co! gdy w mym domu szczur narobi szkody,

Czy mi zabrania dać ustawa która
Te trzy tysiące na zgładzenie szczura?
Są ludzie którym szkodzi kwik prosięcia;
Na widok kota ten dostaje rznięcia:
Ten znów, gdy kobziarz piszczy mu nad uchem
Nie może moczu wstrzymać.— Gdyż mym duchem
Krew moja rządzi, według méj skłonności
Lub mego wstrętu.— Więc, odpowiem prościéj;
Jak wyrozumieć łatwo nie przychodzi,
Dlaczego temu kwik prosięcia szkodzi,
Dlaczego ten nie cierpi kocich oczu,
A ten przy kobzie nie powstrzyma moczu;
Lecz nieuchronną hańbę ztąd przyjmuje
Że musi krzywdzić tam gdzie krzywdę czuje:
Tak ja nie mogę sprawy zdać, lub niechcę,
Z téj staréj chrapki co mi serce łechce
Do tego kupca, że ze stratą własną
Mój oblig wezmę.— Wszak odpowiedź jasną?

BASSANIO.

Odpowiedź taka, łotrze ty wierutny,
Nie uniewinnia zemsty twéj okrutnéj.

SZYLOK.

Nie stoję o to czy waćpanu sprzyja.

BASSANIO.

Co kto nie cierpi czyli wręcz zabija?

SZYLOK.

Czy kto nie niszczy tego czém się brzydzi?

BASSANIO.

Za pierwszą krzywdę czy mordują żydzi?

SZYLOK.

Czy chcesz by wąż ukąsił cię dwa razy?

ANTONIO.

Daj pokój; z żydem tracisz twe wyrazy.

Nierównie łatwiéj stać nad brzegiem morza,
I ludzkiém tchnieniem zniżyć fal przestworza;
Nierównie łatwiéj z wilkiem spór otworzyć,
I bekiem owcy skwarny głód umorzyć;
Nierównie łatwiéj chcieć nakazać ciszę
Szumiącym jodłom, gdy je wiatr kołysze;
Najtwardsze słowem walki znieść bezpiecznie,
Niż upamiętać to przeklęte wiecznie
Żydowskie serce.— Proszę was na Boga,
Już nie żądajcie nic od tego wroga;
Lecz zostawiając prawu bieg właściwy,
Wydajcie wyrok jak on sam, złośliwy!

BASSANIO.

Za trzy tysiące, sześć ci damy snadnie.

SZYLOK.

W nich każdy dukat niech się w sześć rozpadnie,
I każda szóstka sześć dukatów spłodzi,
Ja chcę mieć oblig, lub ten człowiek złodziéj!

DOŻA.

Sam bez litości, sądź bezprawia twoje.

SZYLOK.

Gdy prawnie działam, sądu się nie boję.
Wszak wasze skarby jeńców wam przyniosły;
Jak wasze muły, wasze psy lub osły,
Do twardych robót służą wam codziennie,
Bo są kupieni.— Powiemże sumiennie:
Rozwiążcie ich, pożeńcie z waszą dziatwą,
Ich pokarm będzie wasz, ich praca łatwą,
Niech waszych łupów ciężar ich nie gniecie,
Niech śpią na waszych łożach; wy powiecie:
Ci niewolnicy nasi.— Ja téż powiem:
To mięso moje, chcę je mieć; albowiem
Kupione drogo, prawo mam posiadać.
Jeżeli nie, już nie ma o czém gadać;
Weneckie prawo, tfu, to groch na ścianę!

(bijąc laską w podłogę).

Ja chcę wyroku; mówcie, czy dostanę?

DOŻA.

Z urzędu mocy, wyrok nasz odwlekam
Aż sławny doktor na którego czekam,
Bellario, by nam zdanie swe objawił,
Na sąd nie zjedzie.

GRATIANO.

Książe, już się stawił
Posłaniec z listem do samego doży,
Przybyły z Padwy.

DOŻA.

Niech ten list nam złoży.

BASSANIO.

Antonio, słyszysz; nie trać serca, śmiało!
Żyd weźmie moje kości, krew i ciało,
Nim pierś twa jedną kroplę jéj uroni.

ANTONIO.

Od jego zemsty nic mię nie obroni.
Najsłabszy owoc pierwszy z drzew opada;
Jak zarażony skop z całego stada
Na śmierć dojrzały, niech za wszystkich zginę,
Gdy mego domu przetrwać mam ruinę.
Przy zgonie tylko to zastrzegam sobie,
Byś sam położył napis na mym grobie.

Scena III.

CIŻ, NERYSSA w ubiorze aplikanta.

DOŻA.

Przybywasz z Padwy, z listem od doktora?

NERYSSA.

Ten list Bellario sam napisał wczora.

BASSANIO, do Szyloka.

Cóż tak zawzięcie ostrzysz nóż na bucie?

SZYLOK.

By mój funt mięsa wyciąć na bankrucie.

GRATIANO.

Nie na podeszwie zatruj go, upiorze,
Lecz na twém sercu; bo rzeźnicze noże,
Sam topór kata prędzéj się ukruszy
Jak zemsta twoja. Niczе cię nie wzruszy?

SZYLOK.

Mię tylko bawi dowcip twój, zbyt żywy.

GRATIANO.

A niech cię piorun trzaśnie, psie parszywy!
Za to że żyjesz niech ten kraj odpowie.—
Przez ciebie wiara mąci się w méj głowie;
Bom gotów przysiądz za Pytagorasem
Że dusze bydląt przejść są zdolne czasem
W kadłuby ludzkie; że twój duch sobaczy
Pochodzi z wilka, niech mi Bóg przebaczy,
Powieszonego za zjedzenie strzelca;
I gdyś się rodził, że ten duch wisielca,
Postronkiem ścięty i krwią ludzką spiekły,
Wlazł w twoje ciało, głodny, zły i wściekły!

SZYLOK.

Podpisu póki zębem nie wykłujesz,
Daremnie krzykiem pierś młodzieńczą psujesz.
Podeprzyj rozum; bo w zapale twoim
Na ciebie runie.— W obec praw tu stoim!

DOŻA.

Biegłego ucznia doktor nam obwieszcza
I wiele pochwał w liście swym zamieszcza. —
Czy jest w Wenecyi?

NERYSSA.

Jest, i z niedaleka
Sądowéj sali, na przyjęcie czeka.

DOŻA.

Z całego serca.— Idźcie więc we troje
Wprowadzić gościa w izby téj podwoje:—
Bellaria listu niechaj treść usłyszę.

PISARZ, czyta.

Godności waszéj daję znać niebawem
Iż list jéj w ciężkiéj zastał mię chorobie;
Iż gdy posłaniec przybył z nim do Padwy,
Słynnego z Rzymu spotkał tu młodzieńca,
Don Baldassara, dwojga praw doktora.
Rozpoznał ze mną treść obecnéj sprawy,
Pomiędzy żydem i Antoniem kupcem.
Niemało ksiąg przejrzeliśmy w tym celu;
Zgodziwszy się na moje skromne zdanie,
Zdolnością jego i nauką wsparte
(A przechodzącą wszelkie me pochwały),
Obiecał mię zastąpić przed jéj sądem.
Najmocniéj proszę by niespełność lat
Nie była dlań powodem umniejszenia
Należnych względów; gdyż nieznałem jeszcze
W tak młodéj głowie tak dojrzałéj myśli.
Polecam się godności waszéj łasce;
On zaś najlepiéj sam się jéj zaleci.“

DOŻA.

Słyszycie wszyscy co Bellario pisze;
A otóż ów zastępca, Bogu dzięki.—

Scena IV.

DOZORCA, ANTONIO, PORTIA przebrana za jurystę, SĄD, DOŻA, SENATOROWIE, PISARZ, NERYSSA, BASSANIO, GRATIANO, SZYLOK.

DOŻA.

Wszak pan z Bellaria stajesz tu poręki?

PORTIA.

Od niego, książę.

DOŻA, wskazując mu miejsce.

Witaj nam, doktorze.
Wszak świadom jesteś o bieżącym sporze
O którym w sądzie wyrok dziś zapadnie?

PORTIA.

Szczegóły sprawy wszystkie znam dokładnie.
Gdzie jest ów kupiec i ów żyd?

DOŻA.

Przystąpcie;
I w odpowiedzi mowy swéj nie skąpcie.

PORTIA.

Wszak Szylok wam na imie?

SZYLOK.

Szylok, panie.

PORTIA.

Natury dziwnéj wasze jest żądanie;
Lecz w takiéj formie, iż weneckie prawo
Uważnić musi suplikę, z poprawą.
(do Antonia).
Wszak ciebie skarży?

ANTONIO.

Mnie, jak mi się zdaje.

PORTIA.

Uznajesz żeś zaręczył kwit?

ANTONIO.

Uznaję.

PORTIA.

O wtedy, żydzie, miéj wyrozumienie.

SZYLOK.

Co zmusi mię do tego?

PORTIA.

Co? Sumienie!
Litości bratniéj być dowolną trzeba;
Jak deszcz ożywny, tak i łaska z nieba
Błogosławieństwo dzieli na dwie części,
Gdyż tak dającym jak biorącym szczęści.
Silniejsza w silnych, skroń monarchów ona
Piękniejszą sławą zdobi, niż korona.
Żelazném berłem król gdy grozi światu,
To berło godłem czci i majestatu;
W niém postrach blady winnych serc dosięga,
Lecz ich litości wyższą jest potęga;
Ludami rządzi miłość a nie trwoga,
Gdyż ta pochodzi od samego Boga:
I sprawiedliwość wtedy doń się zbliża,
Gdy miecz w jéj ręce zmienia się w znak krzyża!
W słuszności ścisłéj zważ że żaden człowiek
Nie godzien łaski przy zawarciu powiek;
Że w modłach naszych litość chcąc uprosić,
W uczynkach do niéj musim się podnosić.
Zanadto żydzie, z tobą się rozwodzę;
Twych słusznych żądań jeśli nie złagodzę,
I trwać-li chcesz w nieludzkiéj twéj zawiści,
Wyrokiem prawa, prawny dług się ziści!

SZYLOK.

Niech czyny moje na mą głowę spadną;
Zupełną słuszność chcę tu mieć, lub żadną!

PORTIA.

Twą wiarą lichwa; ja się lichwą brzydzę.

BASSANIO.

Ten młody doktor, pierwszy raz go widzę;
Choć mi się marzy że go dawniéj znałem,
I że głos jego, kiedyś już słyszałem...

ANTONIO.

To nic dziwnego. Wiele jest na świecie
Podobnych twarzy. Choć w młodości kwiecie,
Już jest dojrzały sercem i umysłem;
Lecz od obrońcy prawo nie zawisłém.

PORTIA.

Czy dłużnik sumy spłacić ci nie może?

BASSANIO.

I owszem, zaraz ją potrójnie złożę,
Lub dziesięć razy, jeśli trzy za mało;
Zastawię nogi, ręce, krew i ciało,
A jeśli to nie dosyć, jawném będzie
Że złość przenosi zysk. W tak ważnym względzie,
Niech do litości prawo się nakłoni;
Wszak wielkie dobro wątły grzech zasłoni,
Niech tego djabła duch zbawienia zgniecie.

PORTIA.

To być nie może. Żadna moc na świecie
Przyjętych ustaw zwichnąć już nie zdoła;
Następstwa zgubne przykład ten wywoła,
I błąd nie jeden wkradnie się do kraju
Tą samą drogą. Strzeżmy więc zwyczaju.

SZYLOK, wznosząc ręce.

To istny Daniel! — z duszy méj powiadam,
I w obec wszystkich, głośny hołd mu składam.

PORTIA.

Szyloku, pozwól, niech ten kwit otworzę.

SZYLOK.

Ot jest, ot jest, szacowny mój doktorze!

PORTIA.

Potrójna suma stoi tu dla ciebie.

SZYLOK.

Przysięgę straszną, mam przysięgę w niebie;
Niewiernym ślubem duszy nie obciążę,
Choć za kraj cały.

PORTIA.

Kwit ręczony wiąże;
Gdy termin minął, żyd ma powód święty
Wymagać prawnie ciała funt wyjęty
Z poręczyciela.— Lecz twe serce szczodre
Kapitał przyjmie; oblig daj, niech podrę.

SZYLOK.

Gdy mi go spłaci podług słów ugody.
Rozumnym jesteś, mój Danielu młody,
Znasz dobrze kodex, wykład twój był jasny;
Więc w imie prawa, i na honor własny,
Podyktuj wyrok równy twéj mądrości;
Gdyż ja przysiągłem na te stare kości,
Że żaden prawnik głosem swym lub gestem
Mnie nie przerobi.— Za słusznością jestem!

ANTONIO.

Serdecznie proszę, niech osądzi doża.

PORTIA.

Przygotuj zatém twoją pierś do noża.

SZYLOK.

Proroku wielki!— tobie cześć i sława!

PORTIA, dyktując.

Uznajem więc, iż myśl i brzmienie prawa
Są zgodne z karą w kwicie tym rzeczoną,
A z obu stron podpisem zaręczoną.

SZYLOK.

O światły sędzio!— Méj poręki żądasz?
O ile starszym jesteś niż wyglądasz!

PORTIA.

Więc bok odsłonić.

SZYLOK.

Chodź, daremna mowa;
Najbliżéj serca: to są jego słowa.

PORTIA.

A prawda, patrzcie! są tu wagi proszę,
By zważyć mięso?

SZYLOK.

Macie, sam przynoszę.

PORTIA.

Szyloku, sprowadź na twój koszt felczera;
Z ran umrzeć można, ludzka krew jest szczera.

SZYLOK.

Czy tak w obligu?

PORTIA.

Uczyń cóś dla niego;
Wszak możesz raz mieć litość dla bliźniego.

SZYLOK.

Gdzie jéj tam szukać? wszak jéj niema w kwicie!

PORTIA.

Antonio, wyznaj; bardzo dbasz o życie?

ANTONIO.

Kto, ja? bynajmniéj; zniosę śmierć i mękę.—
Bądź zdrów, Bassanio; daj mi twoją rękę,
Niech ją uścisnę jeszcze raz ostatni:
W niéj składam serce, w niéj nasz węzeł bratni.
Nie smuć się z tego że to już na zawsze;
Wszak dla mnie losy stają się łaskawsze
Niż dotąd były. Lat zwyczajny wątek
Pozwala przeżyć szczęście i majątek;

Z pochmurném czołem i zapadłém okiem
Do grobu stąpać. Prawo, swym wyrokiem,
Tę nędzę skraca, topiąc nóż w mém łonie.
Racz mię polecić twéj nadobnéj żonie;
Opowiedz jéj ostatnie moje chwile,
Po mojéj śmierci, mów o starcu mile;
A gdy wypowiesz wszystko, niech ci przyzna
Że mi tak drogim byłeś, jak ojczyzna.
Nie żałuj że masz tracić przyjaciela,
Jak on, że życiem z tobą się podziela;
Bo niech cóś głębiéj weźmie żyd morderca,
Twój dług mu spłacę i z całego serca.

BASSANIO.

Antonio, własne, jam już dał kobiecie
Nad którą nie mam nic droższego w świecie;
Lecz moje szczęście, wszystko co posiadam,
I żonę nawet, za twe życie składam.
Tak, wszystko razem z nią utracić wolę,
Z rąk tego czarta jeśli cię wyzwolę.

PORTIA.

Waćpana żona przed zamężciem wdowa,
Swój ślubny pierścień zwrócić by gotowa.

GRATIANO.

Ja téż mam żonę; kocham ją, jak siebie.
Lecz z aniołami niech króluje w niebie,
Byś przez nią był spętany, duchu smoczy.

NERYSSA.

A to życzenie! dobre po za oczy;
Bo wasze słonko zaszłoby za chmurkę.

SZYLOK, do siebie.

To chrześcianie, a ja żyd, mam córkę;
Lecz wydam ją za wnuka Barabasza,
Nim ją zbezcześci ta niewierność wasza.
(do Portii, głośno).
Tracimy czas. Na wyrok sądu czekam.

PORTIA.

Funt mięsa weźmiesz; zgody już się zrzekam.

SZYLOK.

Najmędrszy sędzio! —

PORTIA.

Słuszną jest twa żądza;
I gwoli prawu, sąd ci go przysądza.

SZYLOK.

To wyrok! — zatém gotuj się, kolego;
Wygrałem.

PORTIA.

Czekaj, jest tu cóś innego. —
Uświęcać długi, naszym jest zwyczajem;
Lecz krwi dłużnika wcale ci nie dajem!
I jeśli w cięciu, rzut zbyt ostréj broni
Krwi chrześciańskiéj kroplę choć uroni,
Twe wszystkie włości, kupna lub grabieże,
Na rzecz Wenecyi, prawem skarb zabierze.

GRATIANO.

O światły sędzio! — to ci prawdę wykuł!

SZYLOK.

Gdzie takie prawo?

PORTIA.

Czytaj sam artykuł.
Słuszności chciałeś, masz ją w tym sposobie;
Pewniejszą nawet niż sam życzysz sobie.

GRATIANO.

Najmędrszy sędzio! — co, nieprawda, żydzie?

SZYLOK.

Zapłaćcie trzykroć, już niech sobie idzie;
Skwituję oblig.

BASSANIO.

Oto są pieniądze.

PORTIA.

Za prędko, bracie.— Ja tę rzecz rozsądzę.
(do Szyloka).
Porękę weźmiesz, taka treść wyroku;
A więcéj nic.

GRATIANO.

Danielu! mój proroku!—

PORTIA.

Do rzeczy przeto zabierz się goręcéj,
Bez krwi przelewu: i nie weźmiesz więcéj
Jak funt okrągły.— Bo gdy więcéj tylko
Lub mniéj choć łutem, choć granami kilką,
W tym krwawym czynie rączki twe mu zetną;—
Choć o dwudziestą, setną lub trzechsetną
Skrupułu cząstkę:— gdyby te dwie łyżki
O jeden włosek miały mieć przewyżki,—
Stracone życie i majątek wzięty.

GRATIANO.

To drugi Daniel! patrz, to prorok święty.—
No cóż, niewierny, sam się w sieć złapałeś.

PORTIA.

Co cię wstrzymuje? weźże to co chciałeś.

SZYLOK.

Oddajcie sumę; pójdę już do domu.

BASSANIO.

Gotówkę zbieraj, i nie mów nikomu.

PORTIA.

Do cięcia, żydzie, gotuj się czémprędzéj;
Wszak się przed sądem zrzekłeś tych pieniędzy!

GRATIANO.

To Daniel! — słyszysz? on wyrocznie ciska!
Dziękuję ci, żeś uczył mię nazwiska.

SZYLOK.

Co? nie zostanie nawet mi kapitał?

PORTIA.

Nie co w obligu, jakem go przeczytał,
To tylko weźmiesz. — Tak wyrocznia rzekła.

SZYLOK.

A niech z nią czarci porwą was do piekła!
Już nie mam tu co robić.

PORTIA.

Czekaj jeszcze;
Niecz inną sprawkę z sądem ci obwieszczę.
Artykuł siódmy brzmi, w trzynastym rzędzie: —
„Iż, gdy na obcym to wykrytém będzie
Że wprost, otwarcie, lub zaocznie, skrycie,
Ten obcy godził na krajowca życie,
Półowa jego dóbr ma przejść na głowę
Przeciwnéj strony; drugą zaś półowę
W publicznym skarbie sąd z urzędu złoży,
I życie jego zda na łaskę doży.“ —
W przypadku tym z Antoniem jesteś właśnie;
Gdyż z całéj sprawy łatwo ci wyjaśnię
Żeś wprost i skrycie, czynem i podniętą,
Chciał śmierć mu zadać; żeś zasłużył przeto
Na karę miecza i na wywłaszczenie.
Drzyj więc, lub dożę proś o przebaczenie!

GRATIANO.

Proś niech ci wolno będzie się powiesić;
Bo choćby djabeł mógł cię potém wskrzesić,
Już i postronka kupić nie masz za co:
Więc kosztem skarbu stryczek ci zapłacą.

DOŻA.

Byś poznał sam różnicę naszéj wiary,
Z twojego życia nie chcę mieć ofiary;
Twych dóbr połowę ziomek nasz posiędzie,
Skarbowi z drugiéj nieco sił przybędzie.
Obroną twoją jest pokora święta.

PORTIA.

Tak, co do skarbu; nie, co do klienta.

SZYLOK.

Aj waj! krew moją weźcie do kropelki;
Co mi po domu, gdy zrywacie belki
Na których dom oparty? co po życiu,
Gdy to czém żyję tracę w tém rozbiciu?

GRATIANO.

Jeżeli nie masz domu, psie nieludzki,
To mięszkaj w budzie gdzieś odprawiał kucki!

PORTIA.

Antonio! cóżbym zdołał dlań uprosić?

GRATIANO.

Postronek darmo, byś się mógł wynosić.

ANTONIO.

Jeżeli doża nasz, i wy sędziowie,
Zaprzestać chcecie na tych dóbr połowie,
Połową drugą tak niech rozporządzę:—
Iż gdy żyd umrze, domy i pieniądze
Przekaże na Lorenza i kochankę,
A żyda córkę, dziś już chrześciankę.
Lecz trzy warunki wkładam nań za karę:—
Iż razem z życiem przyjmie chrzest i wiarę;
Iż się wyrzeknie lichwy,— choć w ukryciu;
I wszystkie dobra, po najdłuższém życiu,
Na córkę zleje, i Lorenza zięcia.

DOŻA.

Wykonaj ściśle trzy te przedsięwzięcia;
Lub wyrzeczoną łaskę, sąd odwoła.

PORTIA.

Wszak przeciw temu nie podnosisz czoła?

SZYLOK, zgnębiony.

Nie.

PORTIA.

Akt donacyi pisarz niech wystawi.

SZYLOK, wstając.

Pozwólcie odejść, wy sędziowie prawi;
Mnie trochę słabo: akt mi doręczycie,
Podpiszę, jutro.

DOŻA.

Idź i zbaw twe życie!

GRATIANO.

Dwóch chrzestnych ojców będziesz miał w tém mieście;
Ja gdybym sądził, miałbyś ich ze dwieście,
Nie do chrztu, żydzie, lecz na szubienicę!

(Szylok zwolna wychodzi, z nożem w ręku, patrząc na Gratiana).

DOŻA.

Mieć was u stołu, niech się dziś poszczycę.

PORTIA.

Wysokość wasza mię wymówić raczy;
W téj jeszcze nocy Padwa mię zobaczy,
Więc bez odwłoki muszę się wybierać.

DOŻA.

Przy mojéj prośbie nie chcę się upierać.
Imieniem państwa przyjm najszczersze dzięki,
Za życie dane z téj szlachetnéj ręki.

(do Antoniego i Bassania).

Hołd jawny cnocie, to powinność nasza;
Dziś na wieczerzę doża was zaprasza.

(Doża z senatorami i sądem wychodzą).

Scena V.

GRATIANO, BASSANIO, PORTIA, NERYSSA.

BASSANIO.

Obrońco zacny, ja i mój Antonio,
Wyrwani śmierci twą przyjazną dłonią,
Zbawienie nasze chcemy ci zawdzięczyć.
Za trud podjęty, pozwól nam ci wręczyć
Te trzy tysiące które żyd miał dostać.

ANTONIO.

I dobroczyńcą naszym chciéj pozostać.

PORTIA.

Ja usług moich nigdy nie najmuję.
Kto dobrze czyni, ten zapłatę czuje
W sumieniu własném. Większą mam nagrodę
Żem wam ocalił honor i swobodę;
Przenoszę ją nad skarby najbogatsze: —
Więc niech przedajność chluby téj nie zatrze.
Gdy się spotkamy, może nie zadługo,
Postąpcie zemną jak z najlepszym sługą.

BASSANIO.

Natrętność moją przebacz mi łaskawie.
Pamiątkę jaką niechaj ci zostawię,
Jak winny zakład méj życzliwéj chęci;
I tę daninę serce niech uświęci.

PORTIA.

Zbyt pan nalegasz. Przyjmę więc z ochotą
Tę rękawiczkę i obrączkę złotą,
Cenniejszą pewnie od tych trzech tysięcy. —
Nie ściągaj ręki; ja nie żądam więcéj!

BASSANIO.

Drobnostkę taką wstydziłbym się szczerze,
Za tyle łaski, złożyć mu w ofierze.

PORTIA.

Pieniężnym darem mnie podobni gardzą;
Lecz tę obrączkę pragnę mieć i bardzo.

BASSANIO.

Dam ci najdroższą jaka jest w Europie;
Przez ogłoszenie pismem ją wytropię,
Na klejnot jeden stu złotników złożę:
Lecz ten z mą ręką rozstać się nie może.

PORTIA.

Pan mniéj oszczędzasz słowa, niż ofiary;
Bo najprzód uczysz jak mam żebrać dary,
A teraz jak żebrakom odpowiadać.

BASSANIO.

To pierścień żony; gdym go miał posiadać,
Musiałem przysiądz że przed i po ślubie,
Pierścienia tego nie dam i nie zgubię.

PORTIA.

Wymówkę znajdzie kto zły czyn zasłania.
Wszak jego żona godną jest kochania;
I sama przyzna, jeśli pan go zdejmie,
Żem nań zasłużył.— Kłaniam więc uprzejmie.
(odchodzi na stronę z Neryssą).

ANTONIO.

Bassanio, ustąp. On mnie życiem darzy;
Niech wdzięczność zakaz żony twéj przeważy.

BASSANIO.

Idź, mój Gratiano, wstrzymaj go na chwilę;
Ten pierścień odnieś, i dziękując mile,
Na nocleg zaproś do Antonia domu;
My dwaj odejdziem by uniknąć sromu. —

A po wieczerzy, nim zaświta ranek,
Belmontu panią ujrzy jéj kochanek.

Scena VI.

GRATIANO, PORTIA, NERYSSA.

PORTIA.

Nerysso, dowiesz się gdzie Szylok stoi;
Niech akt podpisze. Ja, w odmiennéj zbroi,
Chcę z moim mężem zwieść powtórną walkę,
I w saméj sobie zgromić mą rywalkę;
Zgotuję mu przyjemną niespodziankę,
Gdy w swym obrońcy pozna swą kochankę:
Wierniejszym będzie gdy do domu wróci. —
Ten akt Lorenza pewno nie zasmuci.

GRATIANO, zbliżając się.

Panowie, słowo.

PORTIA.

Stoję na usługi.

GRATIANO.

Chcąc wam wypłacić me serdeczne długi,
Od mych przyjaciół pierścień ten odnoszę
I dziś na nocleg do Antonia proszę.

PORTIA.

Z radością wielką biorę go na drogę;
Lecz téj gościny przyjąć już nie mogę,
Bo zaraz jadę. — Czy pan zna mięszkanie
Szyloka żyda?

GRATIANO.

Znam, łaskawy panie.

NERYSSA.

Więc idźmy. W drodze dasz mi cóś wyżebrać. —
(do Portii, na stronie).

Mój pierścień muszę także mu odebrać,
By go zawstydzić za złamane słowo.

PORTIA.

Że ci się uda, to ci ręczę głową.
Przysięgać będą że je księżom dali,
Zaklinać, prosić, błagać i tam daléj;
Lecz my dowodnie kłamstwo im zadamy.

NERYSSA.

Niech pan prowadzi.

PORTIA.

Wiesz gdzie zejść się mamy.

Scena VII.

JESSYKA, ŻOŁĄDEK.

JESSYKA.

Dla czego Portia stanąć nam kazała
W pałacu doży? patrz, truchleję cała;
Ten spieszny powrót na co nam się przyda?

ŻOŁĄDEK.

By widzieć pewnie jak wieszają żyda.—
Zaprawdę, los wasz wielce mię obchodzi;
Bo jeśli szczerze mówić mi się godzi,
Na córkę klątwą grzech ojcowski spada.
Nie traćcie serca; bo mi cóś powiada
Że nie jesteście jego krwią i ciałem.

JESSYKA.

A więc, podrzutką?

ŻOŁĄDEK.

Tego nie widziałem;
Lecz waszym ojcem jest ktoś inny może,
A nie wasz ojciec.

JESSYKA.

Cóż mi z tąd, mój Boże,
Gdy mię potępia ciężki grzech méj matki?

ŻOŁĄDEK.

Zaprawdę, trudne z obu stron zagadki.
Żydówki rodu choć nie łatwo dociec,
Tu ciągnie matka, tam zagania ojciec;
By deszcz ominąć, chrońże się pod rynnę!
No patrzcie, państwo; dziecię tak niewinne,
Że nie ochrzczone, musi pójść do piekła!

JESSYKA.

Ojcowskich błędów jam się już wyrzekła;
I z łaski męża, jutro chrzest przyjmuję.

ŻOŁĄDEK.

Zaprawdę, ja mu wcale nie dziękuję.
Na bożym świecie choć się głodem żyło,
Już nas chrześcian dość i przedtém było;
Jak wróbli w zbożu, lub dziczyzny w lesie.
To rznięcie bród żydowskich tak podniesie
Wieprzowe mięso, że i na śniadanie
Kawałka szperki człowiek nie dostanie!

JESSYKA.

Mój mąż nadchodzi, powiem coś mi gadał.

Scena VIII.

ŻOŁĄDEK, JESSYKA, LORENZO.

LORENZO.

A cóż! czy wiecznie będziesz ją spowiadał,
I z nią jak zmora krzątał się po ganku?

JESSYKA.

Nie masz się czego lękać, mój kochanku.
Spowiednik taki małą ma ponętę;
Gdyż dla mnie, mówił, niebo jest zamknięte,
Żem córką żyda.

LORENZO.

Widzisz go, ten głupiec!

JESSYKA.

Przy wiecznym ogniu chciał mię żywcem upiec,
Za grzech ojcowski.

ŻOŁĄDEK.

Chciałem ją pocieszyć;
A prawdę mówić, panie, to nie grzeszyć.

LORENZO.

Do kuchni, łotrze!

JESSYKA.

Mówił zaś o tobie,
Że nawracając żydy w méj osobie,
Podnosisz cenę sadła i słoniny. —

(Lorenzo kijem okłada Żołądka).

ŻOŁĄDEK, płacząc.

Aj waj! zaprawdę, czy to z mojéj winy
Że ojciec pani synem jest proroka?

LORENZO.

Masz, za kazanie! — Plecie wciąż jak sroka,
I chyba jadłem dziób mu zamknąć można!

(Żołądek wychodzi).

No cóż, Jessyko, pani ta nabożna,
Bassania żona, jak ci się podoba?

JESSYKA.

To najświetniejsza naszéj płci ozdoba.
Jéj mąż powinien wieść przykładne życie,
Gdy los go szczęściem darzy tak obficie,
Że już do raju tęsknić mu nie trzeba;
I jeśli kiedy dwaj mięszkańcy nieba
Podobne zechcą dobrać dwie ziemianki,
By zeń uczynić wieczne swe kochanki,
Ta pani będzie pierwszą: lecz o drugą,

Z pięknością równą, cnotą i zasługą,
Daremnie pytać.

LORENZO.

Macie więc wzajemnie
Dobraną parę; jak on w niéj, ty we mnie.

JESSYKA.

Czy tak? mnie saméj przyznać to należy.

LORENZO.

Pomówim o tém późniéj, po wieczerzy.
(prowadząc ją ku galeryi, w głąb).
Jak śliczny księżyc! — W taką noc wiosenną,
Gdy drżący wiatr całuje ziemię senną,
I w złote kwiaty gdy się niebo stroi,
Troilus klęczał na zwaliskach Troi;
I duszy swéj westchnienia słał boleśnie
Do greckich naw, gdzie marząc o nim we śnie
Kressyda spała.

JESSYKA.

W taką noc pogodną,
Łzy rosy siejąc na murawę chłodną,
Lękliwa Tizbe za Pyramem biegła;
I nad potokiem gdy cień lwa postrzegła,
Pierzchała z trwogą.

LORENZO.

W taką noc zapewnie,
Nad brzegiem stojąc i szlochając rzewnie,
W orszaku sług, dawała znak Dydona
Eneaszowi, by z morskiego łona
Do niéj powracał.

JESSYKA.

W taką noc uroczą
Medea rwała ślaz i trawę smoczą,
Ezona starca czarem chcąc odmłodzić.

LORENZO.

I w taką noc, Jessyka by nagrodzić
Lorenza miłość, za kochankiem trzpiotem
Uciekła do Belmontu, jednym lotem.

JESSYKA.

I w taką noc, ten luby przeniewierca
Czułemi słowy sięgał jéj do serca;
Choć każde z nich już dawniéj mu służyło.

LORENZO.

I w taką noc, to śliczne dziewcze lżyło
Kochanka swego, pewnie dla pokusy;
On, by ją skarać, wziął jéj dwa całusy...

JESSYKA.

Ktoś idzie, słuchaj!

LORENZO.

Zawsze ktoś, u licha!

Scena IX.

CIŻ, NERYSSA, w habicie zakonnym.

NERYSSA.

To ja, Neryssa.

JESSYKA.

Ty, w postaci mnicha?

NERYSSA.

Przerywam może?

JESSYKA.

Z mnichem się nie grzeszy.

NERYSSA.

Przychodzę z wieścią, która was ucieszy;
Z klasztornéj celi pani tu przybywa.
Za narzeczonym tęskna i troskliwa,

Przy każdym krzyżu na kolana pada;
I Przedwiecznemu hołd serdeczny składa
Że dziś ustalił szczęście jéj, na długo.

JESSYKA.

Tyś jéj posłańcem?

NERYSSA.

Jéj duchownym sługą!
Nasz pan czy w drogę rychło się wybierze?

LORENZO.

Prześwietny doża daje mu wieczerzę
Z Antoniem kupcem, w téj tronowéj sali,
Gdzie dziś przed sądem jak złoczyńcy stali;
Wenecyą całą książe pan zaprasza,
I króla kupców rządcą swym ogłasza.

NERYSSA.

Ach, to zaszczytnie! Idę więc co żywo
Pozdrowić pana wieścią tą szczęśliwą,
Przy trąb odgłosie i muzyce hożéj,
Przybyłéj z nami dla uczczenia doży.—

Scena X.

LORENZO, JESSYKA.

LORENZO.

Jak mile nad Rialto księżyc świeci!
Usiądźmy tu; niech głos muzyki leci
Zmysłami w duszę: przez tę ciszę nocną,
Harmonii władza staje się wszechmocną.
O, spojrzyj w górę! patrz, jak nieba ściana
W złociste krążki gęsto jest zasiana;
A każda z gwiazdek które tam się roją,
W obiegu nocnym pieśń dołącza swoją
Do chóru niebian o spojrzeniach czystych.
Harmonia duszą świateł tych wieczystych;
My tylko ludzie, z pod cielesnéj pleśni
Nie możem słyszeć téj aniołów pieśni!—

(Muzyka przechodzi w głębi).

Przybliżcie się, niech echa zabrzmią śpiewem;
I melodyjnym złotych stron powiewem,
Zwabiajcie do nas dwie kochanków dusze!

JESSYKA.

Po każdéj pieśni, łzę uronić muszę.

LORENZO.

Bo duch silniejszy budzi się z tém pieniem,
A natężenie ducha, jest cierpieniem.
Patrz na to stado źrebców bez wędzidła;
Brykają, lecą, każda pierś ma skrzydła,
Ogniste plemie, dziarskie krwią i duchem!
Lecz niech raz trąbka ozwie się nad uchem,
Lub dźwięk wojenny wstrzyma ich zapędy,
Jak wryte w ziemię wnet przystaną w rzędy,
Zdumione oko myślą się rozżarzy
Pod wpływem pieśni. Ztąd poeci starzy
Zmyślili że Orfeusz gdy zaśpiewał,
W żywioły martwe duszę swą przelewał.—
Bo nie ma rzeczy tak ztrupiałéj, dzikiéj,
By w niéj nie zbudził czucia, prąd muzyki;
Ja nawet sądzę że gdy świat utworzył,
Harmonii prawa wieczny mistrz ułożył.—
Ten kto śpiewności nie posiada w duszy,
Którego siła rytmu nie poruszy,
Ten zdolny do łupieztwa i do zdrady;
W nim płytki umysł jak mgła nocna blady,
A serce ciemne jak twój włos, Jessyko;
Nie wierz tym ludziom.— Cieszmy się muzyką!

Scena XI.

CIŻ, PORTIA, NERYSSA.

PORTIA, w głębi.

Z Antonia domu ten kaganiec błyska;
Choć małe światło, blask daleki ciska,
I słodką budzi w sercu mém nadzieję.

NERYSSA.

Gdy iskężyc jasny, promień ten ciemnieje.

PORTIA.

Tak większą sława mniejszą wnet zaciera.
Namiestnik pyszny w króla się przebiera;
Niech król wystąpi, cień w pogardzie znika,
Jak w morzu wielkiém wązki nurt strumyka.
Czy słyszysz lutnie?

(Słychać dalekie granie).

NERYSSA.

Pewno chór wieczerzy.

PORTIA.

Piękności władza na kontraście leży;
Ten chór mi teraz milszym niż w południe.

NERYSSA.

Jak z nocną zorzą śpiew się łączy cudnie!

PORTIA.

Bo w dziennéj wrzawie, wrony krzyk żałobny
I śpiew skowronka, mają dźwięk podobny;
I słowik nawet, gdyby nie wieczorem
Lecz z rana śpiewał, z kaczką i gąsiorem,
Od szpaka pewno mniéj by miał pochwały.
Stosowna pora, w tém ich urok cały.—
Lecz z Endymionem śni Dyana w niebie,
I głosy milkną.

LORENZO.

Ktoś jest, blisko ciebie;
Ten ktoś mi znany: wstań, usłyszę lepiéj.

PORTIA.

On mię poznaje, jak kukułkę ślepi,
Choć jéj nie widzą.

LORENZO.

Składam hołd, méj pani!

PORTIA.

Przybycia mego doża mi nie zgani;
Dość się modliłam za Bassania zdrowie,
I za was także: niech ten kapłan powie.
Czy już powraca?

LORENZO.

Dziś zabawi jeszcze;
Obecność pani zaraz mu obwieszczę:—
Lecz oto idzie.

(Słychać odgłos trąb).

PORTIA.

Niemówże nikomu
Że już od rana tu przybyłam z domu.

NERYSSA.

Nikt nas nie pozna. Wszakże my z mężami
Umiemy trzymać język za zębami.—

PORTIA.

Ta noc wygląda jakby dzień ponury,
Gdy krąg słoneczny skryje się za chmury.

Scena XII.

CIŻ, DOŻA, ANTONIO, BASSANIO, GRATIANO, LEONARDO, ŻOŁĄDEK, BEJ MAROKAŃSKI, KSIĄŻE ARRAGOŃSKI, SENATOROWIE, ORSZAK, PAZIOWIE, MUZYKA, SŁUDZY.

(Paziowie i słudzy wnoszą stół zastawiony z wieczerzą; — sala się rozwidnia).

DOŻA.

Ta noc wygląda jakby dzień bez końca;
Gdyż widząc panią, nie żałujem słońca.

PORTIA.

Przezacny książe, choć dla naszéj sławy
Mrok ciemny lepszy niźli dzień jaskrawy,

Niech dzień ten błyszczy nad Wenecyi szczęściem.

DOŻA.

I nad pomyślném pani méj zamęźciem. —
Zatrzymać chciałem tych łaskawych gości.

BEJ MAROKAŃSKI.

Najchętniéj służę; lecz don Karlos pości.

KSIĄŻE ARRAGOŃSKI.

Zobaczym.

(Wszyscy zabierają miejsca).

PORTIA.

Powrót chciałam wasz uprzedzić.

BASSANIO.

Antonio wkrótce przyrzekł nas odwiedzić;
Winienem jemu więcéj niż me życie,
Bo miłość twoją.

ANTONIO.

Zaszczyt mi czynicie;
Jesteście pierwsi w mych przyjaciół rzędzie.

PORTIA.

Pan téż najmilszym gościem u nas będzie;
Żem go serdecznie przyjąć jest gotowa,
Dowiodą czyny lepiéj niż me słowa.

BEJ MAROKAŃSKI.

A ja dowiodę że mam głód za pięciu.

KSIĄŻE ARRAGOŃSKI.

Przy swoim zostań.

BEJ MAROKAŃSKI.

Chcę pomagać księciu.

(patrząc na Neryssę).

O Mahomecie! jaka rzecz niemiła
Że ta huryssa w mnicha się zmieniła!

GRATIANO do Neryssy, na stronie.

Przysięgam żem niewinny jak baranek;
Czy ci obrączka droższa niż kochanek?
Już tego malca chętnie bym wychłostał,
Gdy tak się srożysz za to że ją dostał.

DOŻA.

Więc druga sprawa w sądzie się zaczyna?
Wprzód wiedzieć pragnę jaka jéj przyczyna;
O cóż tam idzie? śledztwo jest otwartém.

GRATIANO.

O marny pierścień dany mi półżartem,
Na którym napis błahy, jak zazwyczaj,
Był taki: „Strzeż mię, nigdy nie pożyczaj“!

NERYSSA.

Nie idzie tu o napis lub o wartość!—
Przysiągłeś żonie wierność i otwartość,
Że go zachowasz dla miłości ku mnie,
Że nas po śmierci ma zjednoczyć w trumnie;
Już tę przysięgę Bóg zapisał w niebie,
Nasz pierścień ślubny świętym był dla ciebie:—
A tyś go dał jednemu z tych młokosów
Na których brodzie nikt nie widział włosów!

GRATIANO.

I wąs dostanie w swéj dwudziestéj wiośnie.

DOŻA.

Tak, jeśli dziewcze w męską płeć przerośnie.

GRATIANO.

Na honor mój, to potwarz oczywista;
Ten pierścień dostał subjekt, czy jurysta,
Twojego wzrostu właśnie i urody;
I tak się naparł dzieciak ten bezbrody,
Że go przekonać już nie było można.

DOŻA.

Źleś waćpan zrobił. Jestto rzecz bezbożna
Obrączkę stracić, pierwszy dar od żony.
Ten dar z jéj duszą był ci powierzony,
I z twojém ciałem spoił się na wieki.

PORTIA.

I ja téż dałam, dzień to niedaleki,
Obrączkę ślubną wraz z miłością całą
Mężowi memu. Lecz przysięgnę śmiało,
Że on za żadne skarby jéj nie straci;
I za tę wierność, moja mu zapłaci.
Wstydź się! dla żony krzywda to nie mała;
W podobnym razie ja bym oszalała.

DOŻA.

Signor Bassanio, naléj mi tę czarę;
Wypijem zdrowie.

(Bej Marokański dobiera sobie puhar do wzrostu).

BASSANIO, na stronie.

Gdybym miał za karę
Uciętą rękę, przysiągłbym spokojnie
Żem ją z pierścieniem stracił gdzieś, na wojnie!

DOŻA.

Najmilsi goście, jak Bassanio z panią,
Tak niech Marokko złączy się z Hiszpanią!

(Muzyka).

PORTIA.

A gdzie obrączka! czy mię wzrok nie myli?

KSIĄŻE ARRAGOŃSKI.

Aha! w dzień ślubu, już się poczubili.

GRATIANO.

Obrońcy swemu mąż twój nią zawdzięczył,
I dobrze zrobił; moją mi wymęczył

Piskliwym głosem, ów gryzmoła drugi;
I nic niechcieli przyjąć za usługi
Prócz tych obrączek. Lecz...

PORTIA.

Ach! to nikczemnie,
Dać mu ten pierścień coś go miał odemnie!

BASSANIO.

Występku mego kłamstwem nie obciążę;
Lecz sama widzisz, i wy mości książe,
Iż z mego palca wdzięczność go ściągnęła.

PORTIA.

Jak z twego serca miłość już zniknęła! —
Nie będę twoją, świadczę się przed Bogiem,
Aż go zobaczę.

NERYSSA.

Przed Neryssy progiem
Stać będziesz wiecznie, póki z nim nie wrócisz.

BASSANIO.

Najdroższa żono! ty dni moje skrócisz;
Ten pierścień dałem za Antonia życie,
I moje własne: bo mi zaświadczycie
Że jedną chwilą przeżyć go nie chciałem!
On mię wybawił swoją krwią i ciałem,
I nasz obrońca żądał go koniecznie;
Lecz choć bez niego, chcę cię kochać wiecznie!

PORTIA.

Nie wierzę temu, boś już złamał wiarę,
I z méj miłości zrobił mu ofiarę.
Ja z nim straciłam wszystko na tym świecie;
Tyś nie obrońcy, tyś go dał kobiecie!
Bo mię Neryssa uczy co mam sądzić;
Ufnością zbytnią więcéj nie chcę błądzić,
To mię zabije: gdyż, jak Bóg na niebie,
Kochance dałeś pierścień mój, i siebie!

BASSANIO.

Na duszę moją, krzywdę mi wyrządzasz,
O taką zbrodnię jeśli mię posądzasz.
On niechciał w darze przyjąć mych pieniędzy,
Lecz chciał obrączki. Krew mu dałbym prędzéj,
Więc odmówiłem. Już odchodził smutny,
On który wydarł śmierci tak okrutnéj
Antonia mego. Pierścień mu posłałem
Na pamięć wieczną; cóż uczynić miałem?
Nad życie droższy honor mi rozkazał
By niewdzięcznością mąż twój się niezmazał;
Lecz na tę gwiazdę co nad tobą pała,
Twój pierścień ślubny sama byś mu dała. —

PORTIA.

Strzeż się pan pilnie, by ten doktor młody
Odemnie większéj nie chciał téż nagrody;
Bo niech w Belmoncie jeden dzień postanie,
Małżeńskie prawa, czułość i kochanie,
To wszystko jego: będę mu wzajemną,
Jak byłam tobie, gdyś był szczery ze mną.

DOŻA.

Don Baldassare będzie więc jéj mężem.

BASSANIO.

On pierwéj z moim spotka się orężem!

NERYSSA.

Subjekta malca wezmę za kochanka.

GRATIANO.

A ja na schodach złamę mu kolanka!

DOŻA.

Imieniem prawa, te wyroki oba
Stwierdzamy naszym. — Tak nam się podoba.

BEJ MAROKAŃSKI, pijąc.

Jam tu na ucztę przybył, nie na sądy.

KSIĄŻE ARRAGOŃSKI.

Czy takie gardło mają twe wielbłądy?

BEJ MAROKAŃSKI.

O, jeszcze większe, i dwa takie garby!

KSIĄŻE ARRAGOŃSKI.

Na których wozisz twe skradzione skarby.

BASSANIO.

Niewdzięczna Portio!

GRATIANO.

Żegnam cię, dziewczyno!

ANTONIO.

Jam jest nieszczęsną waśni téj przyczyną;
Do zgody łatwiéj cnota się nakłania.
Już raz me ciało dałem za Bassania,
Gdy nas adwokat zbawił swą wymową;
A teraz duszą ręczę ci na nowo
Że mąż twój, pani, słowa ci nie złamie.

PORTIA.

Czy mam uwierzyć?

NERYSSA.

Czy twój wzrok nie kłamie?

LORENZO, do Jessyki.

Patrz, miłość ślepa, czasem też i niema.

JESSYKA, pokazując księcia.

I głodna!

GRATIANO.

Szkoda że tu żyda niema,
By nam zfałszował takie dwa pierścienie;
Inaczéj, widzę, już się nie ożenię.

DOŻA.

Antonio, skoro dajesz mu porękę,

Ja moją łączę. Niech tę słuszną mękę
Zakończy zgoda; niech mu pani raczy
Dać drugi pierścień: zgromi, lecz przebaczy.

ANTONIO.

A teraz, przysiąż wiecznie go szanować.

BASSANIO.

To mój, na Boga! któż go mógł darować
Méj własnéj żonie?

PORTIA.

Ten jurysta sławny,
Ach, przebacz mężu, mój kochanek dawny!

KSIĄŻE ARRAGOŃSKI.

Zemszczony jestem.

BASSANIO.

Czylim się spodziewał!

NERYSSA.

I na mnie także czy się będziesz gniewał,
Że jego subjekt, przyszły mój małżonek,
Za takąż cenę dał mi mój pierścionek?

BEJ MAROKAŃSKI.

Masz, za przygryzki.

GRATIANO.

To przypadek srogi,
Przed ślubem jeszcze mieć małżeńskie rogi!

STEFANO, przynosząc list.

Do księcia doży.

DOŻA.

Cieszcie się, panowie!
Bellaria listek wszystko wam opowie;
Że sama Portia, wczoraj przed wieczorem

Za wami spiesząc, była tym doktorem,
Neryssa sługą; że ich piękne rączki
Od was dostały obie te obrączki,
O czém Lorenzo wam zaświadczyć może. —

(do Antonia).

Mój zacny kumie, niech ci przytém złożę
Wiadomość lepszą niżli się spodziewasz;
Choć czasem z morza złe nowiny miewasz,
Trzy twoje statki, jutro jak najraniéj,
Ładowne złotem, wchodzą do przystani.

ANTONIO.

Lecz jak wie doża?

DOŻA.

Doża wie o wszystkiém;
A ty, z rąk Portii, dowiesz się tym listkiem.

BASSANIO.

Więc moja żona broni mię i zbawia?

GRATIANO.

Neryssa miła rogi mi przyprawia?

PORTIA.

Pod Baldassarem żony nie poznałeś!

NERYSSA.

I pod subjektem mię wychłostać chciałeś!

BASSANIO.

Czy w tém odzieniu jeszcze znać doktora?

GRATIANO.

Czy subjekt z rana mnichem jest z wieczora?

PORTIA.

Z pozorów marnych sądzić się nie godzi.

NERYSSA.

Nie zawsze mnichem kto w kapturze chodzi.

ANTONIO.

O pani droga! w méj obronie stajesz,
A teraz z życiem honor mi oddajesz?
Niech laurem sławy twoją skroń uwieńczę!

PORTIA, do Lorenza.

Mam też dla ciebie dobrą wieść, młodzieńcze;
Mój subjekt ci doręczy bez zapłaty
Akt darowizny, którym żyd bogaty,
Jessyki ojciec, z wianem jéj od matki,
Na was przelewa wszystkie swe dostatki.

KSIĄŻE ARRAGOŃSKI.

Przeklęty murzyn! dręczy mię nieznośnie.

BEJ MAROKAŃSKI.

Cóż mu po jadle? karzeł nie urośnie.

DOŻA.

Czy książe głodny?

KSIĄŻE ARRAGOŃSKI.

Maur mi wszystko zjada!

BEJ MAROKAŃSKI.

To mój obyczaj, żyć na koszt sąsiada.

KSIĄŻE ARRAGOŃSKI, wstając.

A czy mię licho że przy tobie siadłem!

BEJ MAROKAŃSKI, podobnież.

W ostatniéj wojnie, sam sześć wołów zjadłem.

LORENZO.

Żołądek!

ŻOŁĄDEK.

Słucham.

LORENZO.

Bądź mu wiernym sługą! —
Ci dwaj Wenecyą zjedliby nie długo.
(z puharem w ręku).
Dam naszych zdrowie! Wy miłości głodnéj
Sypiecie mannę!
(Muzyka; wszyscy wstają).

DOŻA.

Już z północy chłodnéj
Wiatr bije w okna, i pochodnie gasną.
Jeżeli chcecie mieć odpowiedź jasną
Na te wypadki dzisiaj wam zdarzone,
Niech każdy z was powoła swoją żonę;
I przy modlitwie, gdy ją zbada szczerze,
Niech prawomocne śledztwo z niéj odbierze. —
Ja téż mój pierścień, ja wenecki doża,
Wrzuciłem ongi do morskiego łoża;
I gdy w tém łożu spocząć mi wypadnie,
Antonio przy was mię wyręczy snadnie.
Lecz nim to będzie, związek wasz uświęcę;
Niech wasze serca, jak te bratnie ręce,
Ogniwem wieczném Bóg miłości zwiąże.

WSZYSCY.

Niech żyje doża, ojciec nasz i książe!

WIESŁAW

Sielanka narodowa w 1ym akcie

MIAROWYM WIERSZEM

podług

K. BRODZIŃSKIEGO.

Wystawiona po raz pierwszy w Krakowie, dnia 6 stycznia, 1861 r.

OSOBY.

STANISŁAW, kmieć . . . . . Pan Karsznicki.
BRONISŁAWA, jego żona . . . . . Pani Krajewska.
BRONIKA, ich córka . . . . . Panna Biedrońska.
WIESŁAW, ich wychowaniec . . . . Pan Benda.
JAN ich sąsiad, sołtys . . . . . Pan Baranowski.
DOROTA, wdowa . . . . . Pani Monikowska.
HALINA, jéj wychowanka . . . . . Panna Micińska.
MUCHA, organista wiejski . . . . . Pan Wisłocki.
WOJTEK, pan młody . . . . . Pan Stacherski.
RÓZIA, panna młoda . . . . . Panna Grabska.
Drużbowie, Skrzypki, Krakowiacy i Krakowianki.

(Scena w okolicy Krakowa, przy chacie Doroty).

Teatr przedstawia wiejską zagrodę, w okolicy Krakowa. — Na prawo, chata Doroty z ławą przed oknem i pasieką. — Wesele. — Wojtek z Różią tańcują w pierwszéj parze. — Jan na przodzie sceny, jako starosta. — Na wzgórzu po lewéj stronie, stary dąb z obrazem Matki Boskiéj. — Pod dębem na darninie, skrzypki. — Przy stole z dzbanem i kuflami, Mucha i Dorota*).

Scena I.

WOJTEK, RÓZIA, JAN, HALINA, MUCHA, DOROTA, DRUŻBOWIE, SKRZYPKI, KRAKOWIACY i KRAKOWIANKI.

CHÓR OGÓLNY.

Żywa Różo, póki służą
Twéj piękności kwiecie,
Niech ci bracia szczęście wróżą,
Jedyne na świecie.
Przyjm wieśniaka Krakowiaka,
I teściową chatę;
Wszak to miło, za chłopaka,
Warkocz dać w zapłatę!

JAN, do Rózi.

Jak ta róża dzisiaj hoża,
Jutro w głóg porośnie,
Tak i młodość, życia zorza,
Spłynie w jednéj wiośnie.

*) Pięciomiar jambowy i rymowy; oprócz w piosenkach, ułożonych w muzykę przez W. Szlagórskiego.

Nie uciekaj, nie narzekaj,
Dola twa spełniona;
Szczęścia twego nie odwlekaj,
Tyś Róża, jak ona!

HALINA.

Skroń młodzieńczą kwiaty wieńczą.
Kłosów pełna strzecha;
Świetna przyszłość, niby tęczą,
Z dala się uśmiecha.
Lecz ja wolę niż niewolę,
Chatkę miłą moją;
Tam w rodzinném żyłam kole,
Szczęśliwą dziewoją.

Gdy zarobię, śpiewam sobie
Jak słowik na wiosnę,
Kiedy nuci w nocnéj dobie,
Piosenki radosne.
Nad młodzieńce, krasne wieńce,
Milsza mi swoboda;
Bo gdy zwiędną ich rumieńce,
Ona zawsze młoda!

WOJTEK, RÓZIA.
Duet.

Nasza niwa kwiatem pływa,
Pod promieniem słonka;
Tak dzieweczka jest szczęśliwa
Miłością małżonka.
Kto pasterce zabrał serce,
Rękę niech zabierze;
Jego w szczęściu, w poniewierce,
Kochać trzeba szczerze!

CIŻ i DOROTA.
Trio.

Dziatwa błoga, to dar Boga,
To skarb nasz uroczy;
Z niemi nigdy głód, pożoga
Domu nie zaskoczy.

Chociaż nędza, krwawa jędza,
Ludźmi dziś pomiata,
Już dzień jasny noc rozpędza,
Brat poznaje brata!

CIŻ i HALINA.
Quatuor.

Tam gdzie zgoda, tam swoboda,
Tam są i dostatki;
Wspólne szczęście, to nagroda
Dzieciom jednéj matki.
Kiedy wszędzie miłość będzie
Serc naszych zwyczajem,
Nad ojczyzną Bóg osiędzie,
Świat zakwitnie rajem!

CHÓR.

Żywa Różo, póki służą
Twéj piękności kwiecie, i t. d.

MUCHA.

Bracia Krakowiacy,
Taniec to rzecz wasza;
Do kufla, pałasza,
Wyście téż junacy.
Daléj, ręka w rękę,
Chłopcy i dziewoje;
Niech organ wystroję,
Utnę wam piosenkę.
Do tańca dawnego
I starszych zaproście;
Niech mi wtórzą goście,
Zaśpiewam polskiego!
(zażywa tabaki).

Taniec polski.

Nie dla mnie włoska tabaka,
Francuzkie stroje, rozmowy;
Polak niech tańczy Polaka,
Bo to taniec narodowy.

Tak niegdyś synowie Piasta,
Z kwiatem zwycięzkich rycerzy,
Zdobywszy twierdze i miasta,
Pląsali w polskiéj odzieży.

Tak nasza rodzinna rzeka,
Wisła poważna i hoża,
Odkąd ze szczytu gór ścieka,
Polaka tańczy do morza.
Kolebką jéj, śnieżne Tatry,
Jéj strojem, pradziadów dzieła;
I wiecznie grają jéj wiatry:
„Jeszcze Polska nie zginęła!“

Z tą pieśnią zwiedza nasz Kraków,
Wawel, trzy święte mogiły,
Warszawę, serce Polaków,
Gdzie nowe budzą się siły.
Niezgięta jarzmem szatańskiém,
Dwieście mil skrapia w swym pędzie;
I w morze wpada pod Gdańskiem,
Który był naszym i będzie.

O rzeko nasza ojczysta,
Tobie cześć wieczna i chwała;
Ty zawsze bystra i czysta,
Jak dusza ojców bywała!
Przeto, gdy dziś pora taka,
Jak do Baltyku twe wody,
Polacy, tańczym Polaka,
Dążąc do wiecznéj swobody!

CHÓR.

Gdy się pora zdarza taka,
Póki wieńce stroją głowy,
Polacy tańczmy Polaka,
Bo to taniec narodowy.

JAN.

Królowo polska! przyjm te nasze wieńce;
Pobłogosławią nam Jezusa ręce.

(Wszystkie dziewczyny oddają Rózi swoje kwiaty; Wojtek je zbiera i zanosi przed obraz Matki Boskiéj).

MUCHA, ocierając sobie czoło.

A co! czy miodu niema już w téj chacie?
Przy śpiewie zatém i nauczkę macie;
Że nasi starzy, choć lubili wojnę,
Zabawy mieli zgodne i przystojne:
I może lepsze niż ci tam zaklęci,
Co tańczą w kółko aż się w głowie kręci...
Chłopacy, w pole, będzie czas na pląsy;
Z Krakowa jedzie jakiś gość bezwąsy.

(Słychać brzęk i trzaskanie z bicza za sceną).

JAN.

To Wiesław! słyszę jak po drodze śpiewa.

Scena II.

CIŻ, WIESŁAW.

WIESŁAW.

Przybycie moje niechaj was nie gniewa;
Z Kleparza właśnie zkąd do domu jadę,
Sprowadzam ojcu dwa koniki gniade.
Słyszałem zdala kiéj przyjemne granie,
Cóś kiéj ochocze pląsy i śpiewanie;
Źrebaki raźniéj bieżą po gościńcu,
Aż widzę dziewy przy rucianym wieńcu:
I wraz odgadłem, bez namysłu wiele,
Że się odbywa w domu tym wesele!
Sąsiadem waszym jestem, bo z téj wioski
Co ją ta widać przez ten staw i brzozki;
Pozwólcie przeto, matki i ojcowie,
I wy przezacni goście, wy drużbowie,
Bym pannie młodéj lat stałego szczęścia,
I wszystkim drużkom życzyć mógł zamężcia.

MUCHA.

Przybytkiem dobrym polski dom nie traci;
Wszak tylko głupce źle przyjmują braci.
Jan, wasz przyjaciel, rządcą jest wesela.

JAN.

Oj, dobrze to mieć w każdym przyjaciela;

Bo człowiek niewie, choć w królewskim rzędzie,
Którego kiedy mu potrzeba będzie.
Spożyjcie z nami czém tu gospodarzy
Prac wdzięczna rola i Bóg ziemię darzy.
Krakowskim wolno przyjrzeć się dziewojom,
Rozlicznym tańcom i przecudnym strojom;
I w tany wreszcie puścić się nie szkodzi,
Bo choć strudzeni, snać jesteście młodzi.

HALINA, podając wstydliwie Wiesławowi w koszyku kwiaty, owoce i ciasta.

Wędrowcze miły, przyjm te dary nieba
Z owoców, kwiatów, i naszego chleba;
Gościnność u nas, dyć to nie nowina:
Więc bierzcie z łaski, prosi was Halina.

WIESŁAW.

Któż by nie oddał duszy za te kwiecie...
(biorąc kwiaty; do przytomnych).
Mię musi kochać to miluchne dziecię!

MUCHA, podając mu kubek z miodem.

Łaskawy gościu, niech ci zdrowie służy
I wypij to na wiwat pannie Róży.
Krajowy miodek, lubię go, jak Mucha,
Bo mię odmładza i przemienia w zucha.
Na stołach dawniéj mieli go królowie;
Lecz skoro panom się zmąciło w głowie
Po wszelkie licho jeździć aż za morze,
Ojczysty trunek schował się w klasztorze:
Gdzie były miody, dziś francuzkie wina,
A takie kwaśne że aż krew się ścina.

WIESŁAW.

Gościnność wasza mię zniewala tyle
Że bardzo chętnie czarę tę wychylę...

MUCHA, zażywając tabaki.

Moździerzy niema, prochem nos nabiję.

WIESŁAW.

Za zdrowie panny młodéj!

(Mucha kicha donośnie).

WSZYSCY.

Niech nam żyje!

(Muzyka gra zwrotkę wiwatu).

WIESŁAW.

Ażebym spłacił me serdeczne długi,
Pozwólcie kubek spełnić po raz drugi,

(wskazując na Halinę).

W podziękę za jéj ciasta i równianki;
W Krakusa potém, za mną Krakowianki!

JAN.

Pierwszeństwo jużci winno się obcemu;
Niech idzie w tany, niech téż po swojemu
Zanuci skrzypkom, parę swą dobierze:
Uczciwie trzeba z gościem żyć i szczerze.

MUCHA.

Za wiosną kwiaty, z kwiatów miód rumiany,
Po miodzie radość, od radości tany,
Rozmowa z tańca, uścisk... i tam daléj.

JAN.

Mój mości Mucho, nie brzęcz ale naléj.

WIESŁAW, do Haliny.

Sąsiadko piękna, za twe miłe zdrowie;
I wasze, zacne matki i ojcowie!

(Mucha kicha coraz mocniéj).

WSZYSCY.

Niech żyją!

(Muzyka gra Krakowiaka).

WIESŁAW.

Teraz, do Krakusa w koło;
Ja wam przy tańcu nutę dam wesołą.

(bierze Halinę w taniec; a skłoniwszy się przytomnym, tupa nogą i śpiewa).

Krakowiak.

Niechże ja lepiéj nie żyję,
Dziewcze skarby moje,
Jeśli kiedy oczka czyje
Milsze mi nad twoje.
Patrzajże mi prosto w oczy;
Bo widzi Bóg w niebie
Że mi ledwo nie wyskoczy
Serduszko do ciebie.

Czemuż ja w mojéj rodzinie
Małe zaznał dziecię?
Byłbym z wami, przy Halinie,
Najszczęśliwszym w świecie!
Krew nie woda ludźmi włada;
Bo któż sercem rządzi?
Człowiek myśli i układa,
A Bóg wszystko sądzi!

MUCHA z cicha, do Jana.

Uważasz Janie! nie chcę wróżyć wiele,
Lecz tu na drugie zbiera się wesele.

JAN.

I mnie się zdaje żeć to nie przelewki;
Cha! niech Bóg szczęści, wart nadobnéj dziewki.

WIESŁAW, goniąc za Haliną.

Nie uciekaj, dziewcze lube,
Moje sto tysięcy;
Dogonię ja moją zgubę,
I nie puszczę więcéj!
Krąży ptaszek w ciemnym lesie,
Gałązek się czepia;
Aż dognany piórka niesie,
Gniazdeczko ulepia.

Gospodarzu, nie dasz wiary
Jak konie opłacę;
Wydałemci twe talary,
Moje serce tracę!

Grajcie skrzypki, bo się smucę;
W opłakanym stanie
Z konikami do dom wrócę,
Serce tu zostanie!

(Halina zapłoniona ucieka do Doroty).

MUCHA.

A jakem Mucha i wasz organista,
Z przyjęcia dobrze sąsiad nasz korzysta.
Krakowskie pięknie nucisz waść piosenki!

JAN.

Imieniem braci niosę ci podzięki.

HALINA, do Doroty.

Mnie jakoś w sercu miło i boleśnie;
Ten śpiew słyszałam dawno już... jak we śnie...

WIESŁAW.

Tak, każda wioska ma swój śpiew osobny,
Wesoły czasem, tkliwy lub żałobny;
Jak każdy z ludzi ma głos i zwyczaje,
Po których innym się rozpoznać daje.
Tą pieśnią bliska cieszy się gromada...

HALINA, zamyślona.

O, całe życie słuchać bym ją rada!

WIESŁAW.

Zabawić miło tak przyjaznych gości,
Lecz już nie mogę dzielić téj radości;
Mój ojciec, matka, mogliby się smucić,
Choć mi tu błogo, muszę was porzucić.
Jak tu godzina płynie za godziną...

(Stanisław z Broniką i Bronisławą nadchodzą z lewéj strony).

Ot i rodzice... żegnam cię, Halino!

MUCHA odchodząc, do Jana.

I chrzciny będą, wszak to nas nie smuci;
Przyjechał dwójką, a we troje wróci...

(Halina z Dorotą wchodzą do chaty; wszyscy się oddalają, oprócz Jana, Wiesława i poprzednich).

Scena III.

JAN, WIESŁAW, BRONISŁAWA, STANISŁAW i BRONIKA.

BRONISŁAWA.

Jak się masz, synu?

STANISŁAW, skłoniwszy się przed obrazem Matki Boskiéj.

Witaj nam, Wiesławie!
Na wiejskiéj z Janem widzę cię zabawie.
W świątecznym stroju, bo w niedzielnéj dobie,
Bronika z matką chciały wyjść ku tobie.
Użyte mądrze dane ci talary;
Koniki śliczne, dziarskie i do pary:
Maść skarogniada, i na czole gwiazda...
Ej, toż to będzie do Krakowa jazda!

BRONISŁAWA.

No, mój Wiesławie, jak służyła droga?
Jak ci się wiodło?

WIESŁAW.

Nie źle, z łaski Boga.

BRONISŁAWA.

Gdy dziadek wczora dzwonił na pacierze,
I czas zastawiać było już wieczerzę,
Mówiłam, czyś gdzie piwa nie nawarzył?
Czy ci przypadek jaki się nie zdarzył?
Bo choć pracowny, choć posłuszny w domu,
I szpakiem umiesz być też pokryjomu;
Zajechać drogę choć i wojewodzie,
Rej nad muzyką w każdéj wieśc gospodzie,
Wyrzucić z karczmy kto zwyczaje zmienia.
Bo młodzian zwykle rządzi się z natchnienia;
I dotąd rady starszych nie usłucha,
Aż palce sparzy: potém na lód dmucha.

WIESŁAW.

Niech zbytnia, matko, was nie trudzi troska;
Kto z Bogiem, zawsze z tym opieka boska.

Gdziekolwiek jadę, nim rozpuszczę wodze,
Przed końmi biczem robię krzyż na drodze;
Więc Bóg od wszelkiéj chroni mię przygody,
I zdrów jak byłem, wracam do zagrody.

BRONIKA.

Więc nic, Wiesławku, ci się nie zdarzyło?

WIESŁAW.

Nic.

BRONIKA.

Przecie smutny...

STANISŁAW.

Coby mu ta było!
Czy mu pierwszyzna jechać do Krakowa?
Od czego rozum i na karku głowa!
By zwodnéj radzie nigdy nie ulegać,
Za dobre chwytać, złego się wystrzegać.
Już jedynaka w boju mi zabili,
A mię do grobu wiek sędziwy chyli;
W niemocy niemam i zaufać komu,
Ty prawą ręką stałeś mi się w domu:
Po mojéj śmierci, tyś mój syn i basta.
Ot, dzięki Bogu, córka mi dorasta;
Wszak możesz czekać, dyć jéj nie zapieszczę:
Ma lat dwanaście i tyś młody jeszcze.

BRONISŁAWA.

Tak jest, dla ciebie, niech ci ojciec powie,
Téj córki strzegę kiéj spojrzenia w głowie;
A cóż droższego możesz mieć od matki?
Toć jedne moje w świecie tym dostatki!
I drugą miałam... o wszechmocny Boże!
Wypłakać oko za nią się nie może.
Zaledwie piąty kwiat opadał sadu,
Gdy mi zniknęła bez żadnego śladu;
Już to dwunastym liściem wiatr pomiata,
Jak myśli matki jéj zatruwa strata.

BRONIKA.

Ten czerw, matulu, czy twe serce toczy,
Że zawsze toną we łzach twoje oczy?
W tym gaju nieraz, gdy przychodzim razem
Przed Matki Boskiéj modlić się obrazem,
O zdrowie ojca kiedy ją prosicie,
Zlecacie jéj stracone jakieś dziecię...
Więc miałam siostrę? nie płacz już i powiedz
Kto ci ją porwał, cygan czy wędrowiec?

BRONISŁAWA.

Gdy ciężar wojny spadł na polskie plemie,
Wsie stały w pustkach, a odłogiem ziemie;
W około lasów zbiegły się pożary,
Bożego gniewu te widoczne kary!
Przybyły z wiatrem co te dęby walił,
Wróg wściekły wioskę złupił i zapalił;
Dzień to był sądu, dzień rozpaczy, trwogi!...
Śród ciemnéj nocy, wichrów i pożogi,
Rolnicy razem ku obronie bieżą,
I razem wojsko leci za grabieżą.
Z pożaru dymem szła ojcowska strzecha;
W téj walce córka, duszy méj pociecha,
Bez śladu znikła... Wciąż przez długie czasy
Chodziłam za nią na wsie i na lasy;
Lecz jako kamień z brzegu w staw rzucony,
Stracona dla mnie... głuche wszystkie strony!

STANISŁAW.

Przedwieczny Boże! tobie cześć i chwała!

BRONISŁAWA.

Jam ciebie, synu, za nią wychowała;
Bo gdzie sierotę przyjmie się pod strzechę,
Tam z niebem bliżéj; tam Bóg szle pociechę!

WIESŁAW.

O matko! może to stracone dziecko,
Porwane niegdyś z waszych rąk zdradziecko,

Znalazło litość; żyje też u kmieci,
Przyjęte przez nich między własne dzieci!

BRONISŁAWA, ze łzami.

W téj ja to myśli, po twych ojców stracie,
Chowałam ciebie od małości w chacie.
Za litość, litość... boska snać opieka
Nagradza tajnie dobrą myśl człowieka;
A jeśli ziemia była jéj niegodna,
Dziecięca dusza, czysta i swobodna,
Igrając w niebie przy anielskiéj Matce,
Jéj łaskę zwabia swéj rodzinnéj chatce!

WIESŁAW, u nóg rodziców.

Najmilsza matko! za wasz trud i pracę,
Czém się sierota, czém ja wam odpłacę?
Chęć bez uczynku, mdły to upominek;
Wszelako, przyjmcie chęci za uczynek:
A gdy nie starczą za tak liczne długi,
Zarobek cały daję wam w usługi!

STANISŁAW, podnosząc go.

Aniołów cnotą wdzięczność jest, mój synu,
I często w niebie lepsza chęć od czynu;
Nie jesteś przeto dłużny nam, broń Boże!
On nie chce więcéj jak co każdy może.

WIESŁAW, dając Bronice wstążkę czerwoną.

Przyjm więc, Broniko, wstążkę tę z Warszawy.

BRONIKA, skakając z radości.

Ach, jaka śliczna! jakiś ty łaskawy!
O tyś najmilszy z wioski téj młodzieniec!
Czerwona cała, jak różany wieniec!
Motyla skrzydła nie są takie świetne!...
(przymierzając wstążkę).
Na pół do włosów i do szyi przetnę;
O jak zazdrościć będą mi dziewoje,
Gdy się w niedzielę wstążką tą przystroję!

Jagusia, Zosia, to mię wzrokiem zjedzą!...
Ja będę stąpać jak wójcianka miedzą,
(chodząc z powagą).
Aż wstęga z wiatrem sfrunie na ramiona;
Ja niby z tego zła i zapłoniona,
Na wszystkie strony będę się wykręcać,
I wszystkie serca, tak, za sobą znęcać!...
(całuje Wiesława i wybiega w skokach, wywijając wstążką).

Scena IV.

CIŻ, prócz BRONIKI.

JAN.

Za twój gościniec piękną masz podziękę!

STANISŁAW.

W twych oczach, synu, widzę srom i mękę.
Milczący zwykle sobie sam zaszkodzi;
Młodemu nigdy skrytość się nie godzi,
A najmniéj z ludźmi, którzy cię kochają.

JAN.

Tak, trza być szczerym z temi co chleb dają;
Nieźrałéj młodzi starsi wnet wybaczą,
I mądrą radę zawsze dać jéj raczą.

STANISŁAW.

Ot Jan, nasz sołtys i nasz kum łaskawy,
Do rady dobry, dzielny do zabawy;
Był téż na wojnie, wie jak, gdzie co było,
A co wywróży, zawsze się ziściło!
Wszak on za stołem już nie jednym siedział,
Co mądrze myślał, wszystkim wręcz powiedział;
A że jak w rozum, w cnoty jest dostatni,
Więc w każdéj chacie ma przytułek bratni.

BRONISŁAWA.

Toć on guślarzem...

JAN.

Nie gadajcie, siostro;
Ja kocham prawdę, mówię ją, choć ostro.
Co wczoraj, z tego wnieść co jutro będzie,
W tém moje gusła, nie w szatańskim błędzie!

BRONISŁAWA.

Was ojcem zowią, w téj dolinie całéj!

JAN.

Tak, ojcem chrzestnym... dzięki za pochwały.
Rodzina wasza moją mi się zdaje;
U jakich gości, takim człek się staje.
Na świecie każdy tyle téż użyje
Gdy z przyjacielem zmówi się, wypije;
W tém się poradzi, lub o tamtém dowie,
Jak tam urodzaj, dziatwa, dom i zdrowie:
A gdy z radością smutkiem się podzieli,
Toć człeku raźniéj, toć mu i weseléj.

BRONISŁAWA, biorąc Wiesława na stronę.

Powiadał ojciec żeś się łepsko sprawił;
Żeś czasu, grosza mu nie zmarnotrawił,
Żeś kupił dwa koniki należycie...

WIESŁAW.

Przeciwnie, matko; bom na całe życie
Zaprzedał wolność, mir i duszę całą!

BRONISŁAWA.

Ach, Chryste Panie! cóż to ci się stało?
Nie darmo tobie tak pobladło lice...
Dla Boga, mówże!...

WIESŁAW, z uczuciem.

Żegnam was, rodzice!
Pozostać w domu było mi na wieki!...
Łask waszych wdzięczen, pracy i opieki,
Przy waszym pługu chodziłbym spokojny,
A z sercem ciężkiéj nie zapoznał wojny;

Lecz darmo człowiek sam o sobie radzi,
Inaczéj myśli Bóg o swéj czeladzi:
Bez wieści spada na nas wyrok boski!
Do miasta jadąc, przy gościńcu wioski,
Ujrzałem druchnę, któréj wdzięk uroczy
Odebrał serce i zniewolił oczy;
I zrobił tyle że jak dziś jedynie
Myśl, serce, dusza, zawsze przy Halinie...

STANISŁAW.

Co za Halina?

WIESŁAW.

Jest to córka wdowy
Co tutaj mieszka, w puszczy téj jodłowéj;
Zwie się Dorotą: choć wieś nasza bliska
Zaledwie znamy dotąd ich nazwiska...

BRONISŁAWA.

I ty ją kochasz?

WIESŁAW.

Ja... od niéj dopiero
Jam poznał miłość, i dozgonną, szczerą!...
Nad kamień cięższa ludziom jest sierota;
Wyście litośnie mi otwarli wrota,
Nie żałowali waszych rąk i chleba:
A mnie porzucać drogich was potrzeba!
Przebaczcie, matko! obcy przed obcemi,
Pracować będę na nieswojéj ziemi;
Lecz bez Haliny, nic już nie zarobię...
Niezdatny ludziom i niemiły sobie,
Chcę znaleść koniec łzom i życiu memu;
Pobłogosławić chciejcie więc biednemu!
Bo ten przed nędzą nigdzie się nie schroni,
Co dobroczyńców go przekleństwo goni!
Przebaczcie! za to będzie Bóg nad wami...
O to ze wstydem proszę was, i łzami!

STANISŁAW.

Wiesławie! ojciec twój gdy kończył życie,

Dał cię w me ręce jak za własne dziecię;
Tak też cię kocham... i Bóg widzi w niebie
Żem ci milszego niemiał nic, nad ciebie...
A ty, niepomny że mię starość gniecie
Chcesz na przygody puszczać się po świecie?
Chcesz mię opuścić, za to żem cię chował,
Uczciwą przyszłość żem ci przygotował,
Nieszczęście wniesiesz do każdego domu,
Gdy mię zostawisz śród pogardy sromu.
I moja starsza zwała się Haliną;
Od lat dwunastu łzy jéj matki płyną...
Lecz myśli niczém, gdy Bóg nie dozwoli;
Zostawiam zatém twéj synowskiéj woli.
Jeżeli przyszła serce ci poświęci,
I poznasz jéj rodziny dobre chęci,
Sąsiada uproś niech dobierze swaty;
Jak syn synowę przywieź mi do chaty.

WIESŁAW.

Ach, wieczne, ojcze, niech ci będą dzięki!

BRONISŁAWA.

Patrz, oto nowe życie ma z twéj ręki!

WIESŁAW.

O luba matko, umrę z téj radości!

BRONISŁAWA.

Dla twego, synu, szczęścia i miłości,
Podzielim całą z wami się chudobą.

JAN.

A zatém proszę mój Wiesławie z sobą;
Serdecznym chęciom waszym chcę dogodzić.
I choćby przyszło po sto razy chodzić,
Mnie miło będzie ponieść trud i znoje,
Bylem wychodził ślub i szczęście twoje.
Nim nocna zorza zgasi dnia promienie,
Z drużbami wrócim o twe zaręczenie,

I zrobię dla was wszystko co w méj mocy;
A teraz, życzę wam spokojnéj nocy.

STANISŁAW, odchodząc.

Szczęść Boże, synu!

WIESŁAW.

Bądź zdrów, ojcze miły;
Niech błogi sen pokrzepi wasze siły!
(odprowadzając rodziców).
Lecz oto widzę wdowę i Halinę;
Ta będzie moją, lub od jutra zginę!

Scena V.

HALINA, DOROTA,

HALINA, wynosząc z chaty kołowrotek.

Już dzień blednieje; mrok zapada chłodny,
Jak nasze życie cichy i pogodny.
Na dębie ptaszął się zbiegają krocie...
I ja zaśpiewam z niemi, przy robocie.
(siada i przędzie).

Widziałam we śnie anioła stróża,
Gdy do mnie mówił cichym wyrazem:
„Niech twoje serce kwitnie jak róża
Przed Matki Boskiéj świętym obrazem.
Patrz na anielską naszą królowę;
Choć w skromnéj chatce życie zaczyna,
Bóg wiecznym blaskiem wieńczy jéj głowę,
I Zbawiciela daje za syna.

„Niech cię nie nęci próżna swawola,
Obce zwyczaje, plotki złośliwe;
Tam gdzie złe matki, tam jest niewola,
A naród silny, tam gdzie cnotliwe.
Biada niewieście uczącéj dziatki
Że bogiem świata jest bałwan złoty;
Że nad uczciwość lepsze dostatki,
Że z niemi wolno wyrzec się cnoty.

„Bo gdzie jest miłość, wiara, nadzieja,
Ten cnót dziewiczych potrójny wieniec,
Tam się roztrąca losu zawieja,
Tam z polskiém sercem dąży młodzieniec.
Przeto niech praca smutek zwycięża;
Miéj duszę prostą, serce bez skazy,
A Bóg dobrego zeszle ci męża.“
Temi mię anioł żegnał wyrazy.

DOROTA, siadając obok Haliny.

Tak, moje dziecię, pracą, rząd i skrzętność
Niedolę słodzi, staje za majętność.
O gdyby znały młode te świegotki,
Dla których życiem pusty śmiech i plotki,
Jak to niepięknie drogi czas marnować,
Starałyby się lepiéj z nim rachować,
Bez rozrzucania tego co im dajem;
I nie zbierały mądrych głupstw, za krajem...
Lat wiosna zniknie jak na wodzie piana;
A gdy na wiosnę niwa nie zasiana,
W jesiennéj porze niema na niéj chleba;
O wierz téj prawdzie, jak duchowi z nieba!

HALINA, rzucając się w objęcia Doroty.

O droga matko, święte są twe rady,
I świętsze jeszcze twoich cnót przykłady!
Zarabiać będę ile sił mi stanie,
Nas nigdy nędza w domu nie zastanie;
Jak nasze pszczółki chcę ci się wywdzięczać,
I własną pracą wszędzie cię wyręczać:
A Bóg litości patrząc na me chęci,
Sił mi udzieli, owoc jéj poświęci!
Wszak on o wszystkich w łasce swéj pamięta,
Odziewa dęby, lilie i ptaszęta,
Zapala gwiazdy i piorunem władnie;
Nikomu włosek z głowy nie wypadnie
Bez jego wiedzy, jego rąk skinienia:
A czemu nasze prośby i życzenia
Niemiałyby być uwieńczone skutkiem?...

DOROTA.

Któż tam za naszym krząta się ogródkiem?

JAN Z DRUŻBAMI, za sceną.

Grzęda kwiatami osuta,
Kwitnie rozmaryn i ruta;
Na okienku wianek leży,
Jest tu córka dla młodzieży.

Przyjdzie młodzian z obcych błoni,
Ojcu, matce się pokłoni;
Zerwie panna swoje kwiaty,
Do teściowéj pójdzie chaty.

HALINA, przynosząc wianek z okna.

Ach, matko; jakiż to prześliczny wieniec!
Czy wieczór jasny dał mu swój rumieniec?...

JAN Z WIESŁAWEM, w głębi.

Skromna chatka choć uboga;
Za rządnością, pomoc Boga.
Sroka skrzeczy na jaworze,
Panna stroi się w komorze.

Otwierajcie, przyszli goście,
I ochoczo w dom zaproście;
Chociaż obcym, bądźcie radzi,
Dobra nas tu myśl prowadzi.

HALINA.

To głos Wiesława!

DOROTA.

Odnieś mu te kwiaty;
Drużbowie zwykle nucą tak na swaty.
Lecz któż odemknie te samotne wrota,
Gdzie żyje biedna wdowa i sierota?
Choć idąc ze wsi trop musieli zmylić,
Z ludzkości trzeba czoła im uchylić.

(otwierając wrota).

Gość w dom, Bóg w dom; witajcie mili goście,
Do niskiéj chaty dobrą wieść przynoście.

Scena VII.

WIESŁAW, JAN, DOROTA, HALINA. DRUŻBOWIE.

JAN.

Maryi Syn niech będzie pochwalony!

DOROTA.

Na wieki wieków.

JAN, spojrzawszy na Halinę.

Jak ten świat przestrony,
Tu nam najmiléj; bo najbardziéj godne
I starca drogi, lica tak urodne.

DOROTA.

Nad jéj zasługi słowa te łaskawe.
Halino, zwiń się, pokaż gościom ławę;
Podróżny koszyk odbierz od młodziana,
Palicę, czapkę, od starszego pana.

WIESŁAW do Haliny, na stronie.

Jam z twoich kwiatów wieniec ten utworzył,
I na okienku z Janem ci położył.

JAN.

Wszak gospodyni przeto nie obrażę,
Gdy tak postąpię jak obyczaj każe;
Zwyczaje ojców, toć krewieństwo nasze.
Wiesławie, zatém daj z koszyka flaszę,
A gospodyni kubka nam udzieli.
Użyty miernie trunek myśl weseli,
Śmielszemi czyni serc ukryte chęci,
Roztkwili duszę i na jaw wyświęci.
A gospodarna jak na wiosnę pszczoła
Gdy sad się bieli, gdy wonieją zioła,
Swéj siostrze niesie w ul zebrane miody,
Tak niesie młodzian z ojców swych zagrody

Słodyczy kubek, z obcéj choć pasieki,
Téj z którą ślubem złączył się na wieki.
Bo równa pszczole miłość jest wieśniacza;
Ta zgodę, słodycz, pracę rąk oznacza.

DOROTA.

Cóż wam odrzeknę na tak miłe słowa?

WIESŁAW.

Niech Jana w serce pójdzie wam przemowa,
By mię niezgasłém szczęściem Bóg obdarzył!
Już on nie jedno plemie tu skojarzył;
Starostą wszędzie bywa na weselu,
I chrzestnym ojcem zwią go w domach wielu.
Gdy przeto do was przyszedł w odwiedziny,
Niech mu się zdaje że u swéj rodziny.

(wyjmuje z koszyka flaszkę, Dorota podaje kubek).

JAN.

A teraz, naléj mój Wiesławie, miodu.

WIESŁAW, podając napełniony kubek Halinie.

Z obcego przyjmij krople te ogrodu,
Halino piękna; jak ci Wiesław życzy
Na całe życie pociech i słodyczy!

(Halina pytającém okiem patrząc na matkę, trwożliwie odbiera kubek, odwraca się bokiem, zakrywa pół twarzy fartuszkiem; a wypiwszy do półowy, drugą półowę podaje przez ramie Wiesławowi: ten ją z największą radością wychyla).

JAN.

No, gdy tak córka chęć życzliwą dzieli,
Jan do was, matko, mówić się ośmieli.
Zacnego domu tu widzicie syna;
Pod ziemią chociaż jego śpi rodzina,
Ma przecież ojców co litością zdjęci,
Kumostwa prawo mając na pamięci,
Nie żałowali dla sieroty chleba,
Uczyli pracy i bojaźni nieba.
Zarabiał godnie że go synem zowią,
I część chudoby z woli mu stanowią.

Nie jest ci u nich gospodarstwo liche;
Sierpowa praca nie szle się pod wichę,
Co tydzień wniesie, nie zje im niedziela:
Bóg też rządności chętnie łask udziela...

DOROTA, do Haliny.

Czy słyszysz, dziecię?

JAN.

Tam pszeniczna rola,
Wełnistą trzodą tam bieleją pola;
W stajence schludnéj się bydełko chowa,
A cztery konie gonią do Krakowa.
Zna Wiesław łaskę i niełaskę nieba;
Już użył biedy, wie o cenie chleba,
Jak słowik nuci, pięknie gra na flecie,
Równego w tańcu nie ma w całym świecie!
W młodzianie dobra i stateczna żona
Wychowu resztę zawsze też dokona;
Nauczy myśleć jak dobytek zbierać,
Jak na zwodliwą przyszłość się ozierać.
To wam powiadam z duszy o Wiesławie,
Bom mu był świadkiem z lat dziecinnych prawie.
Z ramienia starszych do was ja zachodzę;
Z Haliną Wiesław poznał się przy drodze,
Wziął mię na swaty, drużbom wręcz wyjawił
Że swoje serce w sercu jéj zostawił.
Ich zezwolenie wiernie wam odnoszę
I w imię ojców o Halinę proszę.

DOROTA, ocierając łzy z oczu.

Rozrzewnia matkę tak niezwykłe szczęście;
Lecz nie dla Halki piękne to zamężcie.
Nieboga ta bez ojca i bez matki,
Ni wiana nie ma, ni rodzinnéj chatki;
W szczerości zatém, chociaż was obrażę,
Tak odpowiadam jak sumienie każe:
Halina moja co w ubogim bycie
Przepracowała dotąd ze mną życie,

Nie wierzy słońcu co tak niespodzianie
Przed owdowiałe błysło nam mięszkanie.
Nie dla sieroty kmieca jest zagroda;
Na stan jéj niski bujna to jagoda:
Młodzieńcze, przeto niech cię Bóg poświęci
Za dobre serce i życzliwe chęci.

JAN.

Więc jest sierotą wasza ta Halina?
Rodzice w niebie?... ależ jéj rodzina,
Pokrewni bliżsi bez wątpienia żyją?
Jest wam oddaną za poręką czyją?

DOROTA.

Gdy los cierniową zesłał nam koronę,
Szedł mąż mój z kosą braciom na obronę,
I już nie wrócił... obcy, bez litości
Grabili dwory, paląc wsie i włości.
Zgorzały lasy, biednych wdów ochrona,
Milami wielka wciąż jaśniała łona!
Niewiasty, starce, snuły się tłumami...
Trzy dni patrzałam na tę rzeź, ze łzami!
Aż zastąpiła mi dziecina drogę,
Do serca płacząc. Tuląc ją jak mogę,
O matkę pytam, ojca i mięszkanie;
Lecz nadaremna prośba i pytanie,
Zaledwie mogła dać mi własne imie:
Mówiła tylko że w okropnym dymie
Nieznani ludzie wiedli ją do lasu...
Nic więcéj nie wiem, aż do tego czasu.

HALINA.

Jam zapomniała wszystko, od téj chwili...
Bo matkę z ojcem pewno mi zabili!

JAN, niecierpliwie.

Cóż daléj, siostro?... zbyt skąpicie w mowie;
O, ważne rzeczy snują mi się w głowie!

DOROTA.

I cóż wam powiem? pomna na głos Boga,
Sierotę wzięłam, choć i ja uboga;
Podjęłam troski, była też ich godna,
Wyrosła zdrowa, skrzętna i urodna.
Trzy lata temu, w dzień Zielonych-Świątek,
Odludny widząc w puszczy téj zakątek,
Osiadłam przy was, ufna że Bóg da mi
Rodziców znaleść tu, pomiędzy wami.
Pracujem odtąd wzorem pszczół na siebie,
Samotne żyjem w troskach i potrzebie;
Sąsiadom w lecie służy się przy żniwie,
Co jedną skibę dadzą nam na niwie:
Przędziwo w zimie płaci za komorne,
I tak ubóstwo słodzi się uporne.
Miód u nas dobry, czasem też w niedzielę
Z Krakowa zjeżdża kulig lub wesele...
Niech innym dziewkom sypią się pierścienie;
Tam gdzie stodoły, gdzie bogate mienie,
Tam zalotnicy: córka zaś bez wiana,
Choć i piękniejsza, ani zna młodziana.
Oj, w ziemi naszéj nie tak to bywało,
Gdy sama cnota wianem jéj i chwałą;
Lecz teraz!... weźcie te pochlebne dary,
Rzemiosłem matek gasić serc pożary:
Więc ufam, póki niemoc mię nie strawi,
Że saméj w domu Halka nie zostawi.

HALINA, klękając przed matką.

O moja matko, tyś jest moje wiano!
Bo choćby złote góry mi dawano,
Choć w malowanym żyć bym miała dworze,
W jedwabne szaty stroić się w komorze,
Bez ciebie wciąż bym przepłakała życie!

DOROTA, całując ją w czoło.

Bóg będzie ci nagrodą, lube dziecię!

JAN.

O ważne, ważne tu powstają rzeczy!
Jest Bóg co ludzkie sprawy ma na pieczy;
Moc jego wieczna, wieczna téż mu sława!
Halinę pozna zacny dom Wiesława...
Wróć ojca z drogi, idź, poszukaj wszędzie,
Ni chwili nie trać aż tu sam przybędzie;
Koniki zostaw, bo choć wieś jest bliska,
Zbłotniałe dzielą błonie to stawiska:
Nim w okół lasu drogą się okrąży,
Ścieszkami pieszy przed jadącym zdąży...

(Wiesław z drużbami wychodzi).

Scena VII.

CIŻ, prócz WIESŁAWA i DRUŻBÓW.

DOROTA.

Cóż ty zamyślasz?

JAN.

Szczęsna jéj rodzina!
Litości boskiéj bije nam godzina;
I dwoje sierot, plemion dwóch ostatek,
Do łona tęsknych dziś powrócą matek.
O Boże! wspieraj mię w tém przedsięwzięciu;
Oddającć syna w twym jutrzejszym zięciu,
Stanisław córkę znajdzie w twéj Halinie...

HALINA.

Więc wy o mojéj wiecie co rodzinie?

JAN, biorąc ją za rękę.

Chodź tu, na wzgórze... tam się wioska bieli...
Tu las był dawniéj; dziś ją błonie dzieli,
Z którego gwarząc z końcem dnia, pachołki
Spędzają na most wykarmione wołki.
Z pól czarnych schodzą wspak zwrócone pługi;
A cała wioska jak ogródek długi
W kwitnących sadach swe lepianki kryje,
Z nad których w niebo kręty dym się wije...

Jak ci się zdaje wiejskie to siedlisko?
Wiesława chata, patrz jak stoi blisko!...

(W oddaleniu słychać przygrywkę na flecie, na nutę Krakowiaka śpiewanego przez Wiesława; głos fletu coraz bardziéj się zbliża).

HALINA.

Czy słyszysz, matko?

DOROTA.

Ach, mój drogi Janie,
Jak ją porywa to dalekie granie,
Jak jéj do serca tony te trafiły!

HALINA.

Tak nucił na weselu Wiesław miły...

JAN, wskazując okolicę.

Flet co tak czule głos po lesie szerzy,
Opiewa szczęście naszych trzód pasterzy;
Ów strumyk co się w tamte snuje strony,
W rodzinne niesie duszę twą zagony...
O spojrzyj, Halko, tam!... czy zapamiętasz
Z twych lat dziecięcych kościół, wieś i cmentarz;
Ten krzyż na wieży co świat na dwa końce
Oświeca z góry, jak promienne słońce:
Ten dzwon którego jęk aż tu donosi,
Piątemu pogrzeb już potomstwu głosi...
Lecz cóż to ciebie, Halko, tak zachwyca?
Co znaczą ogniem twe płonące lica?
Ta rzewna smętność, to bijące łono...
Z jéj oczu spadnij, przeszłych lat zasłono!...

HALINA, w mocném wzruszeniu.

Tam, tam daleko, gdzie te lipy stoją,
To był śpiew matki nad kolebką moją...
Gdzie jest mój ojciec?... ja go widzieć muszę...
Jam się modliła tyle, za ich dusze!...

(wpatrując się w okolicę).

Tu się bawiłam, tu zbierałam kwiaty;
Lecz już nie widzę méj rodzinnéj chaty,

Bo tutaj wszystko nie tak jak bywało,
Jak mi w pamięci nieraz się zjawiało!...

JAN.

Bóg, droga Halko, który cię ratował,
I twoich krewnych życie ci zachował;
Stracili z córką w jednéj dom potrzebie,
Lecz w nowéj chatce dziś uścisną ciebie:
Podziękuj Świętéj co cię doń sprowadza,
Co ich miłością miłość twą nagradza!

(Słychać dzwon z pobliskiéj wioski).

HALINA, rzucając się na kolana przed obrazem Matki Boskiéj.

Królowo Polska, któréj nam korona
Od wieków świeci w siedmiu gwiazd ozdobie;
Nadziejo nasza, matko ty zwolona,
Bogarodzico, cześć i chwała tobie!
Ty co mię cudem zbliżasz do rodziny,
Przyjm serce Polki co cię kocha szczerze;
Ten wieniec kwiatów, to mój skarb jedyny:
Z nim całe życie składam ci w ofierze!

Scena VIII.

CIŻ, BRONISŁAWA, BRONIKA, STANISŁAW i WIESŁAW.

BRONISŁAWA, poznając córkę w radosném uniesieniu.

Cudowna matko!... tyżeś to, Halina,
Najdroższa córka, moich łez przyczyna!

HALINA, w jéj objęciu.

O matko moja!

STANISŁAW.

Witaj nam, aniele!

HALINA.

Błogosław, ojcze!... u twych stóp się ścielę!

STANISŁAW, błogosławiąc.

Broniko, Halko... Bóg wam szczęście daje!

BRONIKA.

Tyś moja siostra... sercem cię poznaję!

HALINA.

Na zawsze z wami!... żyć tak blisko siebie,
Od lat tak wielu... Jest Bóg dobry w niebie!...

STANISŁAW, do Jana

Mój drogi Jasiu, mój serdeczny kumie,
Dopiero dzisiaj wiem co przyjaźń umie!

WIESŁAW.

Tę radość, matko, którą w dom zanieście,
Zawdzięczyć macie zacnéj téj niewieście;
(wskazując Dorotę).
Gdyż ona śród łupieztwa i pożogi,
Zbłąkane dziecię wziąść raczyła z drogi:
I chociaż sama wdowa i sierota,
Rąk swoich pracą żywi je Dorota...
Jak słowem od was drugie życie wziąłem,
Tak dla niéj była matką i aniołem!

BRONISŁAWA.

Za tyle łaski nadtom ja uboga;
(wskazując na serce i niebo).
Tu wieczna wdzięczność... lecz nagroda z Boga!

DOROTA.

Własnemu sercu jam czyniła zadość;
Nagrodą dla mnie wspólna wasza radość,
Do żadnéj innéj prawa nie chcę rościć:
Choć tego szczęścia mogę wam zazdrościć...
Bóg w jednéj chwili bierze mi Halinę
I z trojga dzieci daje wam rodzinę;
Za waszą cnotę wam pobłogosławił,
A mię w starości samą tu zostawił!

STANISŁAW.

Uchowaj Boże! do Wiesława żony

Wam prawo równe, matko, jak rodzonéj;
Zostańcie z nami jak nasz syn zostanie!

(wskazując na obie matki).

Tyś dała życie, a ty wychowanie:
Na mojéj przeto was osadzę grzędzie,
Halina odtąd matek dwie mieć będzie.

JAN, występując naprzód.

Wszechwładny Boże! tyś nam wszystkim ojciec;
Twych tajnych zrządzeń kto z nas może dociec?
Widoma dłoń twa w każdym dobrym czynie,
Dorotę zsyła błędnéj téj dziewczynie:
Rodzice wdzięcznym darząc ją przyjęciem,
W dom biorą wdowę, z córką wraz i zięciem...

(Słychać skrzypki za sceną).

Niech żyje Halka, Wiesław i Dorota!
Gromadzie całéj pójść otworzyć wrota.

Scena IX.

CIŻ, MUCHA, WOJTEK, RÓZIA, DRUŻBOWIE, KRAKOWIACY i KRAKOWIANKI, wchodzą z muzyką tańcując.

MUCHA.

Dziewoje, zamną! hejże tu, parobki!
Tu będziem tańczyć, tam przesadzać snopki!

Finał.

JAN.

Niechaj żyje Bronisława
I Dorota miła;
Póki stoi ojców sława,
Kościuszki mogiła!

HALINA.

Mam dwie matki dziś od Boga,
Obie kochać muszę;
Tobie życie, matko droga,
Tobie winnam duszę!

WIESŁAW.

Żyjcie długie lata szczęścia
Zacni gospodarze;
Błogosławcie do zamężcia
Téj synowskiéj parze!

STANISŁAW, BRONISŁAWA.

Duet.

Błogosław Boże dzieciom téj ziemi,
Błogosław Boże rodzinnéj glebie;
Wasza krew polska niech się rozplemi,
Jak piasek w morzu, gwiazdy na niebie!
Pracujcie z Bogiem; Bóg, wasz obrońca,
Daje wam łany miłością żyzne:
Żniwa dojrzeją pod okiem słońca,
I praca świętą zbawi ojczyznę!

CHÓR.

Błogosław Boże dzieciom téj ziemi,
Błogosław Boże rodzinnéj glebie;
Nasza krew polska niech się rozplemi,
Jak piasek w morzu, gwiazdy na niebie!
Pracujmy z Bogiem, Bóg, nasz obrońca,
Daje nam łany miłością żyzne:
Żniwa dojrzeją pod okiem słońca,
I praca świętą zbawi ojczyznę!

MUCHA.

A teraz Maćki, kiedy Bóg udziela
Radości tyle, szczęścia i wesela,
Gromadną gdyśmy tu zebrani zgrają,
W podkówki państwo młodzi niech zagrają.
Nim czas nadejdzie skakać przez łuczywo,
Z obcasów ognia! w taniec mi co żywo!
Ja wam przy ślubie jutro, dla uciechy,
Rozpuszczę organ, nadmę pierś i miechy;
Veni Creator jak wam huknę basem,
Świątynią wstrząsnę kiéj pioruny lasem!

HALINA.

O Matko Boska! wstrzymać łez nie mogę,
Że takiém szczęściem darzysz mię niebogę!

WIESŁAW.

Ojcowie zacni, niech wam Bóg nagrodzi!

MUCHA, zażywając tabaki.

Przy zaręczynach płakać się nie godzi.
Wóz zaprzężony... grajki, nuż do smyka!
Krakowska dziatwa trochę niech pobryka;
Mazura, hejże, rznijcie mi od ucha!...
Cóż to? ten sapi, ten w obłoki dmucha,
Ten śpi na dobre... a jak z nosa strzelę...
(kicha z łoskotem).

WSZYSCY.

Niech żyją!

(Muzyka gra mazura).

MUCHA.

Słyszy waść że tu wesele?
Dawajcie miodu!... Jest nad Polską Bóg!
Do naszych tańców nie żałować nóg!
(siada i pije; młodzież szykuje się do tańca).

WIESŁAW na przodzie sceny, bijąc w podkówki.

Mazur.

Nuż daléj, Krakowiacy!
Albośwa nie Polacy,
Nie bracia, nie junacy
Do tańca i do pracy!
Hop, ha! hejże, ha!
Choć dzisiaj trochę smutno,
Przecież nam łba nie utną;
Rozpacz odwagą głupców,
Kto żyje do hołupców!
Hop, ha! raźno, ha!

Praca moim udziałem;
Kocham ją sercem całém,

Z miłością i zapałem,
Jak Halkę pokochałem!
Hop, ha! żywo, ha!
Już teraz z łaski nieba
Pańszczyzny nam nie trzeba;
Niezgoda już nie zaćmi
Jedności między braćmi!
Hop, ha! razem, ha!

Wierz w Boga w prostéj wierze,
Kochaj bliźniego szczerze;
Krew matce nieś w ofierze,
A łotrów czart zabierze!
Hop, ha! słusznie, ha!
Bądź dobroczynnym, tkliwym,
Podziel się z nieszczęśliwym;
Przebacz, jak Bóg przebaczał;
Tém się kraj nasz odznaczał!
Hop, ha! pięknie, ha!

STANISŁAW.

Dłoń z dłonią, wszyscy razem,
I sercem, i wyrazem;
Staniem się cnót obrazem,
Od woli, nie rozkazem!
Hop, ha! zgodnie, ha!
Niech pan rolnika wspiera,
Niech brata brat nie zdziera;
Kraj obcy kto zbogaca,
Niech do nas nie powraca!
Hop, ha! zasie, ha!

MUCHA.

Dziś każdy, żal się Boże,
Wypłacić się nie może;
A złoto lwice hoże
Wynoszą aż za morze!
Hop, ha! szkoda, ha!
Co się ze światem dzieje!
Mędrcami są złodzieje,

A potwarz górą wszędzie;
Lecz u nas tak nie będzie!
Hop, ha! nigdy, ha!

JAN.

Nasz Kraków już zgrzybiały,
Lecz i nasz orzeł biały;
A żyje, bo świat cały
Pełen jest jego chwały!
Hop, ha! wszędzie, ha!
Jan trzeci, święte imie,
W Krakowie, polskim Rzymie;
Ród jego niechaj słynie,
Aż Wisła nie przepłynie!
Hop, ha! wiecznie, ha!

(Wóz parokonny z pochodniami zajeżdża w głębi; Wiesław, Halina i rodzice wsiądają).

CHÓR OGÓLNY.

Nie czcijmy obcych bogów;
Cnotą zwyciężym wrogów.
Do Stwórcy wznośmy pienie
O jedność i zbawienie!

MACOCHA,

Dramat w pięciu aktach

podług

H. BALZAKA.

Wystawiony po raz pierwszy w Krakowie, dnia 26 grudnia, 1860 r.

OSOBY.

JENERAŁ JAN WOJNICKI . . . . . Pan Karol Królikowski.
NATALIA, jego żona . . . . . Pana Safir.
ZOSIA } ich dzieci . . . . . Panna Biedrońska.
LEON } . . . . . Panna Krajewska.
STANISŁAW ZBROIŃSKI, ... Pan Benda.
STAŃSKI, lekarz . . . . . Pan Delchau.
RÓŻEWSKI, ... Pan Janowski.
JAN DOBRZYCKI . . . . . Pan Baranowski.
PREZES komissyi śledczéj . . . . . Pan Karsznicki.
MEISNER, aptekarz . . . . . Pan Dębicki.
GABRYCH, dozorca fabryki . . . . . Pan Wisłocki.
FELIX } służący w domu jenerała. . . . . Pan Stacherski.
MAŁGORZATA } . . . . . Pani Krajewska.

Pisarz sądowy, duchowni, strażnicy, czeladź, i t. d.

(Scena w 1830 r., w zakładzie sukiennym, koło Wrocławia).

Akt I.

Salon przyozdobiony portretami wojskowemi z czasu Napoleona pierwszego. W głębi, wchód z gankiem. Na prawo, drzwi do pokoju Zosi; na lewo, do mięszkania jenerała i jego żony. Po téj saméj stronie, stół; po drugiéj, szafa w kształcie biórka.

— W ukośnéj ścianie przy pokoju Zosi, kosz z kwiatami pod źwierciadłem; na przeciwko, komin bogato przybrany. Na przodzie, dwie kanapy.

— Natalia wchodzi z kwiatami dopiero co uzbieranemi, i układa je w koszu mówiąc z jenerałem

Scena I.

NATALIA, JENERAŁ.

NATALIA.

Oto świeże kwiaty dla Zosi... Wierzaj mi kochanku, że wszelka zwłoka byłaby nierozważną. Twoja córka ma lat dwadzieścia dwa; a jeżeli dotąd wyboru nie uczyniła, rodzice w tém ją wyręczyć powinni. I dla mnie także jéj wydanie za mąż jest bardzo pożądaném.

JENERAŁ.

Czemu, dla ciebie?

NATALIA.

Położenie macochy... nieprzyjemne ze wszech miar nazwanie... zawsze jakąś podejrzliwość u ludzi wznieca. Czy wiesz co mówią już w całéj okolicy? Że to ja stawiam przeszkody zamęźciu Zosi.

JENERAŁ.

Co znowu! tutejyza gawiedź wzięłaby nas na języki? Jakem Jan Wojnicki, dawny legionista, ja niektóre podętnę. Niecierpię plotek i potwarzy; bo niemi zwykle podłość zasłania się od wzgardy. Ciebie obwiniać Natalio, która od lat dwunastu jesteś dla Zosi prawdziwą matką, któraś ją tak ślicznie wychowała!

NATALIA.

Na obmowie świat stoi... ale cóż robić. Sąsiedztwo nigdy nam tego nie przebaczy że żyjemy pod miastem, a nie w samém mieście. Czyjeż domowe szczęście nie znęca zazdrości? a dopieroż nasze powodzenie w tym półobcym kraju, gdzie wszyscy mieszkańcy radziby nas w łyżce wody utopić, za to że nasze sukna uchodzą na targach wrocławskich za najlepsze i najtańsze w całym Szląsku... Nawet i doktor Stański, nasz ziomek, który tu osiadł niby przez troskliwość o twoje zdrowie, a w istocie dla tego że wyszedł z mody w swoim tam Wilnie...

JENERAŁ.

Co! Stański, mój stary przyjaciel, mój spółuczeń?...

NATALIA.

Tak, twój stary przyjaciel martwi się że nie potrafił obudzić w żadnéj kobiecie przywiązania jakie mam dla ciebie... Śmie nawet sądzić że ono jest zmyśloném, obłudném; że ja gram przy tobie rolę przykładnéj małżonki... od lat dwunastu... czy to być może?

JENERAŁ.

Niech sobie Stański co chce gada; żona nie może być niewierną mężowi przez lat dwanaście, a uchodzić jak ty za świętą niewiastę. Dam ja mu za to!

NATALIA.

Wolne żarty!.. A więc, jak ci mówiłam, odwiedza nas pan Różewski. Jużby powinien był tu zawitać. Rodem ze Szląska, lecz wychowany w Poznaniu. Pan młody tak mająetny musi się wszędzie podobać; odprawić go byłoby niedorzecznie. Wszak jest z dobrego rodu...

JENERAŁ.

To pytanie... Stański inaczéj sądzi... powiada że ojciec jego był najprzód frankfurckim kramarzem, a późniéj liwerantem... Lecz o to mniejsza, jeśli syn jest poczciwym i dobrym Polakiem.

NATALIA.

To ci mogę zaręczyć. On kocha Zosię; a choć jeszcze trochę niezgrabny, nieokrzesany, może ją uszczęśliwić.

JENERAŁ.

Szczęście Zosi ja całkiem w jéj ręce złożyłem.

NATALIA.

I dobrze. Córka tak łagodna, tak wyrozumiała!

JENERAŁ.

Ona, łagodna? powiedz raczéj że ma moją porywczość, że jest nieco gwałtowna.

NATALIA.

Zosia, gwałtowna? Ależ ty, mój Boże, wszak zawsze skłaniasz się do moich życzeń? co mówię! sam je przewidujesz.

JENERAŁ.

Bo ty, aniele, zawsze tego żądasz co mi się podoba. Właśnie zaprosiłem na obiad Stańskiego, po skończonym anatomicznym rozbiorze.

NATALIA.

I na cóż mię o tém uprzedzać?

JENERAŁ.

Wspominam tylko nawiasem, prosząc abyś mu kązała zastawić najulubieńsze wino, węgierskie.

FELIX, u drzwi środkowych.

Pan Różewski z Raciborza.

JENERAŁ.

Prosić niech wejdzie.

NATALIA dając znak Felixowi, aby ustawił krzesła.

Biegnę do Zosi. Pomówcie z sobą o interesach, a ja tymczasem jéj strojem się zajmę. Dziewczęta nie zawsze wiedzą co im najlepiéj do twarzy. Ten kwiatek będzie dla niéj najpiękniejszy, z tą gałązką rozmarynu.

JENERAŁ.

Ja lepiéj wiem co mię jéj fioki kosztują! Od ośmnastu miesięcy dwa razy tyle co dawmniéj. Mniejsza o to; wszak stroić się, to jedyna dziewcząt uciecha.

NATALIA.

Jedyna? a jéj pobyt przy tobie, w naszym domu? Gdybym nie była twoją żoną, chciałabym być twoją córką. Ja cię nie opuszczę, nigdy... (wracając do niego, zamyślona). Tak, od ośmnastu miesięcy, dla czego? W saméj rzeczy, od tego czasu nosi koronki, perły, różne ozdoby...

JENERAŁ.

Dość jest majętną, aby sobie na to wszystko pozwolić.

NATALIA.

Już pełnoletnia... (do siebie). Ona się stroi... do kogo? Zobaczym. (wychodzi).

Scena II.

JENERAŁ, sam.

Co za klejnot! Po trzydziestu latach służby polowéj, po jedenastu ranach odniesionych za kraj i sławę, i po śmierci anioła którego Natalia w mojém sercu wyobraża, Bóg mi ją zapewnie zesłał, w zamian za stracone nadzieje do życia Cesarza przywiązane.

Scena III.

RÓŻEWSKI, JENERAŁ.

RÓŻEWSKI.

Najniższy sługa pana jenerała.

JENERAŁ.

A! pan Różek; witamy serdecznie. Właśnie o wilku była mowa. Zapewnie cały dzień z nami spędzi?

RÓŻEWSKI.

I cały tydzień, i miesiąc jenerale, jeśli raczysz się przychylić do méj usilnéj prośby... Ale niewiem sam od czego zacząć.

JENERAŁ, poufale.

Zacznij od końca. Znam ja twoją prośbę... Żona moja ci sprzyja. Przebiegły Szlązaku, szturmujesz do twierdzy od słabéj strony.

RÓŻEWSKI.

Wiem że jenerał jako dawny rycerz, nielubi długich oblężeń; że w każdéj sprawie do celu dąży, jak w polu szedł na bagnety.

JENERAŁ.

Czwałem, prostą drogą!

RÓŻEWSKI.

Tém lepiéj dla mnie, bom taki nieśmiały w zalotach....

JENERAŁ.

Pan Różek, nieśmiały? To mię dziwi. Miałem go dotąd za człowieka znającego aż nadto swoją wartość.

RÓŻEWSKI.

To jest żem zarozumiały? Właśnie dla tego się żenię, że nie umiem się brać do płci pięknéj.

JENERAŁ, do siebie.

To mi zuch! (głośno). Co znowu! wyrosłeś jak dąb, a... Mości Różku, nie będziesz moim zięciem.

RÓŻEWSKI.

O! niech pan jenerał rzeczy tak nie przesądza. Mam odwagę, i wielką; tylko chcę się zapewnić wygranéj.

JENERAŁ.

Masz odwagę hiszpańską, za szańcami.

RÓŻEWSKI.

I dam tego dowód... lecz żarty jenerała śmiałość mi odejmują.

JENERAŁ.

A więc naprzód.

RÓŻEWSKI.

Najprzód ja całkiem nie pojmuję przymileń i fortelów kobiecych. Niewiem kiedy w ich różanych ustach nie, znaczy tak, ani kiedy tak, znaczy nie; kiedy zaś kocham, chcę koniecznie być kochanym.

JENERAŁ.

Doprawdy? to też najlepszy sposób.

RÓŻEWSKI.

Znam wielu zacnych ludzi którzy podobnie jak ja, niecierpią małéj wojny światowych podstępów i zasadzek.

JENERAŁ.

Ależ przeszkody są najsłodszą przyprawą zwycięztwa...

RÓŻEWSKI.

Nie dla mnie. Kiedym głodny, nielubię się dobijać o strawę. Mam skłonność do wyroków stanowczych a mało cenię pieniactwo, chociażem Szlązak. Są zalotnicy umiejący się przypodobać kobietom takiemi naprzykład słówkami: „Ach! jak pani gustownie ubrana!— Albo: jak ten kwiatek do pani podobny!— Lub też: nikt piękniéj od pani włosów swoich nie nosi...“ I tam daléj. Trefnisie! pochlebce! sowizdrzały! A przecież im się powodzi; od sukienki trafiają do panienki, od serca do kobierca, od rączki do ślubnéj obrączki... Co do mnie, bredziłbym przez cały miesiąc, zanim by mi się udało jakie ładne bzdurstwo w miłosném oświadczeniu.

JENERAŁ.

Oj, nie takiemi byli nasi wojacy, moi współcześni!

RÓŻEWSKI.

I dla tego stałem się tak zimnym z damami, tak pewnym siebie. Ta prawdziwa czy udana pewność, przy dziesięciu tysiączkach talarów rocznéj intraty, wszędzie jest przyjętą bez protestu i otwiera mi drogę do szczęścia. Z tego to może pan jenerał mię posądził o zarozumiałość. Kiedy kto nie

ma feniga długu na dobrych pastwiskach i książęcym zameczku nad Odrą, przezwanym Różki, gdzie moja żona dołączy do swéj wyprawy drogie koronki i szale po nieboszcze mojéj matce, z ogrodem, cieplarnią i parkiem jakich nie wiele w naszym kraju; kiedy kto, mówię, posiada te wszystkie zalety, dowcip jego będzie zawsze brzęczącą monetą. Mój ojciec pracował jak wół, mogę się więc trochę pobawić. Po trudzie rozrywka; wszak to słusznie. Jestem panem Różewskim, i kwita.

JENERAŁ.

Różkiem.

RÓŻEWSKI.

Różkiem z Różków Różewskim.

JENERAŁ.

Różkiem i nic więcéj.

RÓŻEWSKI.

Ależ jenerale, wszak to teraz uchodzi!

JENERAŁ.

Ja zaś nie pozwalam aby ktokolwiek, a zwłaszcza mój zięć, wypierał się własnego ojca, choćby ten był żydem lub cyganem. Twój rodzic, człowiek podobno rzetelny, chociaż liwerant wójsk cesarskich, sam pędzał woły z Raciborza do Wrocławia; i po całéj drodze nazywał się Różek, a nie inaczéj.

RÓŻEWSKI.

Był to człówiek znamienity.

JENERAŁ.

Tak, w swojéj trzodzie... i nadto szlachcic od samego króla Dawida...

RÓŻEWSKI.

Mówmy serio, jenerale. Znam jaśnie wielmożnych neofitów, złoconych bankierów, ministrów bez teki, obiecujących mi nietylko uszlachcenie, ale dyplom hrabiowski, z herbem *rogacz* i nazwą hrabiego Różewskiego; a późniéj wstęp do izby wyższéj...

JENERAŁ.

Tobie?

RÓŻEWSKI.

Mnie.

JENERAŁ.

Czyś wygrał jaką bitwę? Czyś kraj zbawił? Czyś co wielkiego wynalazł? Nie! aż litość bierze...

RÓŻEWSKI, śmiejąc się.

Aż litość... (do siebie). Czemu ja się śmieję? (głośno). Jam większéj sztuki dokazał, bom prostaka przemienił w magnata... Żyjemy w 1830 roku, w lat piętnaście po upadku naszym i Cesarstwa. I panna Zofia do téj a nie innéj epoki należy. Zapytajmy się jéj saméj czy nie woli, wychodząc z salonu, słyszeć głos lokaja wołającego: „Powóz hrabiny Różewskiéj!“ jak: „Powóz pani Różkowéj!“

JENERAŁ.

Jeżeli moja córka jakąkolwiek wagę przywięzuje do tych głupstw tytułowych, dawniéj prawem u nas karanych, przekonany że z ciebie samego a nie z niéj śmiać się będą, zgadzam się na to, mości Różku.

RÓŻEWSKI.

Różewski.

JENERAŁ.

Z Różków. Mienią cię uczciwym człowiekiem, jesteś młody, dostatni, mówisz że do płci pięknéj brać się nie śmiesz, że twoja żona będzie w Różkach królową i panią, a więc uzyskaj jéj zezwolenie, będziesz miał i moje; bo Zosia pójdzie za tego którego jéj serce wybierze... mniejsza o nazwanie. Wyjmuję tylko... lecz ten wyjątek ciebie się nie tyczy... że wolałbym raczéj prowadzić ją do cmentarza jak do ślubu z synem, wnukiem, bratem, siostrzeńcem lub jakimbądź pokrewnym jednego z czterech czy pięciu wyrodków bez duszy, podłych zdrajców, którzy sprzedali za złoto honor i sumienie... bo przedmiotem czci mojéj będzie zawsze...

RÓŻEWSKI.

Cesarz, to wiadomo.

JENERAŁ.

Bóg najprzód, ojczyzna lub Cesarz, to prawie dla mnie jedno; potém żona i dzieci! Kto się targa na moje bożyszcza, staje się moim wrogiem; palę w niego jak w zająca, bez skruchy. Oto są moje zasady tyczące się wiary, kraju i rodziny; katechizm krótki, lecz dobitny. A wiesz dla czego w roku szesnastym, kiedy wojsko Księstwa Warszawskiego rozpuszczoném zostało, ja żołnierz od dzieciństwa, mianowany pułkownikiem przez Księcia Józefa, ranny pod Raszynem i Lipskiem, uprowadzając moją biedną sierotę schroniłem się tutaj, i stałem się sukiennikiem wrocławskim?

RÓŻEWSKI.

Dla niesłużenia następcom.

JENERAŁ.

Nie chciałem zginąć na rusztowaniu, jak morderca.

RÓŻEWSKI.

Tam do kata!

JENERAŁ.

Gdybym był spotkał którego z tych nędzarzy, zpanoszonych zdradą, przekleństwem kraju ściganych, i teraz nam w oczy naszém własném złotem bryzgających, byłby pewnie zginął z méj ręki. Dzisiaj nawet, po tylu latach spłynionych, stara krew mi wre w żyłach, jeśli przypadkiem kto wspomni przedemną ich nazwiska, lub kiedy je wyczytam w gazecie. Tak że gdybym choć jednego z nich zobaczył, bezbronny rzuciłbym się na złoczyńcę, rozdarł na sztuki...

RÓŻEWSKI.

I byłoby słusznie! (do siebie). Trzeba mu potakiwać.

JENERAŁ.

Zdławiłbym go jak węża!... A gdyby pan zięć dręczył moją Zosiunię, podobnie bym i z nim postąpił.

RÓŻEWSKI.

Oho!

JENERAŁ.

Niechciałbym wszelako żeby go za nos wodziła. Mąż powinien zawsze być panem u siebie, jak ja tutaj jestem.

RÓŻEWSKI, do siebie.

Biedne jeneralisko! jemu się zdaje...

JENERAŁ.

Co tam mruczysz pod nosem?

RÓŻEWSKI.

Mówię, jenerale, że twoja groźba wcale mię nie straszy. Miłość jednego serca dla jednéj żony wystarczyć powinna.

JENERAŁ.

Dobra zasada, mości Różku. Co się tyczy posagu...

RÓŻEWSKI, do siebie.

Tu sęk!

JENERAŁ.

Co do posagu mojéj Zosi, liczy się do niego...

RÓŻEWSKI.

Liczy się do niego?

JENERAŁ.

Spadek po matce i po wuju Dzierzbickim... Wiano nienaruszone, bez żadnego praw mych zawarowania. Co stanowi 500,000 złotych i procent całoroczny, bo Zosia ma lat dwadzieścia dwa.

RÓŻEWSKI.

Czyli 525,000 złotych.

JENERAŁ.

Więcéj.

RÓŻEWSKI.

Skądże więcéj?

JENERAŁ.

100,000 talarów. Dodaję z własnéj szkatuły superatę. Ale po mojéj śmierci, ani grosza nad tę kwotę... rozumiesz?

RÓŻEWSKI.

Nie rozumiem. (do siebie). Stary żołnierz, rachować wcale nie umie.

JENERAŁ.

Bo też ja mego Napoleonka serdecznie kocham.

RÓŻEWSKI.

Księcia Reichstadt, wiem o tém.

JENERAŁ.

Nie, mego syna, Napoleona Wojnickiego, którego tutaj Leonem ochrzczono. Lecz tu, w sercu, stoi Napoleon. Ja szlachectwa nie zasadzam, jak wielu innych, na próżniactwie. Zbyt łatwo nabyty majątek paliłby mi ręce i niespokoił czyste sumienie; wolę twardy lecz uczciwie zapracowany kawałek chleba. Zbieram więc co mogę dla syna, i dla żony.

RÓŻEWSKI, do siebie.

Miód uzbierany dla osy.

JENERAŁ.

Mów szczerze; jeśli ci się to niepodoba, to się rozejdziem.

RÓŻEWSKI, do siebie.

Będą zatém i procesa. (głośno). I owszem, jenerale; chcę szczerze ci pomagać. Im więcéj uzbierasz, tém twoja wdowa będzie cię mocniéj żałować.

JENERAŁ.

Ale bo też to anioł, mój Różku.

RÓŻEWSKI.

Różewski.

JENERAŁ.

Z Różków... Różek się lepiéj wymawia... anioł dobroci któremu winieneś wychowanie twéj ulubionéj... ona ją na podobieństwo swoje wykształciła. Zosia wyrosła pod jéj skrzydłami, czysta, niewinna jak dziecię w kolebce.

RÓŻEWSKI.

Niech ci przytém, jenerale, zrobię małe wyznanie. Panna Zofia zaiste jest piękna.

JENERAŁ.

Wszak to moja córka.

RÓŻEWSKI.

Jest nawet bardzo piękna, prześliczna; lecz są też inne piękności w Szląsku, i posażne, posażniejsze od niéj... Ach! jak ojcowie i matki tych panienek mię prześladują!... Aż się wstydzę. Ale mię to bawi; jeżdżę więc po zamkach, i wszędzie dobre przyjęcie mię czeka.

JENERAŁ.

Co za skromność!

RÓŻEWSKI.

O! że nie dla mojéj osoby, to pewna. Lecz dla moich złotych śpileczek z różkami niezadłużonemi, dla moich listów zastawnych i znanego zwyczaju wydawania zaledwie połowę intraty. Są o tém dobrze świądomi rodzice a nawet i panienki... A czy wie jenerał czemu pomiędzy tyloma innemi wolę mieć pannę hrabiankę za żonę?

JENERAŁ.

Bo się w niéj kochasz.

RÓŻEWSKI

Bez wątpienia; lecz niemniéj dla spokojności, uroczéj harmonii która w tym zaścianku panuje... Tak jest błogo połączyć się z rodziną staropolską czystych, uczciwych obyczajów... O, ja mam oko badawcze!

JENERAŁ.

To jest żeś ciekawy.

RÓŻEWSKI.

Ciekawość, jenerale, jest...

JENERAŁ.

Pierwszym stopniem do piekła.

RÓŻEWSKI.

Nie, matką doświadczenia. Znam dobrą i złą stronę całego dolnego Szląska.

JENERAŁ.

A zatém?

RÓŻEWSKI.

A zatém, we wszystkich rodzinach o których mowa, postrzegłem bardzo szpetne szczegóły. Goście widzą tylko cnotliwe pozory; czułych ojców, przykładne matrony, panienki bez skazy, dobre nawet macochy... danoby im komunią bez spowiedzi, poruczonoby im bez rewersu całą ojcowiznę... Ale wejdźmy w głąb rzeczy, aż strach bierze, choćby kto był prokuratorem sądowym.

JENERAŁ.

Anibyś tego na wołowéj skórze nie spisał... Ja wolę zachować złudzenia z któremi żyłem tak długo; szperać w sumieniu ludzi, jest rzeczą spowiedników i sędziów. Nie lubię tych czarnych mundurów, i bez nich się do śmierci obejdę. Wszelako, mości Różku, powód który cię do mnie sprowadza jest mi droższym nad majątek. Masz więc moją rękę wraz z moim szacunkiem; i jedném i drugiém zbytnie nie szafuję.

RÓŻEWSKI.

Wdzięczen ci jestem, jenerale. (do siebie). Mam już teścia w matni!

Scena IV.

CIŻ, ZOSIA, NATALIA.

JENERAŁ, spostrzegając Zosię.

Chodźże, Zosiuniu.

NATALIA.

Nie prawdaż że jéj ładnie z tym kwiatkiem?

RÓŻEWSKI.

Panno Zo...

NATALIA.

A! przepraszam. Na moje arcydzieło patrzałam.

RÓŻEWSKI.

Olśniony jestem jego miłym urokiem.

NATALIA.

Mamy dziś kilku gości do stołu; a że ja całkiem nie jestem zazdrosną, lubię stroić moją córkę.

RÓŻEWSKI, do siebie.

Do mnie przemowa.

NATALIA, do Zosi.

Pan Różewski z Raciborza. (z cicha, do Różewskiego). Zostawiam was z sobą. Możesz się jéj pan oświadczyć. (do jenerała). Pójdźmy na ganek, mój drogi; zobaczym czy nasz zacny doktor nie przybywa.

JENERAŁ.

Posłusznym jak zawsze. (do Zosi). Odchodzę na chwilę, mój aniołku; zabaw tu gościa. (Natalia z jenerałem idą na ganek; lecz Natalia z oka nie spuszcza Różewskiego i Zosi. — Stanisław wygląda z pokoju Zosi; na jéj skinienie cofa się i znika).

RÓŻEWSKI, na przodzie sceny.

Cóż jéj powiem ładnego, kwiecistego jak ona sama? już wiem. (głośno). Panno Zofio, jakże ten dzień piękny od samego poranka!

ZOSIA.

Tak, bardzo piękny.

RÓŻEWSKI, głośniéj.

Panno Zofio!

ZOSIA.

Ach! Panie?

RÓŻEWSKI.

Przez ciebie, może się stać dla mnie najszczęśliwszym w życiu.

ZOSIA.

Znam taką piosenkę... A jakim sposobem?

RÓŻEWSKI.

Czy mię panienka nierozumie? Czy pani Wojnicka nie uprzedziła jéj o mojém przybyciu? o moich nadziejach?

ZOSIA.

I owszem; dopiero co wychwalała mocno jego wysokie zalety.

RÓŻEWSKI.

A czy niektóre z tych pochwał trafiły do jéj przekonania?

ZOSIA.

O! wszystkie.

RÓŻEWSKI.

Wszystkie? (do siebie). Zbyt prędko jestem szczęśliwym. (siadając na krześle, blisko Zosi). Czy raczyła jéj odsłonić tajemnice méj duszy już przed nią wyjawione? czy powiedziała panience że ją kocham wściekle, że chciałbym uczynić ją panią i królową zamku mojego na Różkach?...

ZOSIA.

Dała mi do zrozumienia że pan tu przybywasz z Raciborza w zamiarze bardzo dla mnie zaszczytnym.

RÓŻEWSKI, rzucając się na kolana.

Tak jest! kocham pannę Zofią, kocham tysiąc razy goręcéj jak pannę Życką, pannę Skibicką, pannę Ogrodzińską, pannę Cybulską, pannę...

ZOSIA.

Ach! dość, dość tego... Tyle dowodów miłości tak nagłéj, tak niespodzianéj, zawstydzają mię prawie... Cała okolica wycięta... (Różewski powstaje). Ojciec pana zaganiał je tylko, lecz pan dobijasz niemiłosiernie swoje ofiary!

RÓŻEWSKI, do siebie

Zdaje mi się że mię bierze na fundusz... Poczekaj.

ZOSIA.

Pan nie lubisz czekać... a ja...

RÓŻEWSKI.

A panna Zofia jeszcze nie myśli o zamężciu... jest tak szczęśliwą przy rodzicach, że niechce się z niemi rozłączyć.

ZOSIA.

Właśnie to miałam powiedzieć.

RÓŻEWSKI.

Już to gdzieindziéj słyszałem. W podobnym razie, same matki mają zwyczaj odpowiadać że ich córeczki niedojrzałe; lecz ponieważ jenerał mi zaręczył że pani liczy dwudziestą drugą wiosnę, mógłem się jéj oświadczyć bez narażenia się na tak ostrą wymówkę.

ZOSIA.

Ale zkądże...

RÓŻEWSKI.

Jesteś panią swojego i mojego losu; lecz po przyzwoleniu ojca i drugiéj matki, czyli nie zdołam przebłagać ich córki, wolnéj dotąd sercem, podług ich mniemania?

ZOSIA.

Oświadczenie pana, jakkolwiek dla mnie bardzo chlubne, nie daje mu prawa wdzierania się, tak nieprzystojnym sposobem, w tajniki mego serca.

RÓŻEWSKI, do siebie.

Sroży się, więc zakochana. (głośno). Nikt nie wyrzeka się szczęścia bez walki.

ZOSIA.

Czy jeszcze?... żegnam pana.

RÓŻEWSKI.

Skończyłem. (do siebie). Masz za przygryzki.

ZOSIA.

Pan jesteś tak zamożny, tak hojnie uposażony od natury, tak dobrze wychowany, tak dowcipny, że z łatwością znajdziesz większy posag, który się z pańskim majątkiem połączy.

RÓŻEWSKI.

A jeżeli kocham?

ZOSIA.

Wtedy zostań kawalerem.

RÓŻEWSKI, do siebie.

A ona panną. Mam więc rywala. Chcę wiedzieć kogo, zostaję. (głośno). Przez wzgląd na moją miłość własną, czy dozwolisz mi pani zabawić tutaj choć dni kilka?

ZOSIA.

Mój ojciec panu odpowie. Ja się przed złotym cielcem nie kłaniam. (odchodzi).

NATALIA wchodząc, do Różewskiego.

Zwyciężyłeś?

RÓŻEWSKI.

Sam siebie... bom ledwo się nie zabił z rozpaczy. Ma już innego.

NATALIA.

Ona! moja wychowanka! Pierwsza bym o tém wiedziała. Tu nikt nie bywa. (do siebie). Jednak ten domysł jak sztylet tkwi w mojém sercu. (głośno). Zapytaj się pan jéj saméj.

RÓŻEWSKI.

Próżne pytanie! wzięła na kieł za pierwszém słowem zazdrości.

NATALIA.

Muszę ją dziś wybadać.

JENERAŁ, pod gankiem.

Otóż i doktor; dowiemy się wreszcie z czego nasza Gabrychowa umarła.

Scena V.

CIŻ, doktor STAŃSKI.

JENERAŁ.

No i cóż?

STAŃSKI.

A! witam panie. Zawczasu wiedziałem że tak będzie. Kiedy kto żonę okłada, nigdy się jéj nie pozbywa trucizną. Woli ją własnoręcznie zamęczyć.

JENERAŁ.

Przewyborny.

RÓŻEWSKI.

Wyśmienity.

JENERAŁ do Stańskiego, prezentując.

Pan Różek.

RÓŻEWSKI.

Różewski.

STAŃSKI po jedném spojrzeniu, nos sobie ucierając.

I jeśli ją zabija, to przez pomyłkę, dla tego że nazbyt mocno prażył; a potém rozpacza. Gabrychowa umarła na cholerę; podarunek azyatycki, tak jak dżuma, szarańcza i wiele innych gości już pierwéj ztamtąd przybyłych. Nie źle żem się mógł jéj przypatrzyć z bliska; od wyprawy egipskiéj podobnego zdarzenia nie widziałem.

NATALIA.

Co za szczęście że to nie zbrodnia! W naszym zakładzie tak cichym, tak porządnym... byłabym zachorowała z przestrachu.

JENERAŁ.

Więc to były plotki? Tém lepiéj. Czy tylko doktorze jesteś pewnym swojego?

STAŃSKI.

Czy jestem pewnym?... I mnież się o to pytać, mnie sztabowego lekarza przy wszystkich armiach narodowych, od 1793 do 1815 roku! mnie słynnego w Egipcie, w Hiszpanii, we Włoszech, w Wilnie, w Brodach, Piotrkowie, Sochaczewie, po całéj kuli ziemskiéj!

JENERAŁ, trącając go.

A, rzeźnik. On więcéj ludzi zgładził jak ja, na morzu i na lądzie.

RÓŻEWSKI.

Co to mówiono o tym wypadku?

NATALIA.

Że ten poczciwy Gabrych, nasz dozorca fabryczny, otruł swoją żonę.

STAŃSKI, nos sobie ucierając.

Jakże się oblał pachnidłem... Na nieszczęście pozawczoraj śpiewali z sobą głośny duet z orkiestrą... Szkoda że nie brali wzoru z swoich panów.

ROŻEWSKI.

I nie nastroili się ich szczęściem... ale bo też cnoty pani hrabiny są tak rzadkim przykładem!

NATALIA.

Wielkaż to zasługa, kochać takiego męża i taką córkę!

JENERAŁ.

Podobne rzeczy, Natalio, nie mówią się przed światem.

STAŃSKI, do siebie.

Podobne rzeczy mówią się zawsze, dla świata.

JENERAŁ.

Co tam znowu mruczysz?

STAŃSKI.

Mówię że jestem litwin, że mam lat sześćdziesiąt siedm, żem młodszy od ciebie, i że chciałbym być kochanym tak jak ty jesteś. (do siebie) Żeby się przekonać co to za miłość.

JENERAŁ.

Nieznośny.

RÓŻEWSKI.

Zazdrosny.

JENERAŁ, do Natalii.

Moja droga, jeżeli nie mam władzy boskiéj żebym cię zdołał uszczęśliwić, mam jéj cząstkę przynajmniéj w mojéj miłości dla ciebie.

NATALIA.

Mój aniele!

STAŃSKI.

Zapominacie oboje że jestem lekarzem. Znam sielankę, która się tak kończy.

RÓŻEWSKI.

Są, doktorze, sielanki bardzo przyjemne... byle nie długie.

STAŃSKI, ucierając sobie nos.

Zwłaszcza w polu, za wołami.

JENERAŁ.

A! dwa nosy utarł. Stańsiu, jeśli nie przestaniesz dokuczać mojéj żonie, to się pokłuciemy. Wątpliwość w tym przedmiocie jest mi obrazą.

STAŃSKI.

Ja nie wątpię, wcale nie wątpię. Bóg ci udzielił władzę do kochania tylu kobiet w twojém życiu, że jako doktor podziwiam cię i wielbię, żeś jeszcze tak bogobojnym w siedmdziesiątym roku. (Natalia zwolna zbliża się do kanapy na któréj siedzi Stański).

JENERAŁ.

Ostatnie namiętności są najgorętsze.

STAŃSKI.

Gorączka niebezpieczna, w naszych latach.

NATALIA, łagodnie.

Panie Stański, czemu pan, nasz wierny domownik, przeciwko mnie buntujesz ciągle mojego męża?... Wiesz że jest porywczym i że trafnie strzela. Ja sama tak się boję téj porywczości, żem już musiała zerwać z całém prawie sąsiedztwem; mamże się jeszcze wyrzec jego tak miłego towarzystwa?... Otóż i Leon.

STAŃSKI, do siebie.

Wojna wypowiedziana. Pozbyła się wszystkich, i mnie się pozbędzie.

RÓŻEWSKI.

Doktorze, powiedz mi proszę, jako wierny domownik, co téż myślisz o téj pannie Zofii...

STAŃSKI, powstając.

Pan mi dziwnie przypominasz jednego z naszych liwerantów wojskowych, nazwiskiem Samuel Horn... czy pan go znałeś?

RÓŻEWSKI.

Bynajmniéj... ja niepamiętam...

STAŃSKI, nos sobie ucierając.

Tém gorzéj... Horn... Różek... to cóś bardzo do siebie podobne... Przybierając polskie nazwisko, trzebaby téż je okupić pewnemi cnotami... (do siebie). A to pachnidło chodzące... (odchodzi w głąb).

RÓŻEWSKI.

A to trębacz, a nie doktor. (Słychać dzwon obiadowy).

Scena VI.

CIŻ, LEON, FELIX, późniéj MAŁGORZATA.

LEON, przybiegając.

Tatuniu, wszak mi pozwoliłeś wziąść na kusego Moška.

JENERAŁ.

Byleś nie spadł.

LEON, do Felixa.

A widzisz?

NATALIA, ocierając mu czoło.

Jakże mu gorąco!

JENERAŁ.

I pod warunkiem że któś za tobą pojedzie.

FELIX.

Aha! panie Leonie...

LEON.

Napoleonie!

FELIX.

Panie jenerale, ten malec chciał mię wyprowadzić w pole, na piechotę!

LEON.

Malec! ty się boisz jechać oklep! A ja, czy się czego boję? (chce wychodzić; dzwon obiadowy).

JENERAŁ.

Chodź wojaku, niech cię pocałuję za to słowo... Ten landwerek cóś do naszéj jazdy podobny.

STAŃSKI z ubocza, do Natalii.

Do ojca szczególniéj.

NATALIA, śpiesznie.

Do mnie, co do twarzy; do niego, co do żywości.

RÓŻEWSKI.

Istny portret obojga.

MAŁGORZATA, wchodząc.

Zupa na stole.

NATALIA.

A gdzież pan Stanisław?... zawsze tak akuratny. Leonie, idź zobacz w ogrodzie; powiedz mu że już dwa razy dzwoniono.

LEON.

Właśnie widziałem pana Stasia w alei do zakładu.

JENERAŁ.

Ale na cóż czekać Stanisława? Wszak sam nadejdzie. Mości Różku, podaj rękę Zosi.

NATALIA.

Małgorzato, pamiętaj wynieść kosz pod ganek.

RÓŻEWSKI, do Zosi.

Nietrzeba żeby jéj te róże zazdrościły.

STAŃSKI, podając rękę Natalii.

Tak, nocną porą szczególniéj, pachnące kwiaty mogą być niebezpieczne...

JENERAŁ.

Pozwól, Stańsiu; mnie samemu wolno.

STAŃSKI, do siebie.

Stary nie do uleczenia. (do Leona). Dajże mi rączkę, tyranie.

LEON.

Tyranie! To ja cię dopiero potyram. (obraca się z nim w około).

Scena VII.

STANISŁAW sam, wychodząc ostrożnie z pokoju Zosi.

Już wyszli... Malec mię uratował, choć zmyślił; bo niemógł mię widzieć w alei... Jeszcze jeden błąd podobny, zginęliśmy. Ciągle łasić się, zakradać, kłamać jak złoczyńca! Trzeba jakoś koniecznie wypłynąć z téj toni... Zosia na targ wystawiona, odpaliła Różewskiego... Jenerał i Natalia będą chcieli wybadać jéj powody; a jeżeli odkryją... Pójdę na ganek, wracając niby z alei, jak im Leon powiedział... Byle mnie nikt nie postrzegł z sali jadalnéj... (spotyka Dobrzyckiego). Jaś Dobrzycki?

Scena VIII.

STANISŁAW, DOBRZYCKI.

DOBRZYCKI.

A! widzę cię przecie, mój Stasiu Zbroiński!

STANISŁAW.

Ciszéj! niech to nazwisko nigdy tu wymówioném nie będzie! Gdyby o niém jenerał Wojnicki zasłyszał, zastrzeliłby mię jak psa, bez litości.

DOBRZYCKI.

Ciebie, mój Boże?

STANISŁAW.

Jestem synem jenerała Zbroińskiego.

DOBRZYCKI.

Któremu kraj winien po części swoją spokojność, powrót do porządku...

STANISŁAW smętnie.

Ty to porządkiem nazywasz... W oczach Wojnickiego, ten kto porzucił księcia Józefa przed jego zgonem, przenie-

wierzył się ojczyznie. Mój ojciec utwierdził go w tém mniemaniu, bo umarł ze zgryzoty, ze wstydu. Nazywam się tedy dla ciebie i dla wszystkich Stanisław Niewiarowski, jak moja matka.

DOBRZYCKI.

A cóż tu robisz?

STANISŁAW.

Jestem rządcą, gospodarzem, kasyerem, i tam daléj, zakładu sukiennego.

DOBRZYCKI.

Z potrzeby?

STANISŁAW.

Tak, z potrzeby. Mój ojciec roztrwonił cały majątek; nawet wiano mojéj matki, żyjącéj dziś z emerytury w Poznańskiém.

DOBRZYCKI.

Jakto! twój ojciec, dawny adjutant cesarza północy, tylą łaskami obsypany, nic ci po sobie nie zostawił, nawet sprzyjania następcy?

STANISŁAW, z goryczą.

Czy kto kiedy przeszedł pod obce sztandary, jak on, bez pewnych osobistych przywar i zdrożności... czy synowie za winy ojców nie odpowiadają?

DOBRZYCKI.

Nie mówmy już o tém.

STANISŁAW.

Mój ojciec był zapalonym graczem... dla tego téż pobłażał moim wybrykom... ale kto cię tutaj sprowadza?

DOBRZYCKI.

Od piętnastu dni jestem prokuratorem królewskim przy tutejszym sądzie. Rodzina Skibickich popiera mię całym swoim wpływem, i w przyszłym roku będę zapewne sędzią apellacyjnym w Poznaniu.

STANISŁAW.

Przybywasz więc *ex officio?*

DOBRZYCKI.

Mam prowadzić śledztwo w sprawie kryminalnéj, która się w waszym zakładzie zdarzyła. Idzie o otrucie żony przez męża. Piękny początek.

FELIX, wchodząc do salonu.

Panie Stanisławie, pani niespokojna o pana.

STANISŁAW.

Jestem zatrudniony... (Felix odchodzi). Mój Jasiu, w razie gdyby jenerał, człowiek bardzo podejrzliwy, jak zazwyczaj starzy wojskowi bezczynni, zapytał cię gdzieśmy się spotkali, powiedz mu proszę żeśmy razem przyszli ulicą prowadzącą do zakładu... od tego wiele mi zależy. Co do twego śledztwa, Gabrychowa, żona dozorcy naszéj fabryki, umarła jakby piorunem rażona; ale trucizna w jéj śmierci żadnego nie ma udziału.

DOBRZYCKI.

Czy tak sądzisz? Jam niedowiarkiem z urzędu. Znałem cię dawniéj najszlachetniejszym, najczulszym lecz łatwowiernym poetą; przenoszącym w życie potoczne, w niezbłagany realizm, łudzące śpiewy wyobraźni; wierzącym tylko w cnotę, w piękno, w ideał... widzę żeś się dotąd nie zmienił. A Natalia, ów anioł twego natchnienia, w co się też obraca?

STANISŁAW.

Milcz, dla Boga! nietylko twój urząd, ale same niebo zsyła cię do Wrocławia; bo mi potrzebny przyjaciel w okropnéj przeprawie w któréj się znajduję... Słuchaj mię, Jasiu, słuchaj z uwagą, nie jako prokurator królewski, prawnik, lecz jako spółuczeń, powiernik lat młodocianych; a przekonasz się że moje zeznania wymagają tajemnicy spowiedzi...

DOBRZYCKI.

Czy występek jaki...

STANISŁAW.

Uchowaj Boże! same winy które i sędziowie bezżenni byliby radzi popełnić.

DOBRZYCKI.

To co innego... bo niechciałbym cię słuchać, lub żądałbym natychmiast mego przeniesienia.

STANISŁAW.

Tyś moim niezmiennym przyjacielem!... Kocham pannę Wojnicką, kocham nad życie... i ona także...

DOBRZYCKI.

Twoją miłość podziela. Odgrywacie Julię i Romeo na Szląsku.... A jenerał... miałem go nazwać Kapulet...

STANISŁAW.

Nie zna mnie dotąd; ale nienawidziłby jeszcze srożéj niż tamten Montega, gdyby wiedział kto jestem.

DOBRZYCKI.

Zastanówmy się trochę. Panna Wojnicka będzie wolną za trzy lata; jest sama przez się majętną (wiem o tém od Skibickich): będziecie sobie jeździć po obcych krajach póki się stary nie wydąsa, i zrobicie mu, jeśli będzie potrzeba, trzy prawne wezwania...

STANISŁAW.

Czy zasięgałbym twéj rady, gdyby szło nam o tak powszednie i łatwe rozwiązanie?

DOBRZYCKI.

Zgaduję; biedny mój Stanisławie, jesteś mężem Natalii, twego anioła, który się tak jak wszystkie ziemskie anioły, przemienił... w prawomocną małżonkę...

STANISŁAW.

Sto razy gorzéj! Natalia jest.. panią jenerałową Wojnicką, macochą Zosi.

DOBRZYCKI.

Tam gdzie macocha, tam musi być i nieszczęście. Do tylu powodów zwaśnienia między ludźmi, jeszcze i ten dodawać... to zbrodnia, lub szaleństwo... A jakżeś wpadł w tę wilczą jamę?

STANISŁAW.

Jak się zawsze w nią wpada... gonilem za łanią.

DOBRZYCKI.

Sprawa zawikłana... chcę wiedzieć o wszystkiém.

STANISŁAW.

Panna Natalia Zwodnicka, ostatnia z ubogiego domu, podobno z tych co to z obcych plemion do nas przylgnęły, wychowana w klasztorze, polubiła mię najprzód zapewne dla majątku, przez chęć wyniesienia; i tak rzeczy poprowadziła, że mię niepowrotnie przywiązała do siebie.

DOBRZYCKI.

Zwykła polityka wszystkich sierot intrygantek.

STANISŁAW.

Ale jak mię sama szczerze pokochała, tego ci nie mogę wytłómaczyć, chyba przez same dzieje tego romansu... co mówię romansu? téj namiętnéj i zagorzałéj miłości, pierwszéj i wyłącznéj, która pochłania w sobie całe życie kobiece... Przerażona mojém ubóstwem po śmierci ojca mojego, a znając moje usposobienie, podług słów twoich mało praktyczne, skłonność do sztuk pięknych, do przepychu, utworzyła sobie plan podstępny, prawie zbrodniczy, lecz śmiałością zadziwiający; tak jak każda kobieta, która poświęca to wszystko dla swéj miłości, co despota dla swego samowładztwa... bo jednych i drugich najwyższém prawem jest udzielna ich żądza...

DOBRZYCKI.

Do rzeczy, Stanisławie; ty jesteś obrońcą, a ja gotuję replikę.

STANISŁAW.

Podczas pobytu mojego w Poznańskiém dla usadowienia matki, Natalia poleconą została jenerałowi Wojnickiemu, szukającemu nauczycielki dla Zosi. Ten stary żołnierz, mający wówczas lat 58, okryty ranami, stał się dla niéj jakby pokładem złotym, źle zamknięta szkatułą. Wystawiła sobie że będzie wkrótce majętną wdową, że wolno jéj będzie upomnieć się o dawną miłość i dawnego jeńca. Myślała że to zamężcie będzie jak sen nieprzyjemny, po którym rychłe i szczęśliwe przebudzenie nastąpi... Ten sen trwa już lat dwanaście... Ale wiesz jak sobie dziwnie roją kobiety.

DOBRZYCKI.

One mają właściwe sobie prawodawstwo.

STANISŁAW.

Nieuwiadomiony o tym planie, jak w sieć się w niego wplątałem. Chciwość i zalotność, te dwa znamiona z jéj wschodniém pochodzeniem związane, wszystkim czynnościom jéj życia towarzyszyły. Natalia jest piekielnie zazdrosna... chce za niewierność mężowi żeby jéj wierność kochanka odpłaciła; a ponieważ cierpiała dobrowolne męczeństwo, to są jéj wyrazy, chciała...

DOBRZYCKI.

Chciała cię mieć pod jednym dachem, i strzedz cię własnemi oczyma.

STANISŁAW.

I w tém jéj się powiodło. Mięszkam od trzech lat przeszło w osobnym domku, koło fabryki. Jeżelim w pierwszym tygodniu zaraz nie wyjechał, to dla tego że nazajutrz po przybyciu uczułem że bez Zosi już żyć nie potrafię.

DOBRZYCKI.

Ta miłość ulepsza i uzacnia nieco w moich oczach twoje tutejsze położenie.

STANISŁAW.

Moje położenie jest nieznośném, między trzema tak różnemi od siebie istotami. Jestem ich niewolnikiem i więźniem. Zosia jest odważną jak jéj ojciec, jak są zwykle wszystkie panienki wcale niewinne, idealnie rozkochane, nieznające żadnych przeszkód tam gdzie idzie o ich zamierzone szczęście. Czujność Natalii jest ciągle na straży; zasłaniamy się od niéj przestrachem jakim Zosia jest przejęta na samo wspomnienie mego nazwiska w domu ojcowskim: ta obawa daje nam siłę tajenia naszéj miłości. Lecz jedna chwila może wszystko zniszczyć; Zosia dopiero co odprawiła Różewskiego.

DOBRZYCKI.

Różewski! znamy się od dawna. Pod postacią gawrona jest to człowiek, najciekawszy, najzjadliwszy w całym Szlą-

sku; roznoszący po domach fałszywy towar oszczerstwa i baśni, dla których jedynie bywa cierpianym: jak sroka przerzuca z lasu do lasu szyszki i żołędzie... I on tu bawi?

STANISŁAW.

Jest na obiedzie. Wysłuchałem całe jego oświadczenie.

DOBRZYCKI.

Strzeż się pilnie tego plotkarza.

STANISŁAW.

Nieprawdaż? Gdyby te dwie niewiasty, już mało sobie przyjazne, odkryły przez niego że są rywalkami, jedna mogłaby zabić drugą, niewiem która; jedna z nich silna swoją niewinnością, godziwym popędem, druga z rozpaczy że traci owoc tylu lat obłudy, poświęceń, nawet zbrodni... (Leon zagląda).

DOBRZYCKI.

Przerażasz mię, sądowego prokuratora. Daję ci słowo że kobiety często więcéj kosztują niżeli warte.

LEON, wbiegając.

Panie Stasiu, tatunio i mama czekają niecierpliwie... mówią że trzeba odłożyć zatrudnienia... a Stański coś gadał o żołądku.

STANISŁAW.

Malcze! przyszedłeś tu na zwiady.

LEON.

Idź, przypatrz się co pan Stanisław robi... tak mi mama szepnęła do ucha.

STANISŁAW.

Idę za tobą, ladaco! (do Dobrzyckiego). Widzisz, przerabia już swoje dziecko na niewinnego szpiega. (Leon wychodzi).

DOBRZYCKI.

To syn jenerała?

STANISŁAW.

Jenerałowéj.

DOBRZYCKI.

Ma lat dwanaście?

STANISŁAW.

Niespełna.

DOBRZYCKI.

Masz mi więc jeszcze cóś powiedzieć?

STANISŁAW.

Zdaje mi się żem ci dosyć powiedział.

DOBRZYCKI.

Idźże z Bogiem. Nie mów nic o mojém przybyciu; niech spokojnie obiad zjedzą. Żegnam cię. (Stanisław wychodzi).

Scena IX.

DOBRZYCKI, sam.

Biedny chłopak! Czy potrafię go wyratować z téj przepaści? Gdyby wszyscy młodzieńcy przypatrzyli się sprawom które miałem w ręku od ośmiu lat urzędowania, uznaliby konieczność przyjęcia stanu małżeńskiego jako jedynéj prawdziwéj życia osłody... Ale gdyby żądza była rozważną, jéj nazwiskiem byłaby cnota.

Akt II.

Scena 1.

DOBRZYCKI, MAŁGORZATA, FELIX.

Dobrzycki zatopiony w rozmyślaniu, siedzi prawie niedostrzeżony na kanapie. — Małgorzata przynosi lichtarze i karty. — Mrok zapada.

MAŁGORZATA.

Pani kazała wynieść kosz z kwiatami pod ganek, bo zapach kwiatów, powiada, nocną porą szczególniéj może być panience niebezpieczny... Co za troska! (Felix zapala świecznik). Jeszcze tą razą moja biedna Zosia nie pójdzie za mąż... Drogie dziecię! Gdyby nieboszczka jéj matka, świeć Panie jéj duszy, widziała ją w ojcowskim domu prawie niewolnicą, toby się aż rozpłakała w trumnie! A ja, jeśli przy niéj zostaję, to z przywiązania... bo téż ten jenerał...

FELIX, do siebie.

Co tam stara zrzędzi... (głośno) Na kogo się żalicie, Małgorzato? ręczę że na panią.

MAŁGORZATA.

Gdzie tam! na pana!

FELIX.

Na pana? bodaj was... przecież to święty.

MAŁGORZATA.

A jużci! święty, a z drewna; bo ślepy.

FELIX.

Mówcie raczéj zaślepiony.

MAŁGORZATA.

Choć głupi, mądrześ powiedział.

FELIX.

A do tego ma wielką przywarę, zazdrośnik.

MAŁGORZATA.

A pasyonat!

FELIX.

Zazdrośnik a pasyonat to u mnie jedno. Byle co mu się przywidzi, kuje jak w kowadło. Już dwóch ludzi zakuł własną ręką. Oj, z takim wiarusem to nie żarty!... jeśli go nie udusisz, to on cię udusi... to téż pani go dusi a dusi... a samą słodyczą. Jak znarowionéj szkapie włożyła mu kaganiec i okulary żeby się nie strachał; ot tak! niewidzi ani w prawo ani w lewo, i powiedziała mu: „Patrz przed siebie, bo tam droga.“ On téż leci a leci naprzód, zawsze czwałem.

MAŁGORZATA.

Ona ma lat trzydzieści dwa, a on siedmdziesiąt... to mi dobrana para! Ona tu z boku zerka na kogoś, jak kot na myszkę.

DOBRZYCKI, do siebie.

Oj, służący! to płatne szpiegi.

FELIX.

Ej, na kogóżby tam! Ona ztąd niewychodzi, nieprzyjmuje gości; a goście to nasi poddani.

MAŁGORZATA.

Ona by łysego do szczętu zgoliła... klucze mi odebrała, mnie któréj nieboszczka pani tak wierzyła jak saméj sobie... a wiesz ty dla czego?

FELIX.

Nie miała wiana, to też sobie zbiera.

MAŁGORZATA.

Tak! od lat dwunastu, cały dochód z sukiennicy z intratą mojéj Zosi przez jéj ręce przechodzi... Dla tego niewydaje panny za mąż, boby trzeba zaraz oddać mężowi to co jéj...

FELIX

A pobożna! aż pachnie od niéj jak z kadzielnicy.

MAŁGORZATA.

Tylko dymu nie widać... Już bym jéj wszystko przebaczyła gdyby była szczerą dla Zosi... ale czego mi ona wciąż płacze? Kiedy się pytam o przyczynę to mi odpowiada: „Ja nie płaczę, Małgosiu, jam szczęśliwa!...“ Szczęśliwa! a mnie saméj łzy tryskają z oczu... to też sądzę po sobie!

FELIX.

Ot, masz i ulewę! (wychodzi).

MAŁGORZATA.

Czym wszystko przyrządziła? Cztery talie kart, to dosyć, choćby sam ksiądz pleban z sędzią pokoju przyjechał... ale, ale, kanapa,.. (postrzega Dobrzyckiego). Miły Jezu, ktoś tu siedzi! Czy nie złodziéj?

DOBRZYCKI.

Wasz przyjaciel, Małgorzato.

MAŁGORZATA.

Więc pan dobrodziéj słyszał...

DOBRZYCKI.

Nie lękajcie się, mówię; jestem dyskretnym z urzędu, jestem prokuratorem sądowym.

MAŁGORZATA, żegnając się.

Wszelki duch...

Scena 10.

CIŻ, ZOSIA, RÓŻEWSKI, STAŃSKI, LEON, STANISŁAW, JENERAŁ i NATALIA.

NATALIA, wydzierając z rąk wezgłowie Małgorzacie.

Małgorzato, mówiłam ci ze sto razy że chcę się trudnić wszystkiemi pana wygodami; ja sama potrafię przyrządzić mu wezgłowie.

MAŁGORZATA, do Zosi.

Co za korowody!

RÓŻEWSKI.

A, pan prokurator Dobrzycki!

JENERAŁ.

Prokurator u mnie... niepojmuję...

NATALIA, do siebie.

To on! jego przyjaciel!

JENERAŁ.

Z jakiego powodu...

DOBRZYCKI.

Prosiłem pana Stanisława Zbro... (Stanisław zatrzymuje go skinieniem; Natalia i Zosia dają znak przerażenia). Stanisława Niewiarowskiego, któremu powierzyłem cel mojéj podróży, żeby jenerała o niéj dopiero po obiedzie uwiadomił.

JENERAŁ.

Więc się panowie znacie?

DOBRZYCKI.

Tak, od lat wielu... właśnie spotkaliśmy się w ulicy prowadzącéj do fabryki. Po długiém rozłączeniu długie też przywitanie; ja to byłem przyczyną jego spóźnienia się do stołu.

JENERAŁ.

Ależ komu winienem pana przybycie?

DOBRZYCKI.

Bonifacemu Gabrychowi, dozorcy zakładu, obwinionemu o zbrodnię.

NATALIA.

Doktor Stański, nasz sąsiad, przekonał się że Gabrychowa umarła śmiercią zwyczajną.

STAŃSKI.

Tak, na cholerę, mości prokuratorze...

DOBRZYCKI.

Sądownictwo, panie konsyliarzu, odwołuje się do własnych przeświadczeń... Niepotrzebnie pan przed naszym zjazdem rozbiór anatomiczny wykonałeś...

NATALIA, do siebie.

Jaki zmieniony... jaka surowość w jego twarzy... urzędnik... az mi zimno!

JENERAŁ.

Ależ panie, Gabrych żony nie mógł zabić; jest to mój stary żołnierz, ja za niego ręczę...

DOBRZYCKI.

Skoro prezes komissyi śledczéj przybędzie, dowie się pan jenerał o wszystkiém.

FELIX, wchodząc.

Proszę pani, czy przynieść kawę?

NATALIA.

Nieco późniéj... proszę siedzieć.

STANISŁAW na stronie, do Dobrzyckiego.

Oto Zosia.

DOBRZYCKI.

Dla tak ślicznéj dziewczyny miło i życie poświęcić.

NATALIA, do tegoż.

Nieznamy się panie, nigdy mnie nie widziałeś... miéj litość nad nim, nademną...

DOBRZYCKI.

Możesz pani być spokojną.

JENERAŁ, zbliżając się do nich.

Czy moja żona potrzebną jest do iego śledztwa?

DOBRZYCKI.

Właśnie o nią idzie, panie jenerale. Niepowinna być uprzedzoną o naszéj indagacyi, i dla tego przybyłem tu niespodzianie.

JENERAŁ.

Pani Wojnicka w to wszystko wmięszana? Tego już nadto.

STAŃSKI.

Nie unoś się jenerale, to moja rada.

FELIX.

Jaśnie wielmożny prezes komissyi śledczéj.

JENERAŁ.

Niechże wejdzie.

Scena III.

CIŻ, PREZES komissyi śledczéj, GABRYCH i MEISNER.

PREZES, skłoniwszy się.

Panie prokuratorze, oto pan Meisner, aptekarz.

DOBRZYCKI.

Czy pan Meisner niewidział się jeszcze z obwinionym?

PREZES.

Nie; strażnik który go prowadzi nie odstąpił go ani na chwilę.

DOBRZYCKI.

Dowiemy się więc prawdy, drogą konfrontacyi.

PREZES.

Przystąpcie panowie.

DOBRZYCKI.

Panie Meisner, czy to ten sam człowiek kupił u pana arszeniku przed dwoma dniami?

MEISNER, jąkając się.

On sam, nie kto inny.

GABRYCH.

Wszak ja tego nie przeczę; i czemużbym się zapierał? wszakem panu Meisnerowi powiedział że to na myszy, które wszystko w domu plądrują, i z rozkazu saméj pani!

PREZES.

Słyszy pani jenerałowa; taki jest jego systemat obrony! Gabrych twierdzi żeś go pani posłała po tę truciznę, i że wręczył jéj płatek nierozwinięty od Meisnera.

NATALIA.

Tak jest w saméj rzeczy.

DOBRZYCKI.

Czy pani hrabina użyła już na co tego proszku?

NATALIA.

Wcale nie.

PREZES.

W takim razie, niech nam raczy ten płatek przedstawić; powinien być podwójnie opieczętowany: a jeśli pan Meisner uzna że jego pieczęć nie była zerwaną, oskarżenie ciążące na jéj dozorcy fabrycznym po części usuniętém zostanie.

NATALIA.

Nietknięte pudełko znajduje się dotąd u mnie, w apteczce. (wychodzi).

GABRYCH.

Ach, jenerale! oni mię śmieli posądzić o zabójstwo!

JENERAŁ.

Czy ty się boisz?

GABRYCH.

Nie, ale się gniewam, kroć set...

DOBRZYCKI.

Jenerale, miło nam będzie przekonać się o niewinności waszego sługi, i zostawić wam zupełną wygranę.

NATALIA, wracając.

Patrzcie, panowie. (Prezes z Dobrzyckim oglądają pudełko).

RÓŻEWSKI.

Arszenik w tym domu, w apteczce! a, to niebespiecznie... Już nie siądę z niemi do stołu.

MEISNER, wkładając na nos okulary.

Oto mój sygnet, dwa razy wyciśnięty, całkiem nienaruszony... mogą mi wierzyć panowie... lak chemiczny, niedający się odciąć nawet przez najbieglejszych fałszerzy, prawem uznany... po dwa talary laska.

RÓŻEWSKI.

Dziękuję.

PREZES.

Niech pani starannie schowa ten produkt farmaceutyczny... od niejakiego czasu pruskie sądy samemi przypadkami otrucia są zajęte.

NATALIA.

Już z mego biórka nie wyjdzie. Ja sama i jenerał mamy klucz od niego. (odchodzi do sypialni).

DOBRZYCKI, po naradzeniu się z prezesem.

Główny punkt oskarżenia, bardzo ciężkiego jak sam jenerał uzna, bo całe miasto już o tém mówiło, znika bezpowrotnie; a ponieważ wierzemy w sumienność i światło pana doktora Stańskiego, na mocy jego świadectwa zgodnego z naszém przekonaniem, Gabrychu, jesteś wolnym. (Wszyscy dają znak radości).

NATALIA, wchodząc.

Widzisz, mój kochany, jak to jest nieprzezornie zbyt surowo obchodzić się z żoną.

GABRYCH.

Niech pan sędzia zapyta jaśnie wielmożnego jenerała czym ja nie łagodny jak baranek; ależ moja gołąbka, Boże świeć jéj duszy, była to istna diablica: aniby jéj święty nie poradził. Jeśli chcąc nie chcąc musiałem ją kiedy reflektować, to samą ręką; i srogoście mię państwo za to swoją indygnacyą ukarali, kroć set tysięcy batalionów!... Być obwi-

nionym przez tego jąkałę o zatrucie baby, kiedy ona mi właśnie życie zatruła... dostać się w kluby pruskiéj sprawiedliwości, jak kryminalista, ja Gabrych Bonifacy!... (płacze).

JENERAŁ.

Wszak niemasz czego beczeć!

GABRYCH.

To prawda; ale żeby mię czarci wzięli, ja się już drugi raz nie ożenię... dosyć raz... wolę się upić z Franciszkiem.

FELIX, przy drzwiach.

Poczekaj na mnie. (Meisner wychodzi, Gabrych go wypycha).

LEON.

Tato, a do czego to sprawiedliwość?

RÓŻEWSKI.

Do prawnego wydzierania bliźniemu honoru lub majątku.

NATALIA.

Panie Różewski...

RÓŻEWSKI.

Niemówiłbym tego, gdyby sprawiedliwość a słuszność były rodzonémi siostrami.

JENERAŁ.

Panowie, sądownictwo wasze nie powinnoby takich pomyłek sobie pozwalać.

NATALIA.

Ma ono w sobie zawsze cóś fatalnego; komu choć raz jeden znak na czole przyłoży, tego nigdy obmowa ścigać nie przestanie.

DOBRZYCKI.

Surowość prawa dla złoczyńców tylko jest fatalną; ci którzy żyją bez zmazy, którzy same szlachetne, cnotliwe mają popędy, obawiać jéj się nie powinni.

NATALIA.

Pan nieznasz tutejszych ludzi... za dziesięć lat jeszcze powiedzą że Gabrych otruł swoją żonę, że śledztwo zjechało, i że bez naszego wstawienia się za nim...

JENERAŁ.

Daj pokój, Natalio; ci panowie wypełnili swój obowiązek. (Felix zastawia na stoliku przy ścianie kawę i filiżanki). Czy można służyć kawą?

PREZES.

Dla pośpiechu musiałem wyjechać na czczo; żona mię czeka w mieście z wieczerzą.

RÓŻEWSKI.

To jeszcze pilniejszy obowiązek.

JENERAŁ, do Dobrzyckiego.

A pan, jako przyjaciel Stanisława...

DOBRZYCKI.

Winszuję jenerałowi że tak szlachetne serce, tak uczciwa dusza, tak wzniosły umysł gościnę w jego domu znalazły.

RÓŻEWSKI.

Co za pochwała! (Jenerał odprowadza prezesa na ganek).

NATALIA, do Dobrzyckiego.

Niech pan raczy w chwilach wolnych od zatrudnień pana Niewiarowskiego czasem u nas odwiedzać.

DOBRZYCKI do Natalii, na przodzie sceny.

Strzeż się pani; Bóg nie błogosławi zbyt śmiałym jéj zamiarom. Odgadłem wszystko; wyrzeknij się Stanisława, rozwiąż mu życie niewolne, bezżenne, bądź dobrą matką i żoną. Bo droga którą postępujesz prowadzi do zbrodni.

NATALIA.

Jego się wyrzec? nie mogę!

DOBRZYCKI, do siebie.

Widzę że trzeba będzie uprowadzić ztąd jéj więźnia. (do wracającego jenerała). Pan jenerał raczy nam przebaczyć, i pani hrabina także, żeśmy na chwilę zakłócili spokojność ich tak miłego towarzystwa. (skinieniem przywołuje Stanisława, i razem wychodzą rozmawiając).

Scena IV.

CIŻ, oprócz PREZESA, DOBRZYCKIEGO i STANISŁAWA.

ZOSIA.

Bardzo do rzeczy człowiek, ten pan Dobrzycki.

RÓŻEWSKI, do siebie.

Aha! czy za to że chwali Stanisława? Zaraz chcę wiedzieć czy Zosieczka... Poczekaj, ja ci dam od kosza. Ten błazenek co się o wszystko dopytuje, zda mi się na coś. (biorąc Leona na stronę). Chcesz tęgiego figla spłatać?

LEON.

Chcę! chcę... a komu?

RÓŻEWSKI.

Chodź ze mną, zaraz ci powiem. (idą na ganek).

JENERAŁ.

Jak miło pić dobrą kawę, na wygodnéj kanapie!

STAŃSKI.

Tegoś się na wschodzie nauczył, sułtanie. Ale będziesz miał podagrę.

JENERAŁ.

Nie będę, bo już mam.

STAŃSKI.

Pij więc z Bogiem i zemną.

NATALIA.

Panie Różewski!

JENERAŁ.

Mości Różku! żona moja czy może służyć polską kawą?

RÓŻEWSKI, przybiegając.

Oto jestem, pani hrabino.

ZOSIA.

Czy dosyć słodka?

RÓŻEWSKI, patrząc na nią z ukosa.

Niezupełnie, tak jak ona sama.

ZOSIA, przynosząc cukier.

Proszę... zapewne panny Cybulskiéj daleko słodsza...

STAŃSKI.

I z czosnkiem...

LEON, wbiegając.

Mamo! mamo! pan Staś upadł jak długi w ogrodzie i złamał sobie nogę, bo go niosą.

STAŃSKI.

Ale co znowu...

JENERAŁ, zrywając się.

Chodź, Stański...

ZOSIA, padając na krzesło.

Boże! (Leon się śmieje).

NATALIA.

Czemu ty się śmiejesz?

LEON.

Bo to żartem; chciałem się dowiedzieć czy kto kocha pana Stasia.

NATALIA.

Złośniku, jak ty mogłeś sam wynaleść taką bajkę.

LEON.

To nie ja, to pan Różek.

RÓŻEWSKI.

Tam do djabła! (mięszając kawę zapamiętale). Jeszcze odrobinę cukru...

NATALIA.

A, byłbyś pan dobrym nauczycielem. Czy można dzieci do takich żartów zachęcać?

RÓŻEWSKI.

Pani jenerałowa uniewinnić mię raczy, kiedy się dowie

że tym drobnym podstępem odkryłem mego rywala... (wskazując na wchodzącego Stanisława.

NATALIA, upuszczając cukierniczkę.

To on!

RÓŻEWSKI, do siebie.

I ona! (głośno). Czy panią przestraszyłem?

JENERAŁ.

Co tobie, moja droga!

NATALIA.

Nowy koncept pana Różewskiego. Mówił mi że prokurator powraca. Felixie, podaj inną cukierniczkę.

RÓŻEWSKI.

Bo ta stłuczona... przypadkiem.

JENERAŁ śmiejąc się, do Stańskiego.

Jak noga Stanisława!...

NATALIA, do siebie.

Czym ją dla niego ubrała? Czy mię już oboje zdradzili... (do Różewskiego). Jeśli to prawda, masz ją pan za dwa tygodnie najdaléj. (głośno). Oto cukier.

RÓŻEWSKI.

A! teraz doskonała.

LEON.

Czy pan jesteś turkawką? że wciąż wołasz cukru, cukru!

RÓŻEWSKI, szukając po kieszeniach.

Ty wolisz karmelki. (do siebie). Więc trzy myszy od razu w pułapkę złapałem? Aha! już się nie żenię; ale zostaję i gram w karty... będzie tu jakoś zabawnie. Ale też pan Stanisław za bardzo szczęśliwy! Muszę go ztąd odprawić.

NATALIA.

Zosiu, daj karty do wista. Dziewiąta dochodzi, trzeba się z partyą pośpieszyć. Pożegnaj się z gośćmi, Leonie, ale grzecznie i bez figlów, jeśli chcesz żebym ci tamten przebaczyła. (dzwoni).

LEON.

Dobranoc tato...

JENERAŁ.

Dobranoc, swawolniku.

LEON.

A jak to wygląda sprawiedliwość?

JENERAŁ.

Jak ślepy.

LEON.

Dobranoc panie Stański... A z czego to sprawiedliwość?

STAŃSKI.

Ze wszystkich zdrożności ludzkich. Kiedyś co zbroił, dają ci rózgi. Oto sprawiedliwość.

LEON.

Jam nigdy rózek nie dostał.

STAŃSKI.

Więc ci nigdy słuszności nie wymierzono.

LEON.

Dobranoc panie Różek...

RÓŻEWSKI.

Różewski, niedorostku.

LEON, gryząc karmelki.

A z czego to się robi cukier?

RÓŻEWSKI.

Z brzeziny.

LEON.

Dobranoc panie Stasiu, dobranoc Zosiu... a czym teraz grzeczny?

MAŁGORZATA, wchodząc.

Chodźże, Leosiu...

LEON.

Nazywaj mię Napoleonem, to pójdę.

NATALIA.

Zmów pacierz, a nie drażnij Małgorzaty. Tak zjednasz sobie boską i naszą miłość. (całuje go).

LEON.

Miłość! a na co się to zda miłość?

Scena V.

CIŻ, oprócz LEONA.

JENERAŁ.

Ciekawy jak pan Różek... o wszystko się pyta.

NATALIA.

I czasem nie łatwo mu też odpowiedzieć. Weź krosienka Zosiu; we cztery ręce prędzéj skończym robotę. (biorą krosienka i haftują).

JENERAŁ.

Mam króla.

STAŃSKI.

Ja królowę.

STANISŁAW.

Gram z panem Różewskim, jenerał daje karty.

JENERAŁ.

Powinienbyś się ożenić doktorze; chodzilibyśmy do ciebie jak ty do nas: poznałbyś lepiéj wszystkie rodzinnego życia rozkosze.

STAŃSKI.

A jużcić je znam, patrząc na was. Kto niechce w moim wieku młodéj wdowy i sierot po sobie zostawić, albo raczéj sobie samemu kilka niewinnych istot poświęcić, powinien umrzeć bezżennym i bezdzietnym.

JENERAŁ.

Stary niemrawa!

NATALIA na przodzie sceny, do Zosi.

Więc bardzo zimno przyjęłaś pana Różewskiego... Szkoda, partya wyborna.

ZOSIA.

Wiadomo pani że ojciec mnie saméj wybór męża zostawia.

NATALIA.

A wiesz co pomyśli Różewski? Że niechcesz go mieć za męża, boś już innego wybrała.

ZOSIA.

Gdyby tak było, oboje wiedzielibyście o tém. Jakiż powód miałabym kryć się przed wami?

NATALIA.

Kto wie! nie ganiłabym cię wcale. Widzisz Zosiu, jest pewna miłość którą kobiety, nawet wśród najsroższych męczarni, umieją przed światem ukrywać.

ZOSIA, podnosząc upuszczone nożyczki.

Być może, ale ja o tém nie wiem. (do siebie). Czemuż ja milczeć nie mogę?

NATALIA.

Czy téż podobna miłość nie gnieździ się w twojém łonie? Jeśli tak jest, powiedz; ja ci poradzę. Ja cię kocham, ja przebłagam ojca; wiesz że ma ufność we mnie, że mam przeważny wpływ na jego umyśle, jego niezłomnéj woli... więc, lube dziecię, otwórz mi twoje serce.

ZOSIA.

Pani w niém czytasz, oddawna.

JENERAŁ.

Stański, co ty robisz; uważaj na grę. (Szmer przy stole; Zosia zwraca nań uwagę).

NATALIA, do siebie.

Niepowinnam była zapytywać jéj w ten sposób, tak otwarcie... (głośno). Ochłonęłam z bojaźni... kiedy Leon zmyślił że Stanisław sobie nogę złamał, toś prawie zemdlała... Pan Niewiarowski dowiódł od czterech lat pobytu między nami że jest miłym, wykształconym młodzieńcem; bo cóż bardziéj naturalnego jak skłonność dla rówiennika z krwi szlacheckiéj, nie bez talentu i urody...

ZOSIA.

Jest dependentem mego ojca...

NATALIA.

Nie kochasz go; Bogu dzięki, bo już ożeniony.

ZOSIA, niby spokojnie.

Ożeniony, Stanisław? Dla czegóż się z tém kryje? (do siebie). Byłoby to nikczemnie! zapytam go dziś jeszcze... dam mu znak umówiony.

NATALIA, do siebie.

Ani drgnięcia w jéj twarzy... Różewski skłamał, albo to dziecko bieglejsze odemnie... (głośno). Co tobie, mój aniele?

ZOSIA.

Nic, wcale.

NATALIA, dotykając jéj ramion i głowy.

Tobie tu gorąco... (do siebie). Kocha go... A on? czuję piekło w méj duszy!

ZOSIA.

Zbyt się przykładam do roboty... Ale czy pani cierpiąca?

NATALIA.

Bynajmniéj... Pytałaś się dla czego Stanisław tai swoje ożenienie...

ZOSIA.

Prawda.

NATALIA, do siebie.

Czy wie jak się nazywa... (głośno). Bo jego żona mogłaby się wygadać.

ZOSIA.

Z czém?

NATALIA, wstając.

Jeżeli go kocha, ma żelazną siłę... gdzież się mogli widzieć? rozmówić? W dzień nie spuszczam jéj z oka... Gabrych pilnuje go wciąż w fabryce... Nie! to niepodobna. Kocha go bez udziału, bez nadziei, jak dziewczęta których bu

dząca się miłość jeszcze wzajemności nie żąda... jeśli są porozumieni, wręcz uderzona w serce, oczyma przynajmniéj do niego przemówi, zapyta... bez przerwy śledzić ich będę.

RÓŻEWSKI.

Zwyciężyliśmy panie Stanisławie, i gracko!

STANISŁAW, zbliżając się do Natalii.

Pani zastąpić mię raczy przy stoliku...

NATALIA.

Zosiu, graj za mnie. (do siebie) Nie mogę mu powiedzieć że się w niéj kocha; ta myśl mogłaby mu się spodobać... Inaczéj więc. (do Stanisława) Wszystko mi Zosia wyznała.

STANISŁAW.

Co takiego?

NATALIA.

Czy niewiesz?

STANISŁAW.

Jakże mam wiedzieć!

NATALIA.

Wyście mię nie zdradzili, nie oszukali? Wyście mojéj zguby nie zaprzysięgli?

STANISŁAW.

Kto... Ona?... Ja?...

NATALIA.

Czy pan Różewski ze mnie znowu śmiałby zażartować... On kłamie...

STANISŁAW.

Natalio, od zmysłów odchodzisz.

RÓŻEWSKI, do Zosi.

A! panna Zofia dziś nieszczędzi pomyłek.

ZOSIA.

Straciłeś pan na tém wiele, grając ze mną, a nie z moją matką.

RÓŻEWSKI.

Macochą.

NATALIA.

Stanisławie, nie wiem gdzie złudzenie, gdzie prawda; ale to wiem że śmierć przekładam nad utratę naszych nadziei.

STANISŁAW.

Bądź pani ostrożna! od kilku dni pan Stański dziwném spojrzeniem nas ściga...

NATALIA.

Ona pójdzie za Różewskiego; ojciec ją do tego przymusi.

STANISŁAW.

To bardzo korzystne zamężcie...

NATALIA, do siebie.

Ani się spojrzeli na siebie...

JENERAŁ.

Już niewytrzymam! Zosia roztargniona sadzi same błędy; a ty Stański grasz jak ostatni partacz, bijesz mi króle...

STAŃSKI.

Drogi naczelniku, to dla przywrócenia równowagi...

JENERAŁ.

Masz dyplomatę! Oto już dziesiąta, lepiéj spać się położyć jak bić na ślepo. Stanisławie, poprowadź Różka do łóżka. A ty Stański nie dostaniesz jutro węgrzyna za to żeś moich królów sprzątał, a nie tamtych.

RÓŻEWSKI.

Wszak partya nieskończona... idzie tylko o pruskiego talara...

JENERAŁ.

A honor zwycięstwa?... (do Stańskiego). Chociaż grałeś jak niżnik żołędny, masz kapelusz i laskę. (Zosia wyjmuje sobie kwiatek z włosów i pieści się z nim).

NATALIA, do siebie.

To znak być musi! Niech zginę z ręki męża, téj nocy czuwać będę nad niemi.

STANISŁAW, biorąc stoczek z rąk Felixa.

Panie Różewski, jestem na rozkazy.

RÓŻEWSKI.

Życzę panu dobréj nocy. Uniżony sługa panienki... Mości doktorze...

STAŃSKI, nos sobie ucierając.

Bywaj pan zdrów.

RÓŻEWSKI.

Ma katar zastarzały.

JENERAŁ, odprowadzając Stańskiego.

Jutro czekamy, jak najwcześniéj.

Scena VI.

NATALIA, ZOSIA, JENERAŁ.

NATALIA.

Zosia niechce pana Różewskiego.

JENERAŁ.

A to czemu?

ZOSIA.

Bo mi się niepodoba.

JENERAŁ.

Więc ci wybierzem innego; ale nie bądź już tak wybredna, masz lat dwadzieścia dwa, i mogłabyś nas wszystkich na nieprzyjemne domysły narazić.

ZOSIA.

Więc mi panną zostać nie wolno?

NATALIA.

Ona już wybrała; lecz chce się wyspowiadać tylko przed tobą. (do Zosi). Bądź mi zdrowe, lube dziecię; zostawiam cię z ojcem. (do siebie). Ztamtąd całą usłyszę rozmowę. (wchodzi do swego pokoju i drzwi zamyka).

Scena VII.

JENERAŁ, ZOSIA.

JENERAŁ, do siebie.

Wyspowiadać Zosię? to zadanie nie lada! nie znam ja całkiem téj mustry. A zatém ona mię raczéj wyspowiada. (głośno). Chodźno tu, Zosiu. (sadza ją na kolanach). Czy myślisz że stary wiarus jak ja nie wie co to znaczy: „Papo ja nie chcę pójść za mąż?“ To znaczy we wszystkich żyjących językach że panna chce pójść za tego którego kocha.

ZOSIA.

Powiedziałabym ci cóś, drogi ojcze, ale ci niedowierzam.

JENERAŁ.

A to dlaczego, mościa panno?

ZOSIA.

Wszystko powtórzysz przed żoną.

JENERAŁ.

Jakąż tajemnicę możesz mieć dla téj która cię wychowała? dla twojéj drugiéj matki?

ZOSIA.

Jeśli się zaczniesz gniewać, to nic nie powiem. Ja sobie wystawiałam że serce ojcowskie jest niezdobytém schronieniem dla córki; gdy tymczasem...

JENERAŁ.

Łasiczka! Więc się udobrucham.

ZOSIA.

O tyś dobry dla mnie, mój ojcze! A gdybym kochała syna jednego z tych których przeklinasz?

JENERAŁ, powstając i odpychając ją.

Przekląłbym i ciebie...

ZOSIA.

Otóż dobroć! (Natalia zagląda).

JENERAŁ.

Są uczucia, moje dziecko, których nigdy we mnie rozbu

dzać nie trzeba; wiesz że moje życie z niemi związane. Czy ty chcesz méj śmierci?

ZOSIA.

Ach, mój ojcze!

JENERAŁ.

Przeżyłem się już oddawna. Choć mój los przy Natalii i przy tobie jest godnym zazdrości, choć ostatki mego życia między wami za najsłodsze chwile od upadku naszego poczytuję, porzuciłbym świat i życie bez żalu gdybym przy skonaniu widział cię szczęśliwą; bo winniśmy szczęście tym którym daliśmy istnienie.

ZOSIA, widząc drzwi uchylone.

Ona słucha. (głośno). Uspokój się, mój ojcze; jam zmyśliła. Ale gdyby tak było; gdybym dla takiéj miłości miała umrzeć?

JENERAŁ.

Wypadałoby w tedy, nic nie mówiąc, czekać méj śmierci. I w tenczas nawet! Jeżeli nie mamy nic droższego, nic świętszego po Bogu i po ojczyznie jak nasze dzieci, to i one powinny uważać wolę ojcowską za świętą; nigdy się jéj nie sprzeciwiać, nawet po ich zgonie... I gdybyś niedochowała tych uroczystych przysiąg starca, honorem moim stwierdzonych, mnie się zdaje że powstałbym z grobu, żeby cię przekląć!

ZOSIA, całując go.

O niedobry, niedobry!... Teraz chcę wiedzieć czy umiesz tajemnicy dochować. Przysiąż mi święcie że o tém słowa nie powiesz nikomu.

JENERAŁ.

Przyrzekam. Ale na co tyle ostrożności, przed Natalią?

ZOSIA.

Choć ci powiem, niedasz mi wiary.

JENERAŁ.

Czy masz zamiar ojca twojego dręczyć?

ZOSIA.

O co dbasz więcéj, o twoją nienawiść ku zdrajcom, lub o honor?

JENERAŁ.

O jedno, jak o drugie.

ZOSIA.

Jeśli więc honor jest rękojmią twéj przysięgi, to możesz dla honoru poświęcić i samą nienawiść... Tegom tylko była ciekawa.

JENERAŁ.

Kobiety mają w sobie coś anielskiego, to prawda; lecz to czasem anielstwo szatana. Bo pytam się kto tu podobne rzeczy nasuwa takiéj niewiniątce?

FELIX.

Pani czeka na pana...

ZOSIA.

Dobranoc, papo.

JENERAŁ.

Czy tak, niewdzięczna?

ZOSIA, ściskając go.

Nie mów nic, albo ci sprowadzę zięcia okropnego.

JENERAŁ.

Niepojmuję téj zagadki; jedna Natalia mogła by mi ją rozwiązać, ale milczenie przyrzekłem... Felixie, niezapomnij świecznika. (Felix gasi i za nim wychodzi).

Scena VIII.

ZOSIA, sama.

Nareszcie jestem sama! (podchodzi na ganek i daje znak chustką). Już nie zmuszona kłamać, zapierać się mojéj miłości... On, ma żonę! on, Stanisław!... Obłudnik, najpodlejszy, najnikczemniejszy z ludzi!... Ja go własną ręką zabiję... zabić go? nie, nie mogę; ale téj zdrady nieprzeżyję o jedną godzinę... Macochy nię cierpię; jeśli odkryję w niéj nieprzyjaciołkę,

wydam jéj wojnę, zaciętą! Wszystko co wiem, wyjawię... (patrząc na zegarek). Wpół do dwunastéj... Dałam znak zawcześnie... on o północy dopiero wolny... Biedny Stanisław! mnie tu cóś mówi że mię kocha... narażać życie dla półgodzinnéj ze mną rozmowy... takiéj odwagi powszednia miłość nie daje... To téż niema tego czegobym dla niéj nie uczyniła... Gdyby nas ojciec zeszedł, jabym pierwszy cios odebrała... na śmierć z nim jestem gotowa; ale wątpić o jego sercu, to srożéj jak samo rozłączenie... (Stanisław wchodzi ostrożnie; Zosia rygle zasuwa).

Scena IX.

STANISŁAW, ZOSIA.

ZOSIA.

Czy ty masz żonę?

STANISŁAW.

Ja?... co za żart!... Ja kocham tylko ciebie jedną na świecie.

ZOSIA padając na krzesło, potém na kolana.

Ach!... Najświętsza Panno, jakiéj żądasz odemnie ofiary?... (całuje rękę Stanisława). Bądź błogdsławiony na ziemi i w niebie!

STANISŁAW.

Ale zkądże to wzruszenie? kto ci tę baśnię mógł zmyślić?

ZOSIA.

Macocha.

STANISŁAW.

Teraz pojmuję! ona cię chciała wybadać; ona wie o wszystkiém albo wkrótce sama odkryje, bo podejrzenia u takich kobiet jak ona rychło w pewność przechodzą... czy nie wejdziem do ciebie?

ZOSIA.

Nie! Małgorzata śpi w przybocznéj sali; tu nas nikt nie podsłucha, zasunęłam rygle.

STANISŁAW.

Słuchaj mię Zosiu, nietracąc ani chwili czasu. Wiesz kto mię w ten dom wprowadził? Pani Wojnicka.

ZOSIA.

Ona! czemu?

STANISŁAW.

Bo mię kocha.

ZOSIA.

Co słyszę!... a mój ojciec?

STANISŁAW.

Kochała mię, przed zamężciem.

ZOSIA.

I teraz... jeszcze?

STANISŁAW.

Tak... nieodmiennie... Ona pierwszą skłonność we mnie wzbudziła; ale ją dziś całą duszą nienawidzę... dla czego? niewiem. Czy dla tego że ciebie kocham? że każda czysta i prawdziwa miłość jest z natury swojéj wyłączną? Czy porównanie takiego ducha światłości jakim ty jesteś i takiego jak ona szatana, wzmaga moje ku niéj obrzydzenie, moją cześć dla ciebie, ty mój klejnocie, mój skarbie, mój aniele stróżu? Niewiem czemu; ale ją nienawidzę, a ciebie kocham tak że śmierć z ręki ojca twojego nie byłaby mi straszną dla ciebie... jedna z tobą rozmowa, ta godzina przy tobie spędzona, nawet już po jéj spłynięciu, zdaje mi się całém życiem w jedną chwilę zebraném.

ZOSIA.

O mów, mów jeszcze... zawsze!... tyś mię uspokoił, uszczęśliwił! Słysząc to wyznanie przebaczam ci boleść jaką mi sprawiłeś oświadczeniem że nie jestem twoją pierwszą, jedyną miłością, jak ty jesteś moją... To już stracone złudzenie... ale cóż robić? Nie gniewaj się, dziewczęta są nieznośne... ich jedyną ambicyą na świecie jest miłość; one chciałyby posiadać przeszłość tego którego kochają równie jak przyszłość... Ty ją nienawidzisz? W tém jedném słowie więcéj dla mnie miłości jak we dwuletnich jéj od ciebie do-

wodach. Gdybyś wiedział jak okrutnie mię ta macocha dręczyła, tu, tego wieczora!... ty mię pomściłeś.

STANISŁAW.

Bądźmy przezorni... ona chytra, złośliwa... ona gotowa z nami śmiertelną walkę rozpocząć.

ZOSIA.

Smiertelną!... tego właśnie żądam.

STANISŁAW.

Umiarkuj się, droga Zosiu. Wszak chcemy być połączeni, nieprawdaż? Dobrzycki mniema że dla zwalczenia przeszkód które nas dzielą, trzeba nam mieć siłę chwilowego rozstania...

ZOSIA.

Dwa dni, daj mi dwa dni tylko czasu, a wszystko od ojca otrzymam.

STANISŁAW.

Płonna nadzieja... Czy nieznasz pani Wojnickiéj? Onaby nas oboje, swego męża, i samą siebie poświęciła dla dogodzenia swéj zemście... na wszystko się odważy, byle cię zgubić. Więc zanim wyjadę, ja ci straszną broń przeciw niéj zostawię.

ZOSIA.

Daj! daj czémprędzéj.

STANISŁAW.

Pod warunkiem, że tego środka użyjesz jedynie dla obrony twego życia; bo rzucając tę broń w twoją rękę łamię dane jéj słowo... ale tu idzie o ciebie.

ZOSIA.

Cóż takiego?...

STANISŁAW.

Jéj listy pisane do mnie przed zamężciem, a niektóre późniéj... jutro ci je przyniosę. Nie czytaj ich Zosiu, przysięgnij mi to na Boga, na naszą miłość, na twoje szczęście... Niech tylko wie, gdyby konieczność tego wymagała, że masz je w twojém posiadaniu; a będzie drżeć, będzie się czołgać przed tobą, bo wszystkie jéj intrygi zniweczonemi zostaną.

Ale niechaj to będzie cios ostateczny; ukryj je, ukryj starannie!

ZOSIA.

Co za walka!

STANISŁAW.

Krwawa, nieubłagana... Teraz, Zosiu, zachowaj z odwagą jak dotąd tajemnicę naszéj miłości... dopóki ją sam Bóg objawić nam w obec świata nie pozwoli...

ZOSIA.

Ach! dlaczegóż twój ojciec odstąpił od dobréj sprawy? Gdyby ojcowie wiedzieli jak dzieci za ich winy odpowiadać będą, nie byłoby złych ludzi na świecie.

STANISŁAW.

Może ta rozmowa jest ostatnią naszą rozkoszą... Bądźmy sobie wierni pomimo czasu i odległości... po moim odjeździe, nie będziesz miała nikogo, prócz ojca...

ZOSIA, do siebie.

Ja za nim pojadę... (głośno). Patrz, ja już nie płaczę, jestem mężna... Czy twój przyjaciel będzie wiedział o twojém schronieniu?

STANISŁAW.

Jaś będzie naszym pośrednikiem.

ZOSIA.

A te listy?

STANISŁAW.

Jutro, jutro... lecz gdzież je ukryjesz?

ZOSIA.

Będę je nosić przy sobie.

STANISŁAW.

Bądź zdrowa!

ZOSIA.

Nie, nie jeszcze...

STANISŁAW.

Jedna chwila może nas zgubić.

ZOSIA.

Albo połączyć na wieki... Niech cię odprowadzę... dopiero jestem spokojna kiedy cię widzę w ogrodzie... Chodź ze mną.

STANISŁAW, zaglądając we drzwi otwarte do pokoiku Zosi.

Jedno spojrzenie w ten pokoik dziewiczy, gdzie będziesz o mnie myśleć, gdzie wszystko o tobie przemawia... (wychodzą na ganek. — Drzwi ukryte w ścianie na lewo otwierają się nagle; Natalia wchodzi i odmyka rygle od swego pokoju.

Scena X.

ZOSIA na ganku, NATALIA.

NATALIA.

Odprowadziła go do ogrodu... Zwodziła mię... i on także! (Zosia wchodzi; Natalia chwyta ją za rękę, i na przód sceny prowadzi). Czy powiesz jeszcze że go nie kochasz?

ZOSIA.

Ja nikogo nieoszukuję, jestem wolna.

NATALIA.

Oszukałaś ojca.

ZOSIA.

A pani?

NATALIA.

Sprzysięgli się na mnie... Idę, powiem natychmiast...

ZOSIA.

Nic pani nie zrobisz, ani przeciwko mnie, ani przeciw niemu.

NATALIA.

Nie zmuszaj mię do użycia mojéj władzy... winnaś posłuszeństwo twemu ojcu, on mnie dotąd słucha.

ZOSIA.

Zobaczym!

NATALIA.

Jéj zuchwałość serce mi rozpala... krew burzy się w moich żyłach, przed oczyma czarne snują się plamy... A wieszże ty nieszczęsna że ja przekładam śmierć nad życie bez niego?

ZOSIA.

I ja także. Ale nie poślubiłam, jak pani, wierności mężowi; a mąż pani, to mój ojciec.

NATALIA, rzucając się do stóp Zosi.

Cóżem ci zawiniła? Kochałam cię, dałam ci wychowanie świetne, byłam ci dobrą matką.

ZOSIA.

Bądź pani dobrą żoną, a będę milczeć.

NATALIA, powstając.

Mów, mów więc, co ci się podoba. Wojna zaczęta!

ZOSIA.

Niech i tak będzie.

Scena XI.

TEŻ, JENERAŁ.

JENERAŁ.

Cóż się tu dzieje?

NATALIA, do Zosi.

Udaj zemdlenie... (rzuca ją na kanapę). Usłyszałam jęki w pokoju Zosi; wołała o ratunek... zbytnim zapachem kwiatów odurzona.

ZOSIA.

Tak, ojcze... Małgorzata zapomniała wynieść kosz z kwiatami... zasłabłam nagle...

NATALIA.

Chodź, Zosiu, na wolne powietrze. (idą ku dzwiom).

JENERAŁ.

Stójcie na chwilę... Gdzież te kwiaty?

ZOSIA.

Niewiem gdzie je pani zaniosła.

NATALIA.

Tam, pod ganek... (Jenerał wychodzi porywczo, postawiwszy stoczek na stoliku przy ścianie).

NATALIA.

Wróć do swego pokoju, zamknij się; wszystko biorę na siebie. (wychodzą).

JENERAŁ, wracając.

Nigdzie ani śladu kwiatów nie widziałem... Natalio!.. Zosiu!... niema nikogo... Ciekawy byłbym która tu śmie ze-mnie szydzić, i czemu... czy dla tego żem się drugi raz ożenił?... (bierze stoczek i odchodzi. Natalia pokazuje się drzwiami ukrytemi, wnosząc kosz z kwiatami i stawiając w głębi na prawo).

NATALIA.

Teraz jestem spokojna! (wraca do sypialni).

Akt III.

Scena I.

NATALIA, później GABRYCH.

NATALIA.

Trudno mi było tą razą uśpić jego podejrzenia... Co za życie! Ciągła obłuda! już się wreszcie nią brzydzę. Jeszcze jedno lub dwa podobne zdarzenia, przestanę rządzić jego umysłem... Alem chwilę przynajmniéj wolności zdobyła... Byleby mi Zosia znów nie popsuła wszystkiego... Zapewne śpi jeszcze... mogłabym ją zamknąć... (zbliża się do drzwi na prawo). Nie... cóś czyta z uwagą.

GABRYCH, trochę podpiły.

Pan Stanisław nadchodzi...

NATALIA.

Czy późno wczoraj wrócił do domu?

GABRYCH.

Wczoraj, niewiem; bom se nieco podchmielił dla nabrania ochoty po téj piekielnéj indygnacyi... niech ją tam jasne pioruny...

NATALIA.

A zwykle?

GABRYCH.

Zwykle? Jaśnie wielmożna jenerałowa wie że pan Stanisław mój przełożony co noc patrol odbywa... jak w obozie pod Księciem Józefem. O wpół do drugiéj czasem powraca. Ja nad nim sypiam, więc słyszę.

NATALIA.

Co słyszysz?

GABRYCH.

Jakieś tam pacierze czy litanie... często jedno imie powtarza...

NATALIA.

Jakie imie?

GABRYCH.

Niewiem, bo na pułapie dużo wełny... pewnoć nie Małgorzaty... ale mi się zdaje że zawsze to samo... czasem sam z sobą rozmawia, chodząc tu i owdzie po pokoju... ot tak! (wywraca krzesło).

NATALIA.

Fe, Gabrychu; pierwszy raz cię widzę w tym stanie: proszę niech to będzie i ostatni.

GABRYCH, podnosząc krzesło.

Przysięgam jaśnie wielmożnéj pani żem wczoraj był trzeźwy... rzadko kiedy stary wąs zmaczam w tym diabelskim sznapsie... ale po śmierci mojéj nieboszczki musiałem się trochę pocieszyć. Franciszek mi pomagał; tkacz doskonały, on za życia ją bawił, a mnie bawi po śmierci... choć Niemka, teraz ją prawdziwie żałuję... (udaje płacz). I Franuś także!...

NATALIA.

Płacz, że już bić żony nie będziesz.

GABRYCH do siebie, wesoło.

Ale pić będę, po żonie.

NATALIA.

Więc dobrze. (Gabrych wychodzi). W zamian za dwunastoletnie poświęcenie, za cierpienia, które tylko kobiety pojąć

mogą, bo któryż mężczyzna odgadnie takie męczarnie, w zamian za to wszystko, czego żądałam? Widzieć go tutaj, przy sobie; jedno wdzięczne spojrzenie, tajemne uściśnienie ręki uzyskać... Pewności że on na mnie czeka, niechciałam innego dowodu; ta pewność była mi tém czém dla innych szczęśliwszych jest miłość nieskalana, nadziemska, dla nas biednych niedostępna... Chciałam o mojéj miłości upodleniem nawet własném go przekonać... A on, jak mi się wywdzięcza? miewa nocne schadzki z tą głupią dziewczyną!... Niech mi wręcz wyrok śmierci wypowie; a jeśli się na to zdobędzie, jam wynalazła sposób rozłączyć ich nieodbicie, na zawsze!... Widzę go, truchleję... Boże! czemu tak upartą miłość nam dajesz dla niegodnych, niewdzięcznych, i tak słabych istot jak oni wszyscy!...

Scena II.

STANISŁAW, NATALIA.

NATALIA.

Więc tyś mię nie zdradził, nie oszukał, gdyś téj nocy wszedł ukradkiem do tego salonu, jak złoczyńca, dla widzenia się z Zosią, niepomny na to że cię jéj ojciec mógł zastrzelić! Kłamać dłużéj na nic się nie przyda. Słyszałam was, i mogłabym nieledwie każde słowo powtórzyć; widziałam was, mówiłam z nią po waszéj nocnéj przechadzce. Nie winszuję wcale takiego wyboru. Gdybyś był świadkiem naszéj wczorajszéj rozmowy, tutaj, na tém miejscu; gdybyś widział z jak śmiałém spojrzeniem, z jak bezwstydném czołem wszystkiego się zaparła, ojca, mnie i ciebie, drżałbyś o twoją przyszłość, która do mnie należy, dla któréj ciało i duszę sprzedałam.

STANISŁAW, do siebie.

Otóż nawalnica wymówek. (głośno). Ależ Natalio, możemy się spokojnie rozmówić. Oszczędź mi tych dotkliwych pocisków... Czém byłaś dla mnie, tego nigdy nie zapomnę; mam dla ciebie przyjaźń niezmienną, rzetelną: ale już nie mam miłości.

NATALIA.

Oddawna?

STANISŁAW.

Od lat trzech.

NATALIA.

Wyznajesz więc że mam prawo nienawidzić tę, dla któréj mi się podle przeniewierzasz.

STANISŁAW.

Pani!

NATALIA.

Tak, zdradziłeś mię, jak niegdyś twój ojciec... Zostając tu, między nami dwiema, zmusiłeś mię do przywdziania maski nieznośnéj... Jestem gwałtowna, wiesz o tém. Gwałtowność jest szczerą; a ja dla ciebie stałam się obłudną, podstępną. A czy ty rozumiesz co to kobietę kosztuje kłamać, kłamać codziennie, bez namysłu, kłamać ze sztyletem w sercu? Oj, kłamstwo! to dla nas jest opłatą szczęścia. Wstyd, jeżeli się powiedzie; śmierć i hańba, jeżeli się odkryje. A wy!... wam drudzy mężczyzni naszéj zniewagi zazdrościć będą. Tam dla nas wzgarda, gdzie dla was poklaski. I ty nie chcesz żebym ja się broniła? I ty samemi gorzkiemi słowy odwdzięczasz się kobiecie, która przed tobą utaiła wszystkie cierpienia, zgryzoty, łzy, rozpacz! Dla siebie saméj gniew boski zachowałam; samam się pogrążała w ogniste straconéj duszy otchłanie, i wtenczas kiedy żal i skrucha toczyła mi serce, moje spojrzenia dla ciebie były pełne tkliwości, moja twarz wesołą. Oj, Stanisławie, nie gardź tak przyswojoną niewolnicą.

STANISŁAW, do siebie.

Trzeba temu zaradzić. (głośno). Słuchaj Natalio; wtenczas kiedyśmy się poznali, młodość sama była nam pośrednikiem. Poddałem się, wyznać ci muszę, téj samolubnéj próżności która w głębi serca wszystkich ludzi spoczywa, pod kwiatami pierwszych żądzy ukryta. Tyle jest pośpiechu, nieładu w dwudziestoletniéj duszy, że upojenie które nią włada niepozwala myśleć ani o przyszłości, ani o najświętszych życia obowiązkach.

NATALIA, do siebie.

Nikczemnik! jak on spokojnie rozumuje!

STANISŁAW.

Pokochałem cię wtedy szczerze, bezwzględnie... ale odtąd... odtąd nam się życie w poważniejszéj objawiło postaci. Jeżelim więc pozostał pod tym dachem gdziebym nigdy schronić się nie był powinien, to dla tego żem w duszy wybrał Zosię jako jedyną życia mego towarzyszkę; jako tę, którą Bóg mi cnotliwie kochać pozwolił. Niepasuj się, Natalio, z tym nieodwołanym nieba wyrokiem; nie rozłączaj dwóch istot które ci swoje szczęście zawdzięczać będą, i które cię dozgonnie kochać nieprzestaną.

NATALIA.

A ja, w co się obrócę? Czy nie byłabym dzisiaj twoją żoną, gdybym przed dwunastą laty nie była méj miłości za twoje szczęście sprzedała?

STANISŁAW.

Uczyń to więc raz jeszcze, wracając mi wolność!

NATALIA.

Wolność! wolność kochania Zosi? Lecz o tém nie było mowy przed dwunastą laty... Ja tego nie przeżyję!

STANISŁAW.

Z miłości można umrzeć w poezyi, lecz nie w życiu.

NATALIA.

Wy przecież umieracie dla obrazy honoru... za jedno słowo, skinienie... Są również kobiety gotowe umrzeć dla miłości, kiedy ta miłość jest jedynym skarbcem całego ich szczęścia na świecie... taką kobietą jestem ja! Odkąd żyjemy pod tym dachem, Stanisławie, co chwila spodziewałam się wybuchu; nosiłam więc zawsze przy sobie sposób niechybny rozstania się z życiem, pierwéj niż z tobą... Patrz, (pokazuje flaszkę). oto moje życie, przez ciebie!

STANISŁAW.

Po burzy, łzy!

NATALIA.

Przyrzekłam sobie była je stłumić, niemogę. Ale bo też mówisz do mnie z tą wystygłą grzecznością która wam, niewiernym, służy za ostatnią obelgę dla wzgardzonéj miłości. Niemasz politowania nademną... chciałbyś mię widzieć martwą, byleś się mnie pozbył... Ty niewiesz kto ja jestem! Dość już tych kłamstw, oszustwa, podłości; jenerał dowie się o wszystkiém, napiszę! Wezmę mojego syna, pójdę do ciebie, oddalemy się ztąd razem. Zosi już nie będzie.

STANISŁAW.

Jeśli to uczynisz, ja się zabiję.

NATALIA.

I ja także! Śmierć nas połączy; z nią rozdzieli się na zawsze.

STANISŁAW.

Zapamiętała!

NATALIA.

Przeszkody już istniejące między wami są nieprzełamane... twoje pochodzenie, nazwisko.

STANISŁAW.

Zosia na mnie czekać będzie.

NATALIA.

A jeśli ją ojciec za mąż wyda?

STANISŁAW.

To ja umrę.

NATALIA.

Z miłości można umrzeć w poezyi, lecz nie w życiu... powinność przywiąże cię do téj która ci honor oddała.

JENERAŁ, za sceną.

Natalio! Natalio!

NATALIA.

Słyszę głos pana... (Jenerał wchodzi). Więc, panie Stanisławie, po skończonych interesach czekamy.

Scena III.

JENERAŁ, NATALIA.

JENERAŁ.

Tak rano rozprawa z panem Stanisławem? O czémże była mowa? czy o fabryce?

NATALIA.

O czém? zaraz powiem, bo podobnyś w tém do Leona; jak zaczniesz się wypytywać, trzeba ci odpowiedzi na wszystko... Wystawiłam sobie że Stanisław nie jest obcym odmówieniu Różewskiego przez naszą Zosię.

JENERAŁ.

A! to być może.

NATALIA.

Prosiłam go tutaj dla sprawdzenia moich domysłów, i właśnie miałam się czegoś ważnego dowiedzieć kiedyś nam przerwał.

JENERAŁ.

Jeżeli ma ku niemu skłonność, dlaczegóż wczoraj, kiedym ją po ojcowsku zapytywał, tak upornie milczała?... wszak jéj całą wolność zostawiam.

NATALIA.

Możeś się nie dość mądrze wziął do rzeczy... albo téż była to chwila jakiegoś wahania... w sercu dziewczyn zawsze tyle sprzeczności!

JENERAŁ.

W istocie, czemu by tak nie było? wszak on jest uczciwy, pracuje jak prosty wyrobnik, zapewnie przytém i z dobrego rodu... ale ty musisz znać jego pochodzenie, tyś nam ten skarb odkryła.

NATALIA.

Jam ci go nastręczyła za poleceniem pani Starowiejskiéj.

JENERAŁ.

Od dawna nie żyje.

NATALIA, do siebie.

Dla tego właśnie ją przytaczam. (głośno). Znały się z jego matką, panią Niewiarowską, dla któréj Stanisław ma cześć uwielbienia godną; mięszka ona podobno w Poznańskiém, i pochodzi z dawnéj wielkopolskiéj rodziny.

JENERAŁ.

Tak, Niewiarowscy... słyszałem. No więc, jeżeli on kocha Zosię, i Zosia go kocha, jeżeli się tedy kochają nawzajem, wolę go mieć za zięcia niż tego samozwańca Różka, czy tam Różewskiego, ze wszystkiemi jego różkami i kopytami. Stanisław zna się na suknie, kupiłby od nas fabrykę za posag Zosi, nic słuszniejszego. Niech nam tylko powie zkąd jest, czém był jego ojciec, czém on sam... Matkę już znamy.

NATALIA.

Panią Niewiarowską?

JENERAŁ.

Tak, panią Niewia... wszak żyje w Wielko-Polszce? toć chwała Bogu nie Sybir.

NATALIA.

Bądź wyrozumiałym, trochę zręcznym jak bywa stary żołnierz, a dowiesz się czy to dziecko...

JENERAŁ.

A nacóż u licha miałbym się unosić?...

Scena IV.

CIŻ, MAŁGORZATA, potém ZOSIA.

JENERAŁ.

Małgorzato, patrz jak jesteś nieostrożna! ledwo żeś téj nocy mojéj córki o śmierć nie przyprawiła; zapomniałaś niebacznie...

MAŁGORZATA.

Zosi? mego dzięcięcia? co téż pan jenerał mówi!

JENERAŁ.

Zapomniałaś wynieść kosz z kwiatami z jéj pokoju... zbyt mocny zapach ją odurzył, ledwo nie omdlała.

MAŁGORZATA.

A to co nowego! wyniosłam kosz z salonu przed zjechaniem indagnacyi... wszak pani widziała że go już niebyło kiedy państwo wstawali od stołu.

NATALIA.

Mylisz się, zapominasz.

MAŁGORZATA.

Czym ja ślepa i głucha? Pani sama zerwała kwiatek do ustrojenia Zosi, i przed obiadem kosz wynieść mi kazała.

NATALIA.

Zmyślasz... tyś go zaniosła do Zosi.

MAŁGORZATA.

Gdzie zaś, pod ganek.

NATALIA, do jenerała.

Czyś go tam widział téj nocy?

JENERAŁ.

Nie.

NATALIA.

Ja sama go z pokoju Zosi wyniosłam i postawiłam tutaj.

MAŁGORZATA.

Panie, na rany boskie, przysięgam...

NATALIA.

Nie przysiegaj! (wołając). Zosiu!

JENERAŁ.

Zosiu! (Zosia wchodzi).

NATALIA.

Czy kosz z kwiatami był u ciebie téj nocy?

ZOSIA.

Tak, biedna Małgosiu, pewno przez zapomnienie zostawiłaś.

MAŁGORZATA.

Albo że ktoś go do panny zaniósł naumyślnie, żeby zachorowała.

NATALIA.

Co ten *ktoś* ma znaczyć?

JENERAŁ.

Głupia stara, jeśli ci pamięć niedopisuje, to nieobwiniaj nikogo.

ZOSIA, do Małgorzaty.

Ani słowa. (głośno). Przypomnij sobie, Małgosiu.

MAŁGORZATA.

Prawda, prawda... to tak było pozawczoraj a nie wczoraj.

JENERAŁ, do siebie.

Ona u mnie od lat dwunastu... jéj upór mię zastanawia. (biorąc Małgorzatę na stronę). A ten kwiatek zerwany dla Zosi?...

MAŁGORZATA, patrząc z ubocza na Zosię.

Prawda, prawda... biedna moja głowa... żem stara, to już nie wiem co mi się roi.

JENERAŁ.

A śmiesz posądzać kogoś w domu o myśl tak występną...

ZOSIA.

Przebacz jéj, papo; ona mię tak namiętnie kocha, że czasem przytomność traci.

MAŁGORZATA, do siebie.

A jednak pamiętam żem przy Felixie o tém mówiła.

JENERAŁ, do siebie.

Czy mię żona i córka chciałyby wyprowadzić w pole? Stary lis jak ja nieda się zażyć z téj mańki... Jest w tém coś niezwykłego.

NATALIA.

Małgorzato, każ przynieść herbatę, jak tylko pan Różewski zejdzie... Felixowi powiedz niech odbierze dzienniki.

MAŁGORZATA, odchodząc.

Ja się go spytam... on także musi pamiętać.

Scena V.

NATALIA, JENERAŁ, ZOSIA.

JENERAŁ.

Jeszcze mi dzień dobry nie powiedziałaś, wyrodne dziecię.

ZOSIA, całując go.

Bo też zaraz burczysz bez najmniejszego powodu... Muszę ja mój ojcze, zająć się sama twojém wychowaniem. Już czas, w twoim wieku, poprawić się z téj młodzieńczéj porywczości... Dawny żołnierz powinien mieć krew cokolwiek zimniejszą. Oto przestraszyłeś Małgorzatę, i cóż ci z tego? kiedy kobiety się boją niczego dowiedzieć się nie można, bo kłamią.

JENERAŁ, do siebie.

Dobra przestroga. (głośno). Wasze postępowanie, mościa panno, téj porywczości mię nie oduczy. Daję ci męża młodego...

ZOSIA.

Przystojnego, skromnego, dobrze wychowanego...

JENERAŁ.

Proszę słuchać kiedy ojciec mówi... męża posiadającego zamek nad Odrą, Różki, i dziesięć tysięcy talarów intraty, pomijając zyski handlowe; a ty mu dajesz od kosza!... Jesteś wolna, to prawda, i możesz rządzić twojém sercem podług własnego natchnienia; lecz jeżeli ci się Różek niepodoba, może dla nazwiska, wyznaj nareszcie czyś innego wybrała... bo ja go już widzę przed sobą.

ZOSIA.

Masz więc wzrok bystrzejszy odemnie... A jak wygląda?

JENERAŁ.

Lat trzydzieści kilka... wzrost jaki taki... figura... mniejsza o to; on się mnie podoba, a więc i tobie podobać się powinien. Nie majętny, to prawda; ale co lepsza, umiejętny: już do rodziny należy.

ZOSIA.

Do rodziny? ja tu nieznam żadnych krewnych; same Szlązaki.

JENERAŁ.

A cóż tobie ten Stanisław zawinił że nim tak pomiatasz?

ZOSIA.

Stanisław? któż to ci tąkie bajki plecie...

JENERAŁ.

Więc ty nigdy o nim nie myślałaś?

ZOSIA.

Nigdy!

NATALIA, na stronie.

Kłamie; patrz jak się rumieni!

ZOSIA.

Zgaduję czemu pani posądza mię o skłonność dla naszego sługi... chce żebyś powiedział: kiedy nie kochasz Stanisława, to idź za Różewskiego. (do Natalii.) Więc pani bardzo idzie o to żeby mię z ojcowskiego domu wypędzić?

NATALIA.

Jego żoną ty niebędziesz.

JENERAŁ, do siebie.

Cóś żywo z sobą rozmawiają... Stanisław mi wyjaśni... (głośno). Więc ty go całkiem nie kochasz?

ZOSIA.

Czy ja... ja niechcę pójść za mąż... jestem szczęśliwa... to serce, ta jedyna własność którą nam kobietom Bóg na wyłączne posiadanie zostawił, do mnie saméj należy; i niewiem czemu pani Wojnicka, która nie jest moją matką, przywłaszcza sobie moje uczucia.

NATALIA.

Jesteś moją pasierbicą, to prawda; ale twoje szczęście jest mojém najdroższém życzeniem: i gdybyś kochała Stanisława, to ja sama...

JENERAŁ, całując rękę Natalii.

Tyle dobroci...

ZOSIA, do siebie.

Dość tego... już nie zniosę...

JENERAŁ.

Oto Stanisław! (do siebie). Zapytam się go bez ogródki, po żołniersku; tak się przecież czego dowiem.

Scena VI.

CIŻ, STANISŁAW.

JENERAŁ.

Przystąp, Stanisławie. Od półczwarta roku jesteś z nami, i dajesz nam stale twojego poświęcenia dowody. Tobie to winienem sen spokojny, pomimo wzrostu rękodzielni i rozwoju naszych stosunków kupieckich. Fabryka jest teraz prawie naszą wspólną własnością; i chociaż dość okrągłą płacę pobierałeś, korzyści twoje nie są na równi z wniesionemi zyskami. Ja wiem zkąd ta bezinteresowność pochodzi.

STANISŁAW.

Z mojego sposobu myślenia, jenerale.

JENERAŁ.

Może być; ale i serce ma w niéj wielki udział, nieprawdaż?... No, Stanisławie, miéj ufność we mnie; wiesz co ja myślę o różnicach społecznych, ślepym trafem zrządzonych: wszyscyśmy synami własnéj pracy, ja sam byłem prostym żołnierzem. Wszystko mi powiedziano; kochasz tutaj pewną figurkę... obecną téj rozmowie: a jeśli jéj się trochę podobasz, weźmiesz ją za żonę. Pani Wojnicka wstawiła się za tobą, a twoja sprawa już w mojém sercu wygrana.

STANISŁAW.

Pani Wojnicka wstawiła się za mną? czy być może! (rzucając się do stóp Natalii). Ach, pani! wielkość jéj duszy dopie-

ro poznaję; jesteś nadludzką istotą, aniołem!... (biegnąc do Zosi). Zosiu! moja Zosiu!

NATALIA, do jenerała.

Masz dowód jasny.

ZOSIA.

Czym ja kiedy panu jedném słowem, jedném spojrzeniem, dała prawo tak moje imie wymawiać? Dziwię się bardzo żem mogła wzniecić uczucia które innym osobom pochlebiać mogą, lecz których ja całkiem nie podzielam. Nieco wyżéj moje myśli sięgają.

JENERAŁ.

Zosiu, moje dziecię, to zbytnia surowość. Jakieś w tém nieporozumienie...

STANISŁAW.

Kiedy pani Wojnicka, kiedy sam jenerał przyzwala...

ZOSIA na stronie, do Stanisława.

Zginęliśmy.

JENERAŁ.

A więc staję się tyranem, i będę siać ukazami. Powiedz mi cóś Stanisławie o twojéj rodzinie.

ZOSIA.

Widzisz!

JENERAŁ.

Gdzie twoja matka?

STANISŁAW.

W Poznańskiém.

JENERAŁ.

A twój ojciec?

STANISŁAW.

W grobie.

JENERAŁ.

Musiał mieć stopień przynajmniéj równy randze mojego ojca, byłego pazia króla Stanisława?...

NATALIA, do siebie.

Już rozłączeni na wieki.

STANISŁAW, do Natalii.

Zrozumiałem. (do jenerała). Może być że we śnie, we śnie już bardzo dawnym, w marzeniu tak lubém dla biednych opuszczonych sierot... bo marzenia są jedyną pociechą cierpiących... może być że w takiém chwilowém złudzeniu, kiedyś uroiłem sobie szalone szczęście należeć do zacnéj jenerała rodziny... ale przyjęcie jakiego dziś od panny Zofii doznaję, stłumiło nadzieje mego serca na zawsze!... żałuję nawet że w niém powstały... Teraz dopiero jestem całkiem zbudzony. I ubóstwo ma swoją właściwą dumę; szanować ją trzeba, równie, jenerale, równie jak twoją cześć dla Napoleona. Nie jestem posagowym żebrakiem. (do Natalii). Srogo się pani pastwisz nad nami!

NATALIA.

Różewski będzie jéj mężem.

JENERAŁ, do siebie.

Żal mi chłopaka. (do Zosi). Ale patrz, on wcale do rzeczy, ja go kocham szczerze. (do Stanisława, na stronie). Ja na twojém miejscu, w twoim wieku, zmusiłbym... Nie, do diabła! to moja córka!

STANISŁAW na stronie, do jenerała.

Jenerale, odzywam się do twojego honoru... Daj mi słowo że o tém co ci wyjawię, najgłębszą tajemnicę dochowasz.

JENERAŁ.

I przed Natalią także?

STANISŁAW.

Przed nią, szczególniéj.

JENERAŁ, do siebie.

A więc się oboje Natalii strzegą... ona wczoraj, on dziś... Tam do licha!... (głośno). Masz słowo rycerskie człowieka, który jeszcze żadnéj przysięgi w życiu swojém nie złamał.

STANISŁAW.

Po zniewadze która mię zbyt cierpko dotknęła, rażony jakby piorunem wzgardą panny Zofii, dłużéj już tu pozo-

stać nie mogę! Jadę więc, po złożeniu dziś jeszcze rachunków w ręku jenerała; téj nocy kraj opuszczam, a za dni trzy Europę, jeśli znajdę w Gdańsku odpływający okręt do Ameryki.

JENERAŁ, do siebie.

Jak odjedzie, tak i wróci. (głośno). A córce, czy wolno powiedzieć?

STANISŁAW.

Jéj saméj tylko, jeśli koniecznie.

JENERAŁ.

Zosiu, tak go niedobrze powitałaś, że zakład mój bez zarządu pozostanie, bo téj nocy jeszcze Stanisław odpływa do Ameryki.

ZOSIA.

Tém lepiéj; sam przez siebie to czyni, coby zapewne za twoją poradą musiał uczynić.

JENERAŁ.

Ameryka, to nie za płotem. Klimat niewdzięczny, zabójczy.

ZOSIA.

Nie jeden się w niéj wzbogacił.

JENERAŁ, do siebie.

Całkiem mu nie przychylna. (do Stanisława). Przed twoim odjazdem, przyjm odemnie jakieś wsparcie... pożyczkę dla zapewnienia przyszłości.

STANISŁAW.

Dzięki panu jenerałowi; to co mam u niego będzie mi dostatecznem. Wyjazd mój choć nagły, żadnego uszczerbku fabryce nie przyniesie... Gabrych przezemnie wyuczony we wszystkiém zastąpić mię potrafi. Jeśli jenerał chce się ze mną przejść do zakładu, wszystko w porządku zastanie.

JENERAŁ, do siebie.

Gabrych! a jeszcze się dziś rano po alei zataczał!... Pójdę po Litwina; on mi sam choć stary i zazdrosny jakąś receptę zapisze... (głośno). Służę ci Stanisławie... Niech panie na nas poczekają.

Scena VII.

ZOSIA, NATALIA.

ZOSIA, zasuwając rygle.

Czy pani wierzy w to że miłość prawa, miłość która w sobie zawiera i uświęca wszystkie ziemskie słodycze, która nam niebieskie rozkosze przeczuwać daje, że taka miłość jest nam droższą nad samo życie?

NATALIA.

Czytałaś, moja droga, zeszłego wieku romanse. To co mówisz jest trochę nadętém, lecz prawdziwém.

ZOSIA.

Więc mię pani przyprawiłaś o samobójstwo.

NATALIA.

Żałujesz żem ja go sama na sobie nie spełniła; a gdybyś mię do tego zniewolić umiała, sprawiłoby ci to zapewne tę samą radość jaka moją duszę przepełnia.

ZOSIA.

Ojciec mój powiada że wojna między ludami oświeconemi ma swoje prawa; lecz wojna którą mi wydałaś, jest dzikich ludzi udziałem.

NATALIA.

Naśladuj mię, jeśli możesz. Lecz przeciwko mnie nic całkiem nie zdołasz! Różewski będzie twoim mężem. On ma szacowne zalety; jest rozsądny, pojętny, cierpliwy, a czasem nawet i dowcipny... wierzaj mi, będziesz z nim bardzo szczęśliwa.

ZOSIA.

On podobno kuzynem pani... Więc pani myślisz że jéj spokojnie pozwolę być żoną Stanisława?

NATALIA.

Po kilku słowach téj nocy wyrzeczonych, na co się nam zdadzą obłudne wybiegi? Kochałam Stanisława, już wtenczas kiedyś ty Zosiu miała lat ośm.

ZOSIA.

Lecz masz ich pani trzydzieści z górą!... A ja, stosowna wiekiem do niego... Nienawidzi cię, brzydzi się tobą, to mi sam powiedział; niechce mieć żadnych związków z kobietą która i jego tak zdradzić może, jak już mego ojca zdradziła.

NATALIA.

W oczach Stanisława, moja miłość ku niemu wszystkie moje winy rozgrzeszy.

ZOSIA.

On dzieli moje dla pani uczucie, głębokiéj wzgardy.

NATALIA.

Czy tak myślisz?... To nic nie zmienia! przeciwnie. Zemsta nas połączy, jeżeli miłość nie starczy. Sprowadzając się tutaj, czy nie wiedział kto jestem?

ZOSIA.

Zapewnie uwiedziony podstępem, podobnym do tego którym nas dzisiaj zgubiłaś.

NATALIA.

Słuchaj, dziecię; jedno słowo cały ten spór zakończy. Czyś nie powiedziała sobie sto razy, tysiąc razy, w tych chwilach w których dusza goręcéj się w łonie rozpala, że największe dla Stanisława poniosłabyś ofiary?

ZOSIA.

Bez wątpienia.

NATALIA.

Że oddałabyś mu życie, szacunek, wieczne zbawienie, wszystko na świecie?

ZOSIA.

O gdyby cóś więcéj jeszcze można poświęcić jak samą siebie, niebo i ziemię!

NATALIA.

Więc to coś ty umyśliła, już ja wykonałam! Wierzyszli teraz iż nic mię zatrzymać nie zdoła, nawet śmierć sama?

ZOSIA.

Pani mię zmuszasz do téj ostatniéj obrony. (Natalia siada na kanapie). O Stanisławie! nasza miłość, to cóś więcéj jak życie. (do Natalii). Tę całą krzywdę którą nam pani wyrządzasz, sama powetujesz; te trudności nieprzebyte, które się między nami wznoszą, przezwyciężysz; téj władzy którą masz nad moim ojcem, użyjesz aby przebłagać jego nienawiść ku synowi zdrajcy Zbroińskiego.

NATALIA.

Czy tak sądzisz?

ZOSIA.

Tak, pani.

NATALIA.

A jaką masz broń tak straszną, niezłomną, żeby mię zmusić do tego?

ZOSIA.

Wiesz że wojujemy z sobą jak dzicy ludzie.

NATALIA.

Powiedz raczéj jak kobiety... to krwawiéj. Dzicy ludzie szarpią tylko ciało; my godziemy w serce, w miłość własną, w honor: my w całą duszę kobiecą miotamy pociski, strzelamy do szczęścia!...

ZOSIA.

Tak, ja to wszystko u pani dosięgnę... Więc, droga i czcigodna macocho, jutro, nie późniéj, zniszczysz wszystkie zapory dzielące mię od Stanisława; albotéż mój ojciec, jéj mąż, dowie się o całém jéj postępowaniu, przed i po zamężciu.

NATALIA.

Niewiniątko! nigdy ci nie uwierzy.

ZOSIA.

A czy uwierzy własnym oczom?

NATALIA, zrywając się.

Jakto?

ZOSIA.

Byłam u Stanisława... znasz moją ciekawość... znalazłam u niego listy ręką pani pisane... wzięłam je; one zaślepionemu ojcu dowiodą...

NATALIA.

Co dowiodą?

ZOSIA.

Wszystko... tak, wszystko!

NATALIA.

Ależ, nieszczęsne dziecię, to kradzież i zabójstwo! a tyś jeszcze tak młoda...

ZOSIA.

Czyliż pani dopiero co mojego szczęścia nie zabiła? nie zmusiła mię do zaparcia się przed ojcem i Stanisławem mojéj miłości? Czy ja teraz umrzeć powinnam?

NATALIA, do siebie.

O niczém nie wie... to jakiś podstęp. (głośno). Ja nigdy listów niepisałam... to fałsz; to być nie może... gdzież są te listy?

ZOSIA.

Mam je...

NATALIA.

W domu?

ZOSIA.

Tam gdzie są, nigdy ich pani nie znajdziesz.

NATALIA, do siebie.

Szaleństwo, z obłędnemi widziadły, mózgiem moim wstrząsa... chęć krwi palce mi wypręża... Pojmuję że można kogoś zabić... Ach! ja bym ją chciała... Boże! nieopuszczaj mię, nieodbieraj mi rozumu!

ZOSIA, do siebie.

Dzięki ci Stanisławie, że mogłam jéj oddać te męczarnie... Twoja miłość mię zemściła, ona mię zbawi.

NATALIA, do siebie.

Musi je mieć przy sobie... ale jak się przekonać? Ach! wiem. (zbliżając się powoli). Zosiu, gdybyś ty miała te listy oddawna, wiedziałabyś czém Stanisław jest dla mnie; musisz więc je mieć od wczorajsza dopiero.

ZOSIA.

Od dziś rana.

NATALIA.

Czytałaś?

ZOSIA.

Czytałam dosyć żeby się przekonać że cię zgubią. (Słychać lekkie pukanie we drzwi).

NATALIA.

Nie trwóż się, to zapewnie Małgorzata.

ZOSIA.

O! ja się teraz niczego nie boję.

NATALIA.

Zosiu, życie się dla ciebie zaczyna, dla mnie kończy. Stanisław jest młodzieńcem dobrze wychowanym, wyższym nad innych; Stanisław żył prawie w naszym progu, widywałaś go codziennie, jemu więc pierwsze wzruszenia duszy święciłaś... Ja to pojmuję, to zwykły bieg rzeczy. W twojém miejscu, zapewne moje uczucia byłyby te same. Lecz ty nieznasz co to jest świat, co to są ludzie. A gdybyś się pomyliła, tak jak wiele innych się myli? bo wierzaj mi, że to się zdarza. Ty możesz jeszcze wybierać; dla mnie już wszystko skończone, mnie już wybór nie służy. Mam lat trzydzieści dwa; Stanisław jest dla mnie wszystkiém na świecie, i choćby był nikczemnym, zmiennym, obłudnym, choćbym go już cenić i kochać przestała, wiesz jak nierozerwane związki nas łączą; poświęciłam mu wszystko, to nawet czegobym nigdy poświęcić nie była powinna, honor zbyt ufnego starca. Pole przed tobą otwarte; jesteś młoda, urodna, majętna, możesz pokochać innego, i lepiéj niż dzisiaj kochasz: gdyż i to się zdarza... Oddaj mi Stanisława,

bo on mój, a niewiesz jak wierną poddaną będziesz mieć we mnie... będę ci więcéj niż matką, więcéj niż przyjaciołką... będę zaklętą duszą na twoje skinienia posłuszną... (Słychać u drzwi pukanie). Litości! (pada na kolana z ręką wzniesioną na stanik Zosi). Oto jestem u stóp twoich, a tyś moją rywalką... czym nie dosyć poniżona? o gdybyś wiedziała co to za męka!... Zlituj się nad nieszczęsną... (Pukanie silniejsze; Natalia korzysta z przestrachu Zosi dla zapewnienia się o listach). Oddaj mi życie, nadzieję! (do siebie). Tu je schowała!

ZOSIA.

Ach! zostaw mię pani... czy mam zawołać o pomoc? (odpycha Natalią i otwiera drzwi).

NATALIA, do siebie.

Odgadłam że są przy niéj! godziny tam zostać nie powinny.

Scena VIII.

TEŻ, JENERAŁ, STAŃSKI.

JENERAŁ.

Czemu drzwi zamknięte? skądże ten krzyk, Zosiu?

STAŃSKI.

Twarz twoja bardzo zmieniona, moje dziecię... daj rączkę.

JENERAŁ, do Natalii.

I tyś także mocno wzruszona.

NATALIA.

Ach, prawda! wziął nas śmiech pusty, mówiąc o Gabrychu... Nieprawda Zosiu żeśmy się bardzo śmiały?

ZOSIA.

Tak, bardzo śmiały...

STAŃSKI z cicha, do Zosi.

Nieprawda... ogromne kłamstwo.

JENERAŁ.

Czy niesłyszałyście pukania?

ZOSIA.

Słyszałyśmy, ale pani myślała że to Małgorzata... obieśmy zanosiły się od śmiechu.

JENERAŁ, do Stańskiego.

Obie się na mnie sprzysięgły... (głośno). Ale skądże ten śmiech?

NATALIA.

Ach, mój Boże! zaraz chcesz wiedzieć o wszystkiém, co, jak, gdzie... Poczekaj, niech o herbatę zadzwonię.

JENERAŁ.

Ale przecież...

NATALIA.

To istna tyrania!... Zamknęłyśmy się żeby nam nikt nie przeszkadzał w rozmowie. Czy dość jasno?

STAŃSKI.

Bardzo jasno.

NATALIA z cicha, do jenerała.

Chciałam jéj wydrzeć tajemnicę... bo nam cóś ukrywa głęboko... a tyś mi przeszkodził, ty o którego więcéj tu idzie jak o mnie, bo to krew twoja... wtenczas kiedy śmiechem, igraszką, zabawą, wszystko byłabym od tego dziecka otrzymała.

JENERAŁ, do siebie.

Odmiana frontu... (głośno). Pani Wojnicka, od czasu przyjazdu tego Szlązaka...

NATALIA.

Albo może od króla Łokietka...

JENERAŁ.

Proszę moich słów nie przedrzeźniać. Od wczorajszego dnia, nic się tu zwykłym porządkiem nie dzieje. Cóż do kata! nie powiesz mi pani...

NATALIA.

Pierwszy raz słyszę takie wyrazy, panie jenerale. (Felix wchodzi). Felixie, herbatę. Czy ci się już dwunastoletnie szczęście sprzykrzyło?

JENERAŁ.

Nie jestem i nigdy nie będę despotą. Przed godziną, zawcześnie przyszedłem, kiedyś ze Stanisławem rozmawiała; i teraz znowu niewczas przychodzę, kiedyś się z Zosią zamknęła. Wreszcie, téj nocy...

STAŃSKI.

Jenerale, kłóć się o co chcesz z żoną, byle sam na sam. Kazałeś mi się żenić, a to mię nie zachęca. (Słychać stąpanie na ganku). Otóż zapewnie i Różewski... słyszę go po chodzie. (do jenerała). Przyrzekłeś mi co innego... miałem ja nieraz do czynienia z kobietami, i jako doktor jam niejednę wyspowiadał; trzeba czekać aż się same wygadają... dość je mieć na baczności. Inaczéj przymus wyciska łzy; a jak raz systemat hydrauliczny się rozrucha, utopią cię, choćbyś był pierwszym w świecie pływakiem. (Felix przynosi samowar, Małgorzata dzienniki).

Scena IX.

CIŻ, RÓŻEWSKI, FELIX i MAŁGORZATA.

RÓŻEWSKI.

Łaskawe panie darują; jużem chciał im podesłać się pod nóżki, ale przez drzwi zamknięte nie mogłem. Panie jenerale, dzień dobry. (Jenerał czyta dziennik i ręką pozdrawia). A, mój wczorajszy przeciwnik... Czy pan przychodzisz się odegrać? stoję na usługi.

STAŃSKI.

Nie, przychodzę pić herbatę. do siebie. Znów jakieś pachnidła!... czy go licho przyniosło!

RÓŻEWSKI.

Więc tu jeszcze trwa ten zwyczaj angielski, chiński i moskiewski?

ZOSIA.

Czy pan moskiewskich zwyczajów nie lubisz?

RÓŻEWSKI.

O, niecierpię. Wszak Moskwa jest macochą Polski... co więcéj, rywalką.

ZOSIA.

Może pan woli kawę?

NATALIA.

Małgosiu, kawy.

RÓŻEWSKI.

Nie, będę pić te ziółka... choćby przez ciekawość tylko. Dla przypodobania się panu Stańskiemu. O dwunastéj podobno śniadanie, zepsułbym sobie białą kawą apetyt. Może téż Anglicy i Chińczycy nie tak zupełnie głupi...

STAŃSKI.

Jak pan Różewski powiada. To napój bardzo zdrowy.

RÓŻEWSKI.

Dla chorych. Za naszych przodków téj rośliny nie znano.

STAŃSKI.

A tém mniéj za Mojżesza, w Egipcie.

ZOSIA.

Ta panu nie zaszkodzi... prawdziwa herbata Su-szong.

RÓŻEWSKI.

Niech będzie i suszona, byle słodka.

STAŃSKI.

Czy pan z potrzeby nosisz na sobie piżmo, czy tylko dla przyjemności?

RÓŻEWSKI.

Dla czego się pan o to pytasz?

STAŃSKI, ucierając sobie nos.

Bo ja piżma nie cierpię... to także moskiewski zwyczaj.

NATALIA, z uśmiechem.

Doktorze, masz „Gwiazdkę Cieszyńską.“ (do Zosi). Pogadaj z gościem, ja się zajmę samowarem. (Felix i Małgorzata wychodzą).

RÓŻEWSKI.

Może pannę Zofią moja konwersacya, równie jak moja osoba nie bawi?

ZOSIA.

I owszem, myli się pan...

JENERAŁ.

Różek.

RÓŻEWSKI.

Już wiemy... (do Zosi). Ja się nigdy nie mylę.

ZOSIA.

Jeśli pan tak łaskaw że mię w swoim zamku nad Odrą już nie chce uwięzić, posiada w moich oczach wszystkie zalety mogące rozczulić panny Życkie, Skibickie, Ogrodzińskie, Cybulskie i tam daléj.

STAŃSKI, czytając dziennik.

Panny tandetowe, do nabycia za pomierną cenę...

RÓŻEWSKI.

Ach! jak panna Zofia srogo żartuje z odpalonego młodzieńca, mającego przecież dla pociechy dziesięć tysięcy talarów intraty! Im dłużéj tu zostaję, tém mocniéj cenię co straciłem. Szczęśliwy pan Niewiarowski!

ZOSIA.

Szczęśliwy, że służy u mojego ojca? Biedny Stanisław, niema czego mu zazdrościć.

NATALIA.

Panie Różewski... czy więcéj cukru?

RÓŻEWSKI.

Już dosyć.

NATALIA.

A śmietanki?

RÓŻEWSKI.

Proszę, proszę... z kożuszkiem. Pewno krówki szwajcarskie. To złote runo.

STAŃSKI.

A czy pan zna się na gospodarstwie?

RÓŻEWSKI.

Trochę... jak pan na pigułkach... (do Zosi). Więc pan Stanisław nie jest tym którego... któremu winienem moją odprawę? Jest przecież bardzo do smaku pani jenerałowéj.

ZOSIA, do siebie.

Co za plaga, te wiejskie natręty...

RÓŻEWSKI, do siebie.

Muszę się nieco ubawić, nim odjadę. Inaczéj wróciłbym do siebie z kwitkiem.

NATALIA.

Panie Różewski, jeżeli chcesz cóś pożywniejszego, oto ozór...

STAŃSKI.

Wołowy, i wędzony.

RÓŻEWSKI.

Czy w aptece?... dziękuję pani.

NATALIA do Różewskiego, na stronie.

Wszystko dla pana nie stracone...

RÓŻEWSKI.

Ach, pani, jam dużo rozmyślał od mojego tu przybycia...

NATALIA.

Doprawdy?... Panie Stański, czy jak zwykle?

STAŃSKI.

Jeśli łaska.

NATALIA, do siebie.

Kilka kropel opium w filiżankę Zosi, jedną godzinę uśpienia, a listy do mnie powrócą!

STAŃSKI, do siebie.

Czy mi się w oczach mieni? przysiągłbym że cóś do filiżanki Zosi dolała...

RÓŻEWSKI.

Biedny Stanisław, powiedziała panienka... Nie tak on biedny jak się wydaje... o wiele bogatszy odemnie.

ZOSIA.

Zkąd pan wiesz o tém?

RÓŻEWSKI.

Zkąd? przypadkiem... od pana prokuratora Dobrzyckiego.

NATALIA.

Masz, Zosiu. (podaje jéj filiżankę).

STAŃSKI, do siebie.

Nie, to być nie może... przywidzenie.

RÓŻEWSKI.

Ale bo téż ten pan Stanisław za bardzo skryty.

ZOSIA, do siebie.

Czy miałby znać jego nazwisko?

RÓŻEWSKI.

Przypomniałem sobie że u państwa Skibickich mówiono...

ZOSIA.

Co mówiono?

RÓŻEWSKI.

A! jak mię teraz panna Zofia ciekawie słucha... Miałbym się za szczęśliwego gdyby z równém zajęciem słuchała kogoś o mnie mówiącego...

STAŃSKI.

Plotki są jedynym romansem wielu starych panien.

RÓŻEWSKI.

Co pan mówisz o plotkach.

STAŃSKI.

Nic... to raczéj plotki cóś tam o nas gadają. (do siebie). Uderz w stół, a nożyce zabrzęczą.

ZOSIA.

Jak dziwny smak w téj herbacie... czy nieznajdujesz pan?

RÓŻEWSKI.

Trzeba zapytać pana Stańskiego, on się zna na rumianku... Chcesz pani zwrócić na ten specyał tok naszéj rozmowy... Ja wiem co to znaczy. Więc silniéj jeszcze uderzę jéj uwagę, kiedy jéj powiem że pan Stanisław jest...

ZOSIA.

Jest... czémże? Co za męka!

RÓŻEWSKI.

Panem milionowym, jak ja... I co więcéj, posiada skarb nieoceniony, serce anioła.

ZOSIA, do siebie.

Jakże mię ten trzpiot przestraszył... (wstaje z filiżanką; Stański ją chwyta z jéj ręki).

STAŃSKI.

Pozwól, Zosiu, odniosę. (oddaje swoją filiżankę Natalii, zamienioną za filiżankę Zosi)

JENERAŁ.

Co tobie, Natalio... czemu tak dziwnie patrzysz na Stańskiego?...

STAŃSKI, kosztując.

To laudanum... szczęściem doza małoznacząca... cóś tu szczególnego przewiduję... ale czuwam nad niemi. (głośno). Panie Różewski, jesteś szpakiem nie lada... (Różewski wyjmuje chustkę i nos sobie uciera). A! dobrze, wet za wet.

RÓŻEWSKI.

Masz pan odegranę.

STAŃSKI.

Czy czujesz się zdolnym wyprowadzić jenerała do fabryki, i godzinę go tam przytrzymać?

RÓŻEWSKI.

I dwie... ale trzebaby mi małego.

STAŃSKI.

Próżnuje w szkole, aż do obiadu.

RÓŻEWSKI.

Więc szkoda, sam nie mogę.

STAŃSKI.

Proszę pana; jesteś zacnym człowiekiem, trzeba koniecznie. Czy kochasz Zosię?

RÓŻEWSKI.

Wczoraj kochałem; ale dziś rano, niewiem. A do czegóż to panu potrzeba?

STAŃSKI.

Powiem, nieco późniéj.

RÓŻEWSKI, do siebie.

Ja sam odgadnę. (głośno). Zgoda; pójdę na ganek, i wrócę nibyto z poleceniem od Stanisława... Oto właśnie nadchodzi. (idzie ku niemu na ganek).

ZOSIA, schylając głowę na kanapie.

Jakaś mię senność porywa... nadaremnie...

Scena X.

CIŻ, STANISŁAW.

STANISŁAW.

Jenerale, trzebaby nam pójść do składu fabrycznego, dla sprawdzenia rachunków.

JENERAŁ.

Służę ci.

ZOSIA, uśpiona.

Stanisł...

RÓŻEWSKI, do siebie.

I we śnie! to mi sympatya!... (głośno). Jenerał mi pozwoli skorzystać z téj sposobności dla zwiedzenia jego tak słynnéj sukiennicy...

JENERAŁ.

Chętnie, panie Różek.

RÓŻEWSKI.

Różewski.

NATALIA, do siebie.

Wychodzą... los mi sprzyja.

STAŃSKI, do siebie.

Los, to ja jestem. (Jenerał wychodzi z Różewskim i Stanisławem).

Scena XI.

NATALIA, STAŃSKI, ZOSIA uśpiona, MAŁGORZATA w głębi.

NATALIA.

Doktorze, czy jeszcze filiżankę?

STAŃSKI.

Dziękuję... tak jestem w powstaniu lipcowém zatopiony, żem jeszcze pierwszéj nieskończył.

NATALIA, wskazując Zosię.

Patrz, biedne dziecię, usnęła.

STAŃSKI.

A, prawda... na dobre.

NATALIA.

Nic dziwnego. Wystaw sobie pan że do trzeciéj z rana oka niezmrużyła... Mieliśmy popłoch téj nocy, początek pożaru.

STAŃSKI.

Początek, szczęście że nie koniec... Pomogę pani.

NATALIA.

Nie, dziękuję. Małgosiu, zanieśmy ją do pokoju, tam jéj epiéj będzie... (wynoszą śpiącą Zosię).

Scena XII.

STAŃSKI, FELIX.

STAŃSKI.

Felix!

FELIX.

Co pan rozkaże?

STAŃSKI.

Czy jest tu szafa osobna, do zamknięcia czegoś?

FELIX.

Jest, za panem.

STAŃSKI.

A, dobrze. Nie mów ani słowa o tém nikomu w świecie. Bo ja chcę jenerałowi spłatać figla; a gdybyś gadał, to by się nie udało.

FELIX.

Będę milczał jak ryba.

STAŃSKI po zamknięciu filiżanki, chowając klucz do kieszeni.

On o tém będzie pamiętał, i w razie potrzeby, zaświadczy. (głośno). Teraz mię zostaw samego z panią, i pilnuj żeby nikt nie wszedł.

FELIX, wychodząc.

Małgorzata miała racyą; tu się cóś dzieje.

MAŁGORZATA, wracając.

To nic nie będzie; śpi jak dziecię w kolebce. (wychodzi).

Scena XIII.

STAŃSKI, sam.

Co może poróżnić dwie kobiety żyjące dotąd z sobą w zgodzie, to wszyscy lekarze, trochę moraliści, wiedzą dokładnie... Ja tu nikogo nie widzę, oprócz Stanisława i siebie... Nie ja, co do tego zbyt jestem pewny; a może ten pan Stanisław?... Kto wie!... Biedny jenerał! W ciągu całego życia, miał tylko jedną obawę... i właśnie o to... (uderzając ręką w czoło). Natalia! do ataku.

Scena XIV.

STAŃSKI, NATALIA.

NATALIA.

Ach! mam je nareszcie!... pójdę je spalić u siebie... (postrzegając Stańskiego). Pan tu zostałeś?

STAŃSKI.

Odesłałem wszystkich obecnych...

NATALIA.

Dla czego?

STAŃSKI.

Bo życzyłem się z panią rozprawić sam na sam.

NATALIA.

Rozprawić, ze mną? Jakim czołem pan Stański, żyjący na naszéj łasce, śmie żądać rozprawy z hrabiną Wojnicką?

STAŃSKI.

Na waszéj łasce! kto, ja? Wszak oprócz emerytury wojskowéj mam dwa tysiące talarów rocznéj intraty, rangę pułkownika, i co więcéj dzieciom starego mego przyjaciela cały majątek zapiszę! Ja, na waszéj łasce? Może dla tego żem tu nietylko jako przyjaciel, ale jako lekarz! Dolałaś pani krople laudanum do herbaty Zosi.

NATALIA.

Ja?

STAŃSKI.

Widziałem panią, i mam filiżankę.

NATALIA.

Filiżankę Zosi? sama ją opłukałam.

STAŃSKI.

Tak, moją, którą pani w zamian tamtéj oddałem. O! ja nie czytałem „Gwiazdki“; ja w jéj oczach czytałem.

NATALIA.

Wstydź się pan takiego rzemiosła.

STAŃSKI.

Przyznasz pani że jéj to rzemiosło może być w téj chwili bardzo pomocném; bo do mnie musisz się odwołać, gdyby, co nie daj Boże, Zosia w skutku tego napoju miała zachorować.

NATALIA.

Zachorować?... ledwiem kilka kropli przylała.

STAŃSKI.

Więc pani wyznajesz?...

NATALIA.

Co mówię!... Panie Stański, jesteś niecnym człowiekiem.

STAŃSKI.

Czy dla tego żem od pani otrzymał to wyznanie? w podobném zdarzeniu wszystkie niewiasty tę samą rzuciły mi obelgę... jużem do niéj przywyknął. Ale to nie koniec; pani mi jeszcze cóś więcéj odkryjesz.

NATALIA, do siebie.

Mam szpiega; niepozostaje mi jak tylko przerobić go na wspólnika. (głośno). Doktorze, nadto możesz mi być potrzebnym, żebyśmy się poróżnić mieli. Za chwilę odpowiem mu na wszystkie pytania. (odchodzi do sypialni i zamyka się).

STAŃSKI.

Przegrodziła się niezłomnym szańcem... Masz teraz tobie!... Oj, Litwinie! tyś jeszcze trochę dziki, nieznasz wszystkich zasadzek kobiecych!... Przegrana pewna, gwałtem szturmować niemogę. Co ona tam robi? Pewnie niszczy flaszkę wypróżnioną, *primum corpus delicti*... Na cóżem się wdał w tę całą intrygę? Na nos mi spadnie, jeżeli... A, powraca.

NATALIA, do siebie.

Spalone!... już ani śladu... jestem bez obawy. (głośno). Doktorze!

STAŃSKI.

Pani...

NATALIA.

Zosia, moja pasierbica, którą miałeś dotąd za dziewczynę pokorną, otwartą, zdobyła skrycie, podstępem, tajemnicę od której życie, honor, całe domowe szczęście czterech osób zawisło.

STAŃSKI, licząc na palcach.

Ona, jéj syn, jenerał, nieznajomy... to cztery.

NATALIA.

Tajemnicę którą sama Zosia zachować musi, pod własną zagładą.

STAŃSKI.

Tego już nie rozumiem.

NATALIA.

Wszelkie więc ślady téj tajemnicy zniszczyć musiałam... Jestem matką. A ty, doktorze, ty który się mienisz naszym przyjacielem, dobroczyńcą, byłbyś równie występnym jak ona, i więcéj jeszcze, bo ci szalone żądze kobiece za wymówkę służyć nie mogą, byłbyś potworem, zgubiłbyś mię

i siebie, jeżelibyś o jeden krok daléj postąpił na téj fatalnéj drodze podglądania i skrytych doniesień.

STAŃSKI.

Pogróżek się nie lękam. Odkąd istnieją ludzkie społeczeństwa, z tego co tutaj siejesz sama zbrodnia wyrasta.

NATALIA.

Niechcesz mię pan zrozumieć? Cztery istnienia zagrożone, pomnij pan na to. (do siebie). On się namyśla, ustąpi. (głośno). Silna więc tém niebezpieczeństwem, oświadczam panu iż mi pomożesz utrzymać zgodę i pokój w rodzinie; że natychmiast pójdziesz po to co Zosię ze snu wyzwoli. To jéj uśpienie, sam je wytłómaczysz w potrzebie jenerałowi. Zwrócisz mi filiżankę; tego żądam, to być musi. A ja, za każdym krokiem następnym, zdam ci ze wszystkiego sprawę, wszystko wyjaśnię.

STAŃSKI, wahając się.

Pani...

NATALIA.

Teraz możesz się pan oddalić, nietrzeba żeby nas razem zastano.

STAŃSKI, wychodząc.

Tyś jeszcze w moim ręku... Ja cię nakłonię, lub zginiesz.

Scena XV.

NATALIA, sama.

Ale gdzież ta filiżanka?... (wskazując na szafę). Tu może... Zamknięta!... klucz wyjęty!... Ja ją dostanę.

Akt IV.

Pokoik Zosi, biało przystrojony; łóżko w głębi, stolik okrągły na lewo.— Po téj saméj stronie, drzwi w ścianie; po prawéj, wchód.

Scena I.

ZOSIA śpiąca w krześle z poręczami, NATALIA.

NATALIA, wchodząc ostrożnie.

Dotąd jeszcze uśpiona!... choć Stański zapowiadał rychłe jéj zbudzenie... Ten sen mię trwoży... Nie wiem czemu... Oto jest jego ulubiona... Całkiem nie ładna... Owszem piękna! piękniejsza odemnie!... Czy mężczyzni nie czują tego że piękność jest tylko pozorem w kobiecie, a rzeczywistością jéj miłość... (Słychać pukanie). Otóż odwiedziny!

STAŃSKI, za sceną.

Zosiu! czy można?

NATALIA, otwierając.

Doktor Stański...

Scena II.

TEŻ, STAŃSKI.

NATALIA.

Powiedziałeś pan że ma się zbudzić?

STAŃSKI.

Za mojém przybyciem... Zosiu!

ZOSIA.

Pan Stański... gdzież jestem? dzień jasny... ja drzémię... co się ze mną działo?

STAŃSKI.

Moje dziecię, zasnęłaś po herbacie. Baliśmy się z panią Wojnicką żebyś nie zasłabła; ale to nic, chwała Bogu: skutek nocy bezsennéj.

NATALIA.

Jakże ci teraz, Zosiu?

ZOSIA.

Jam spała... byłaś przy mnie pani? (wstaje). Ach!... (kładąc rękę na piersiach). Ach, to niegodziwie! Okradłaś mię... (do Stańskiego). Czy pan także byłeś wspólnikiem téj...

NATALIA.

Co ty mu chcesz powiedzieć?

STAŃSKI.

Ja, moje dziecię? wspólnikiem jakiéj nieprawości na tobie popełnionéj? ja który cię kocham jak ojciec... czy to podobna! jakiż miałbym do tego powód...

ZOSIA.

Żaden... żaden, przyznaję.

NATALIA.

Pozwól pan, ja pomówię z nią pierwéj.

STAŃSKI do siebie, na stronie.

Dla czego milczy, czemu nie śmie wyjawić sprawcy tak występnego zamachu?... całkiem nie pojmuję.

NATALIA.

Widzisz, Zosiu, żeś nie długo miała w swojém posiadaniu listy któremi chciałaś mię przed ojcem zaskarżyć.

ZOSIA.

Pani mię rozbroiłaś podług swego zwyczaju, zdradą.

NATALIA.

Muszę się bronić, jak mogę. Obieśmy równie ciekawe; jam tylko to uczyniła... co ty u Stanisława.

ZOSIA.

Zawcześnie pani tryumfujesz; wkrótce mój odwet mieć będę.

NATALIA.

Więc wojna trwa, jak dotąd?

ZOSIA.

Nie wojna; śmiertelne spotkanie. Jedna z nas dwojga zwycięży, druga zginie!

NATALIA.

Nadto dramatycznie moja droga.

STAŃSKI, do siebie.

Ani pozoru zwaśnienia... zgodne jak dwa gołąbki. Ale, ale, pójdę po Stanisława. (chce wyjść).

NATALIA.

Doktorze!

STAŃSKI.

Pani?

NATALIA.

Filiżanka jest u mnie... wszelki ślad już zginął.

STAŃSKI.

Jak pani odkryłaś?...

NATALIA.

Mniejsza o to. (odchodzi na stronę).

ZOSIA.

Panie Stański!

STAŃSKI.

Cóż Zosiu?

ZOSIA.

Czy wiesz że mój sen był zmuszonym?

STAŃSKI.

Wiem że cię macocha uśpiła... choć już niemam dowodu... lecz w jakim zamiarze?...

ZOSIA.

Dla odebrania mi...

NATALIA

Doktorze...

ZOSIA.

Późniéj wszystko powiem.

NATALIA.

Czekam pana.

STAŃSKI, do siebie.

Muszę być jéj wspólnikiem; już oskarżyć jéj nie mogę... Ach, biedny jenerał! (wychodzi za Natalią).

Scena III.

ZOSIA, sama.

Tak, uciec z nim razem, lub zginąć... dłuższa walka z macochą mogłaby splamić honor ojca, tę najdroższą żołnierza spuściznę... on by umarł z rozpaczy... wolę go porzucić, przeczekać... może się téż kiedyś to wszystko zmieni... Ja do niego napiszę, odwołam się do litości starca, do nieskalanéj pamięci mojéj matki!... Ach czemuż inna, niegodna, niewierna, święte jéj miejsce w sercu ojcowskiém zajęła!... Niechcę się nad nią pastwić, jeśli zwyciężę; dość że jéj Stanisława odbiorę. Niech ojciec ufa w jéj cnotę, niech się łudzi do końca; a miłość moja dla tego któremu zemstę zaprzysiągł, ucieczkę moją wytłómaczy.

Scena IV.

MAŁGORZATA, ZOSIA.

MAŁGORZATA.

Czy mi panienka zdrowsza?

ZOSIA.

Zdrowsza, na pozór... ale tu, w sercu... Moja Małgosiu, co za nieszczęście dla dziewczyny stracić matkę za młodu...

MAŁGORZATA.

I do tego mieć macochę taką jak pani Wojnicka... Oj, te powtórne... chciałam powiedzieć potworne małżeństwa! Z nich zawsze wstyd i rozpacz się wyradza... Dwie rodziny w jedném gnieździe, najczęściéj sobie nieufne, nieprzychylne, od lat dziecięcych aż do grobu! Jedna zabija drugą!... Takim ojcom jabym na całe życie odebrała dzieci!... Przebacz mi Zosiu... wszakże ja ci pokorną, usłużną matką jestem; moja miłość dla ciebie wzrasta o całą nienawiść jaką cię ściga tu nieludzka macocha!

ZOSIA.

Ty, Małgosiu? ty mię znowu tak bardzo nie kochasz.

MAŁGORZATA.

Ach! moje dziecię, patrz w moje serce, wypróbuj moje przywiązanie, a zobaczysz...

ZOSIA.

Wierzę ci już; a pojedziesz ty zemną gdzie ja pojadę?

MAŁGORZATA.

Aż za morze, na tamten świat, byle z tobą.

ZOSIA.

I dzisiaj?

MAŁGORZATA.

Natychmiast... jam już w drogę wybrana.

ZOSIA.

Więc, Małgosiu, wyjedziem téj nocy, potajemnie.

MAŁGORZATA.

Wyjedziem? a dokąd?

ZOSIA.

Niewiem, ale muszę się ztąd oddalić... czy ty się wahasz?

MAŁGORZATA.

Ja! bynajmniéj... ale na co?

ZOSIA.

Na co? a czy ty wiesz że pani Wojnicka na sen mi zadała?

MAŁGORZATA.

Oj, wiem, i pan Stański wie także; bo mi Felix powiedział że na klucz zamknął filiżankę z któréj panienka piła herbatę...

ZOSIA.

Ani słowa już o tém, jeżeli mię kochasz... i jeśli prawda że mam w tobie czujną, przywiązaną matkę, idź do komnaty, zbierz wszystko co twoje, niemówiąc nikomu o naszym wyjeździe... Po północy puścimy się w drogę... dokąd? później się dowiesz. Weź wszystko co może być potrzebném do długiéj podróży... to pudełko z klejnotami zanieś do siebie... Strzeż się macochy; bo gdyby się tylko mogła domyśleć, byłabym zgubiona.

MAŁGORZATA.

Zgubiona? opuszczać dom ojcowski? nocną porą? potajemnie? zastanów się moje dziecię!

ZOSIA.

Czy wolisz żebym umarła?

MAŁGORZATA.

O nię, nie!... Już o nic się nie pytam.

ZOSIA.

Małgosiu, poprosisz Stanisława o moją roczną należytość niech ją zaraz przyniesie.

MAŁGORZATA.

Stał przed twojém oknem, kiedym tu przyszła.

ZOSIA.

Przed mojém oknem? biedny Stanisław! już myślał że mię nie zobaczy!... (Małgorzata wychodzi).

Scena V.

ZOSIA, sama.

Opuścić dom ojcowski, lub umrzeć! Niema innego wyboru... Ja znam ojca... on mię długo po świecie szukać będzie... Jakież skarby ma w sobie miłość żeby takie długi opłacać?... bo ja wszystko Stanisławowi poświęcam; cześć imienia, próg domowy, rodzinę, tak, wszystko! Lecz przynajmniéj ta niecnota traci go na zawsze! Stański z Janem Dobrzyckim wyjednają mi przebaczenie... Zdaje mi się że słyszę kroki Stanisława... To on!

Scena VI.

ZOSIA, STANISŁAW.

ZOSIA.

Ach, Stasiu mój drogi!

STANISŁAW.

Więc ja cię widzę jeszcze! Ile szczęścia!... Czy Małgorzata wie o naszém rozstaniu?

ZOSIA.

Już nie mówmy o rozstaniu... téj myśli nawet znieść nie mogę... Ja, twoja żona, ja téj nocy z tobą pojadę.

STANISŁAW.

Ach, Zosiu! czy mam wierzyć...

ZOSIA.

Umyśliłam najpierw przybyć do ciebie, gdziekolwiek będziesz; ale ta chytra kobieta mój zamiar przyśpieszyła... niemam w tém żadnéj zasługi, mnie idzie o życie.

STANISŁAW.

O życie? cóż ona zamyśla?

ZOSIA.

Ledwo mię nie zatruła... zadała mi opium dla odebrania listów które miałam przy sobie... Po tém co już śmiała dokonać, sam osądź na co się jeszcze odważy... Jeśli więc chcemy być złączeni, jeśli z jéj sideł chcemy się wydobyć

na zawsze, to jedynie ucieczką, ucieczką rychłą, tajemną. Nie rozstaniemy się już... téj nocy schroniemy się razem. Gdzie?... to do ciebie należy.

STANISŁAW.

Co za radość niespodziana, nieokreślona!

ZOSIA.

Miéj wzgląd na wszystko, mój Stasiu... Śpiesz do Wrocławia; niech twój przyjaciel Dobrzycki wyrobi nam paszport, niech przyśle podwodę... Byle mój ojciec, szczwany przez tę macochę, niemógł nas doścignąć... Zabił by mnie i ciebie, bom mu w tym liście główny powód naszéj ucieczki wykryła!...

STANISŁAW.

Wszystko już gotowe... Jan uprzedzony przezemnie, od wczorajsza mój wyjazd ułatwił... Oto moja należytość za trzyletnią służbę. (wyjmuje pugilares). To złoto jest twoje. (kładzie walek złota na stoliku). Daj mi kwit potrzebny do zdania rachunku z kasy... O trzeciéj staniemy u Jana w Wrocławiu; a za parę dni parowiec gdański poniesie nas do Stanów-Zjednoczonych: paszport prawie zbyteczny, bo jedziemy do kraju wolnego... Widzisz więc że żadnéj już niema przeszkody... (Natalia otwiera drzwi w ścianie, i staje między niemi).

Scena VII.

CIŻ, NATALIA.

NATALIA.

Oprócz mnie!

ZOSIA.

Zginęliśmy.

NATALIA.

Zapomniałaś o mnie; a ty, Stanisławie, chciałeś uciec bezemnie!... Myślałeś że ja waszéj ucieczki nie przewidzę, nie odkryję, że ja tu sama z moją rozpaczą zostanę... Więc, nierozważne dziecię, po pierwszém doświadczeniu, jeszcze raz chciałaś mię oszukać, zgubić!... To przejście dla siebie

urządziłam, by dniem i nocą czuwać nad wami. Wiedziałam o wszystkiém, jam wszystkie wasze zamiary zniszczyła!

STANISŁAW, do Zosi.

Racz mi pani dać kwit z rocznego dochodu... przed moim wyjazdem wyrachować się muszę... (do Natalii). Być może, że pani masz władzę zatrzymania tu swojéj pasierbicy; co do mnie, mam prawo ztąd wyjechać i wyjadę.

NATALIA.

Powinieneś pan pozostać i zostaniesz.

STANISŁAW.

Jesteś pani obłąkana.

NATALIA, dzwoniąc.

Zobaczym. Co to paniątko zamierza, ja wykonam otwarcie; przywołam tu jenerała: a wtenczas będziesz zmuszony wyjechać, ale z Leonem i zemną... (Felix wchodzi). Proś pana jenerała, niech tu zaraz przyjdzie.

STANISŁAW, do Zosi.

Zatrudnij ją przy sobie jakim bądź sposobem; ja dobiegnę Felixa i niedam mu z jenerałem się spotkać. Jan cię ztąd uprowadzi, odda w moje objęcia; trzeba nam koniecznie wydrzeć się z jéj przemocy... (do Natalii). Żegnam panią; niecnym zamachem na życie Zosi, ostatnie wiążące nas ogniwa zerwałaś. Od téj chwili jesteśmy wolni.

NATALIA.

Same więc skargi z ust twoich słyszę!... Wiesz ty co Zosia chciała przed ojcem o naszym związku wyjawić?

STANISŁAW.

Wiem że ją kocham, i kochać będę całe życie; wiem że ją potrafię przed twoją zemstą zasłonić; wiem że choć dziś wygnaniem rozłączeni, kiedyś na jéj miłość zasłużę. Bądź zdrowa.

ZOSIA.

O Stanisławie kochany!...

Scena VIII.

NATALIA, ZOSIA.

NATALIA.

Odszedł... niewdzięczny!... Biada wam!... Ja powiem ojcu twojemu kto był ojcem Stanisława.

ZOSIA.

Ach pani! wszak on za nim natychmiast poleci! dościgne go, zabije!...

NATALIA.

Niech zginie pierwéj nim twoim będzie!... O! ty mi go nie wydrzesz; bo ja cię tyle niecierpię, ilem jego kochała!... Oto ostatnie naszéj walki wyzwanie.

ZOSIA.

Nie, tego przenieść nie mogę... to nadto. (padając na kolana). Pani, otom u kolan twoich jak cię dziś jeszcze u moich widziałam; błagam cię ze łzami jak tyś mię błagała... Nierówna walka z tobą ztargała moje siły, upadam... niech sama zginę, ale niech jego zbawię... Za jego życie, pani, weź moje!...

NATALIA, do siebie.

Jak ona go kocha!... (głośno). Czy chcesz się wyrzec Stanisława?

ZOSIA, stłumionym głosem.

Chcę...

NATALIA upuszczając chustkę, z namiętném drżeniem.

Ty mię jeszcze zwodzisz... tyś pewną jego serca... ty myślisz żem go na zawsze straciła... Nie! to nie dosyć... trzeba mi zakładu twéj szczerości.

ZOSIA do siebie, podnosząc.

Jéj chustka... z kluczem od apteczki!... Tam trucizna... tam wolność!... (głośno). Jakiego zakładu pani wymagasz? Czy przysięgi? czy krwi mojéj? czy wiecznych ślubów przed Bogiem?

NATALIA.

Nie... jedno mię tylko przekona... czy przyjmiesz rękę tamtego?

ZOSIA.

Przyjmę.

NATALIA.

Niech was natychmiast dane słowo zaręczy.

ZOSIA.

Idź mu je pani odnieść. Czekam go, wraz z ojcem; a wtenczas...

NATALIA.

Wtenczas?

ZOSIA.

Będzie miał słowo... wraz z życiem.

NATALIA, do siebie.

Nareszcie!... (głośno). Więc się zgadzasz na wszystko?

ZOSIA.

Na wszystko.

NATALIA, do siebie.

Jak ona to mówi nienamiętnie, spokojnie... ani jednéj łzy... Cóś innego ma w myśli... (do Zosi). Jeżeliś szczera...

ZOSIA.

Pani masz duszę obłudy pełną... wszędzie widzisz kłamstwo... Idź precz odemnie, jużeś mi serce wykradła.

NATALIA, do siebie.

To szczerość nieudana. (głośno). Czy mam o tém uwiadomić Stanisława?

ZOSIA.

Możesz pani.

NATALIA.

Mnie nieuwierzy... napisz sama słów kilka.

ZOSIA, chwytając pióro.

On zostanie... lecz o mnie pamiętać będzie. (oddając kartkę). Masz pani...

NATALIA, czytając.

„Przyjęłam rękę pana Różewskiego... zostań więc... Zofia!...“ (do siebie). Tak śpieszna zmiana... czy być może? Przeczuwam jakiś podstęp... Na odjazd zezwolę... dowie się o jéj zamężciu, za granicą... a potém, do mnie wróci. (wychodzi).

Scena IX.

ZOSIA, sama.

Więc już Stanisław dla mnie na zawsze stracony... Lepiéj umrzeć, bo stałabym się podłą, jak ona sama... jéj uczennicą!... Zdaje mi się że pod jéj wpływem sercebym i rozum straciła... Zawszem to sobie myślała; świat jest rajem dla kilku, dla innych więzieniem... a ja, tęskna sierota, od kolebki prawie wygnana, o raju tylko marzyłam!... Mam klucz od biórka; wezmę co mi potrzeba żeby się z téj męki wyzwolić, a potém oddam... Małgorzata!...

Scena X.

ZOSIA, MAŁGORZATA.

MAŁGORZATA.

Jużem moje graty zebrała... teraz tu zacznę pakować.

ZOSIA, do siebie.

Niech o niczém nie wie. (głośno). Dobrze, moja Małgosiu; weź to złoto i zanieś do siebie.

MAŁGORZATA.

Więc panience ten wyjazd bardzo na sercu?

ZOSIA.

Kto wie, czy będę mogła... i kiedy... Kończ, ja zaraz powrócę.

Scena XI.

MAŁGORZATA, sama.

A ja myślałam że ta jędza niechce Zosi wydać za mąż... a dopiero co wieść jéj zamężcia z Różewskim ogłosiła...

Zosia, żoną tego Moskowicza! ten wybór trąci macochą... to być nie może, to nie będzie... Ale ten wyjazd... jakże to wszystko pogodzić? Czy Zosia kryje przedemną jaką miłość, któréj się ojciec przeciwi? On taki dla niéj powolny, łaskawy... Gdybym ja panu dała znać... O, nie! ja mojéj Zosi niezaszkodzę; prędzéj sama sobie.

Scena XII.

MAŁGORZATA, ZOSIA.

ZOSIA.

Nikt mię nie widział... (głośno). Małgosiu, zostaw mię; niech o moim zamiarze pomyślę.

MAŁGORZATA.

Wierzaj mi, lepiéjby było pierwéj z panem pogadać... on cię kocha, wyrozumie... przebaczy.

ZOSIA.

Nie, nigdy!... zaklinam cię, szanujmy jego złudzenia...

MAŁGORZATA.

Złudzenia! oj, prawda... już odchodzę...

Scena XIII.

ZOSIA, późniéj STAŃSKI.

ZOSIA, trzymając pudełko w drugim akcie widziane.

Oto śmierć!... Stański nam wczoraj o zgonie Gabrychowéj powiadał, że trzeba kilku godzin, jednéj nocy prawie, aby ta straszna trucizna cały swój skutek wywarła... że w pierwszych chwilach można jéj działanie wstrzymać, zwyciężyć... jeśli on zostanie w domu, dłużéj cierpieć będę... (Słychać pukanie). Kto tam?

STAŃSKI, za sceną.

Ja, Stański.

ZOSIA, do siebie.

On właśnie!... (otwierając). Proszę. (do siebie). Ciekawość go sprowadza, ciekawość oddali.

STAŃSKI.

Są więc między tobą i Natalią tajemnice od których życie lub śmierć zależy?...

ZOSIA.

Tak; śmierć więcéj niż życie.

STAŃSKI.

Do licha!... wtedy to moja rzecz. Teraz jesteśmy sami; możesz mi wyznać o co wam z macochą chodziło...

ZOSIA.

Już nie wspominaj nigdy téj obrzydłéj istoty... Ona jakąś dziwną klątwę wniosła do naszéj rodziny, uciśnionéj przedtém, to prawda; lecz poważanéj przez wszystkich, jak sama sprawa z którą jéj losy na zawsze związane... ona nigdy sercem do niéj nie należała... ona mego ojca oszukuje.

STAŃSKI.

Wiem o tém, oddawna.

ZOSIA.

Ona moją zgubę zaprzysięgła.

STAŃSKI.

A, tegom jeszcze nie wiedział. Jakto, czy ona godzi w twoje serce?

ZOSIA.

W serce i w życie.

STAŃSKI.

To jedno, u kobiet tak niewinnych jak ty jesteś. Uchowaj Boże aby jéj zamiar doszedł do skutku!... Chciałbym z duszy naprawić wszystko złe przez nią tu wyrządzone. Lecz odrobić dzieło tylu lat szalbierstwa, nienawiści, zdrady, tego sam nie potrafię. Pomagaj mi Zosiu, a we dwoje może jakoś to będzie.

ZOSIA.

Czego wymagasz odemnie biednéj? Jam już prawie zgubiona...

STAŃSKI.

Ty, moje dziecię! ty wiesz jak cię kocham i szanuję; powiedz mi, czy ja cię mogę uratować, pocieszyć: wszak mię twój ojciec usłucha...

ZOSIA, z dziwnym wyrazem.

Mój ojciec?... ale trzebaby pierwéj zmienić jego wyobrażenia, pokonać uporczywe przesądy... ja kocham Stanisława!

STAŃSKI.

To także mi wiadomo... no i cóż w tém tak występnego, strasznego...

ZOSIA.

Czy mi pan milczenie przyrzekasz?

STAŃSKI.

Przyrzekam, i chociaż doktor, dotrzymam.

ZOSIA.

Stanisław jest synem jenerała Zbroińskiego.

STAŃSKI.

On! wielki Boże! czy ja milczeć będę! Wierzaj mi, wolałbym sobie pół języka uciąć! Wojnicki biłby się z nim na śmierć, choć za to tylko że go przez trzy lata chował w swoim domu!

ZOSIA.

A widzisz pan że już niema ratunku. (pada wpół zemdlona na krzesło).

STAŃSKI.

Otóż masz i spazmy... (woła i dzwoni). Jest tam kto! czémprędzéj...

Scena XIV.

CIŻ, MAŁGORZATA, NATALIA i JENERAŁ.

MAŁGORZATA, przybiegając.

Cóż takiego?

STAŃSKI.

Imbryczek wody gorącéj z kwiatem pomarańczowym... co żywo!

NATALIA.

Co tobie, Zosiu...

JENERAŁ.

Czy jeszcze, moje dziecię...

NATALIA.

Nic dziwnego; my matki znamy się na tém. Tak to bywa przy rozwiązaniu całego życia.

STAŃSKI, do jenerała.

Całego życia? o cóż to idzie?...

JENERAŁ.

Dała Szlązakowi ostatnie słowo. (na stronie). Podobno jakieś miłostki o których nie chce mówić przed nami, bo kawaler ladaco... i wczoraj dopiero méj żonie wszystkie łotrostwa tego wisielca wyznała.

STAŃSKI.

A tyś jéj uwierzył na dobre... W imie Boga, nie przesądzaj niczego... Na co ten pośpiech? wszak jeszcze żyjesz, i w moim ręku długo żyć będziesz... Z wieczora o tém pomówiemy. (do siebie). Mnie trzeba zejść się z Natalią.

ZOSIA, do Natalii.

Stański wie o wszystkiém.

NATALIA.

On!...

ZOSIA.

Trzeba go ztąd koniecznie oddalić, jeśli pani niechcesz żeby się przed ojcem wygadał, żeby zgubił nas i Stanisława. (chustkę i klucz wsuwa w kieszeń Natalii, patrzącéj z obawą na rozmowę Stańskiego z jenerałem).

NATALIA.

Ja to biorę na siebie... (do Stańskiego). Doktorze, dowiedziałam się teraz właśnie od Gabrycha, że Franciszek, jeden

z najlepszych naszych tkaczy, wczoraj wplątawszy się w machinę, mocno rannym został... miałam to wchodząc panu powiedzieć.

JENERAŁ.

Franciszek ranny!... Idź, idź mój Stańsiu.

STAŃSKI.

Wszak mięszka w Wierzbnéj... (do siebie). O dobre dwie mile!

JENERAŁ.

Ale nam więcéj idzie o Zosię.

STAŃSKI, biorąc rękę Zosi.

To nic... niezdrowe balsamy Różewskiego... nerwy zdrażnione... same się uspokoją.

NATALIA.

Mogę więc pana przy niéj wyręczyć?

STAŃSKI.

Już puls daleko lepszy... (do jenerała). Zakładam się o beczkę węgrzyna że Franciszek zdrów jak ja; zbyt jasno rzeczy widzę, podług zdania pani... mam więc odprawę.

JENERAŁ, porywczo.

Co! czy ty śmiesz jeszcze...

STAŃSKI.

Oj, znowu gorączka! ja będę musiał ztąd się wynieść na Litwę... Upamiętaj się, jeśli niechcesz wiecznych wyrzutów sobie zgotować.

JENERAŁ.

Wiecznych wyrzutów?

STAŃSKI.

Miéj się na baczności... niezadługo powrócę.

NATALIA, do Zosi.

Jakże tobie teraz, mój aniele?

JENERAŁ.

Ale patrz na nie, jakie przyjazne...

STAŃSKI.

Gdzie tam!... kobiety czasem zabijają się, pieszczotami...

Scena XV.

CIŻ, prócz STAŃSKIEGO; później MAŁGORZATA.

NATALIA do jenerała, osłupiałego po ostatniém słowie Stańskiego.

O czém on ci mówił?

JENERAŁ, przechodząc przed Natalią do Zosi.

O niczém... No, Zosiu... czy tylko z dobréj woli pana młodego przyjmujesz?

ZOSIA

Z najlepszéj.

JENERAŁ.

A wczoraj przecież tak dobitnie dałaś mu od kosza...

ZOSIA.

Kaprys niewieści... namyśliłam się, i chcę się skłonić do twego życzenia.

JENERAŁ.

Czekam go tutaj za chwilę.

ZOSIA.

I ja także. (Małgorzata wchodzi z filiżanką).

NATALIA.

Zawcześnie, Małgosiu; nie dość naciągnęła... Daj! (kosztuje). Ja sama to przyrządzę.

MAŁGORZATA.

Przecież ja zawsze pannie służę, i wiem co jéj potrzeba.

NATALIA.

Jakimże tonem do mnie przemawiasz?

MAŁGORZATA.

Ale bo pani...

JENERAŁ.

Małgorzato!

ZOSIA.

Pozwól, niech sama pani zadysponuje. (Natalia wychodzi z Małgorzatą).

JENERAŁ.

Zosiuniu, tyś mi nieufna; wierzaj staremu ojcu który nadewszystko twego szczęścia pragnie... Możemy jeszcze odesłać Szlązaka.

ZOSIA.

Dałam ostanie słowo.

JENERAŁ.

Czy tak? (do siebie). Wiele niechęci w tém słowie.

NATALIA, podając filiżankę.

Masz, moje dziecię; ale ostrożnie, bo trochę gorąca.

ZOSIA.

Dziękuję mamie.

JENERAŁ, do siebie.

Mamie!... a Stański myślał... Jest z czego oszaleć.

ZOSIA.

Małgosiu, cukierniczkę. (Małgorzata idzie po cukierniczkę, jenerał rozmawia z Natalią; Zosia niespostrzeżona sypie truciznę do filiżanki, i upuszcza wypróżniony papierek).

NATALIA, do jenerała.

Czy się jeszcze gniewasz?

JENERAŁ.

Ja wcale kobiet nierozumiem, tak jak jéj narzeczony. (Małgorzata wraca do Zosi).

NATALIA.

Bo téż i żaden z was... pijże, Zosiu.

ZOSIA, po wypiciu.

Ach!

NATALIA.

Czy nadto mocna?... Drugą ci naleję.

ZOSIA, stawiając filiżankę.

Dosyć, pani... ta mi wystarczy.

JENERAŁ.

Zbyt odludnie żyjemy... trzebaby nam czasem choć z bliskiém sąsiedztwem się widywać... ze Skibnickiemi naprzykład...

NATALIA.

Już dzisiaj wieczorem to uczynię... dla niéj i dla ciebie... pojadę z wizytą. (wychodzi).

Scena XVI.

CIŻ, prócz NATALII; RÓŻEWSKI, FELIX.

FELIX.

Pan Różewski każe się meldować.

ZOSIA.

Niech wejdzie teraz.

JENERAŁ.

Bądź odważna, moja Zosiu.

ZOSIA.

Tyś moim ojcem.

RÓŻEWSKI, wchodząc.

A, przepraszam... panna Wojnicka słaba, a ja tak impetycznie wchodzę... (Jenerał skinieniem pokazuje mu krzesło). Mam siadać? więc zostaję... Przedewszystkiém, racz przyjąć panno Zofio, najszczersze podzięki za to że mię w téj świątyni niewinności przyjmujesz... Pan jenerał i pani hrabina uwiadomili mię o twoim rozkazie, który wczoraj byłbym najszczęśliwszym wykonać, a dzisiaj...

JENERAŁ.

A dzisiaj?

RÓŻEWSKI.

Z pewném podziwieniem odbieram.

JENERAŁ.

Co pan przez to rozumiesz?

ZOSIA.

Nie obrażaj się, mój ojcze; pan Różewski ma prawo tak przemawiać do mnie, jest to odwet za moje wczorajsze wyrazy.

RÓŻEWSKI.

Uczciwy młodzieniec, posiadający dziesięć tysięcy talarów intraty, nie wspominając o rentach złożonych, nie tak łatwo się zraża; ale radby się dowiedzieć dlaczego po dwudziesto-czterogodzinnym proteście... bo właśnie o téj godzinie... (wyjmuje zegarek). o wpół do szóstéj, dostałem...

JENERAŁ.

Jakto! martwisz mi to dziecię, wtenczas kiedy ci... a mówiłeś mi że ją tak wściekle kochasz...

RÓŻEWSKI.

Prawda, jenerale; ale kochać się a żenić to dwa... szczególnie kiedy kto tak niebezpieczne nosi nazwisko... Małżeństwo jest nietylko rzeczą serca ale i kieszeni...

JENERAŁ.

Przebacz mi... wiesz żem trochę prędki, mości...

RÓŻEWSKI.

Różewski.

ZOSIA.

Panie! (do siebie). Co za boleść!... (głośno). Panie, dla czegoby biedne dziewczęta...

RÓŻEWSKI.

Biedne! panna Zofia ma 100,000 talarów posagu.

ZOSIA.

Czemuby słabe dziewczęta...

RÓŻEWSKI.

Słabe... chwilowo, kiedy im potrzeba.

ZOSIA.

Więc niewinne dziewczęta, niemiały się troszczyć o przy-

mioty tego który im się przedstawia za udzielnego pana i samowładcę... Jeśli mię pan kochasz, czyli zechcesz... czyli zechcesz mię ukarać za to żem jego uczucia doświadczyć chciała?

RÓŻEWSKI.

A, to co innego.

JENERAŁ.

Oj, kobiety, kobiety!

RÓŻEWSKI.

Dodaj, panie jenerale: oj, dziewczęta, dziewczęta!...

JENERAŁ.

Widzę że moja Zosia by nas obu jak parę wołów sprzedała...

Scena XVII.

CIŻ, NATALIA, LEON.

NATALIA.

No cóż, panie Różewski?

RÓŻEWSKI.

Ach, moja pani! ach, mój jenerale! Jestem teraz najszczęśliwszym z ludzi!... Najdroższe życzenie spełnione! Należeć do tak zacnéj rodziny, ja!... byleście mię odtąd nazywali Różewskim...

JENERAŁ.

A twoją żonę panią Różewską... Zgoda na to, mości...

RÓŻEWSKI.

Czy jeszcze?... Ach, mój jenerale! ach, moja pani! ach, moja panno Zofio!... (do siebie). Jadę do Cybulskich; bo na tak rozstrojonym instrumencie sam djabeł chyba zagrać potrafi.

LEON, wchodząc.

Tato, mam krzyż wojskowy... Dzień dobry mamo; panie Różku... A gdzie Zosia?... Tyś słaba, siostrzyczko?... Słuchaj, ja wiem zkąd sprawiedliwość.

NATALIA.

A kto cię nauczył?... Boże, jaki zwalany!

LEON.

Kto?... mój nauczyciel... mówił że sprawiedliwość od Boga.

RÓŻEWSKI.

Masz karmelki... dam ci jutro... Pewnie nie ztąd rodem, twój nauczyciel.

LEON.

Nie, bo z Poznania, jak Stasio Niewiarowski.

RÓŻEWSKI.

Szczęśliwi Wielkopolanie, że mają dwóch tak znakomitych ludzi... nieprawdaż, najmilsza Zosiu?

LEON.

Pan znowu gruchasz, jak turkawka...

ZOSIA z cicha, do Małgorzaty.

Odeszléj ich, przez litość.

MAŁGORZATA.

Panowie, proszę państwa, panna potrzebuje spoczynku...

JENERAŁ.

Bywaj zdrowa, Zosiu... wszak przyjdziesz na obiad?

ZOSIA.

Jeśli zdołam... Uściskaj mię, ojcze!

JENERAŁ, całując ją.

Moje lube dziecię, całuję cię, i błogosławię. (Wszyscy wychodzą, prócz Zosi, Małgorzaty i Leona). Chodźże ty mały.

LEON.

Zaraz tato... (do Zosi). A mnie, czy nie pocałujesz? Jakaś ty blada!... (podnosząc papierek z podłogi). Patrz, jak ten papierek na ziemi...

MAŁGORZATA, wyrywając go z ręki Leona.

Może z trucizny!...

ZOSIA.

Umieram...

LEON.

Czy to można umrzeć?... a jak to śmierć wygląda?

ZOSIA, padając w objęcia Małgorzaty.

Śmierć wygląda... tak!

MAŁGORZATA.

Wielki Boże! ratunku!

LEON.

Zosiu, ty mię straszysz... (wybiegając). Mamo, mamo! Zosia umiera...

Akt V.

Sala; w głębi framuga z łóżkiem z firankami, za rozsuniętą lamperyą.— Dzień świta; jeszcze jeden kaganek płonie.

Scena I.

ZOSIA na łóżku; STANISŁAW klęcząc, trzyma jéj rękę; STAŃSKI siedzi przy stoliku.

STAŃSKI.

Umiera!... Na krwawych błoniach, tam gdzie wojna wrzała, widziałem ran i śmierci tysiące; niepojmuję czemu zgon téj dziewczyny pod ojcowskim dachem silniéj mą duszę uderza, jak tyle cierpień, tyle rycerskich pogrzebów! Tam, śmierci się spodziewa kto idzie na boje; lecz tu, trzy pokolenia w żałobie po tylu zgasłych nadziejach!... Otóż to miłe dziecię które kochałem jak własne, zatrute, zamordowane... przez kogo?... Małgorzata sama tę straszną walkę odgadła, walkę miłości między pasierbicą i macochą!... Napróżno chciałem ją wstrzymać; poleciała do Wrocławia i wszystko przed sądem wydała... Różewski zemknął walecznie... Boże! jak jedna złośliwa lub głupia niewiasta, co prawie na to samo wychodzi, może wtrącić w przepaść całą uczciwą rodzinę... Już stan macochy jest sam przez się wielką dla zazdrości kobiecéj pokusą; a cóż dopiero kiedy to będzie kobieta podstępna, chciwa, namiętna... Jak w złu-

pioném gnieździe przychodnia kukułka, nie swoje dzieci zabije lub wypędzi... gdzie dotknie fatalną ręką, tam świeży grób wyrasta... Prawo powinnoby dla spokoju rodzin na zawsze podobne związki zabronić, przyszłość biednych sierot od tak zawistnych wpływów ubezpieczyć, gdyby prawo było prawém... Przecież co tylko sztuka uczynić jest w stanie, tom wszystko dla Zosi uczynił... (Stanisław podnosi głowę i słucha). Przyniosłem nawet tę truciznę którąby może tamtéj działanie zniszczyła .. ale mi zbywa na świadectwie naczelnych lekarzy... sam zbłądzić się boję; i w tak stanowczym razie, wyroku dać mi nie wolno...

STANISŁAW do Stańskiego, powstając.

Skoro sędziowie zjadą, racz im pan ten środek przedłożyć; oni nań zezwolą... Bóg mię wysłucha: zwróci mi ją cudem!

STAŃSKI.

Zanim trucizna cały swoj skutek wywarła, byłbym się na to jeszcze odważył... lecz teraz, za późno... Stałbym się tylko wspólnikiem otrucia! Czemuż mię pani Wojnicka wysłała do Wierzbnéj? a to krakowskie dwie mile... jaka droga!... (stawiając flaszeczkę). Nie! ten antydot byłby bezsilnym; poświęcenie moje zbrodnią... niemogę!

STANISŁAW.

Zawcześnie pan zwątpiłeś; patrz, ona oddycha! (przykłada zwierciadło do ust Zosi).

STAŃSKI.

Ona wschodu słońca nie ujrzy!

ZOSIA.

Stanisławie!

STANISŁAW.

Moje imie wymawia!

STAŃSKI.

W dwudziestym drugim roku, nie łatwo życie poddaje się śmierci... Do ostatniego tchnienia przytomność jéj nie odstąpi... Mogłaby powstać, przemówić nawet, pomimo strasznych męczarni od téj trucizny zrządzonych!

Scena II.

CIŻ, JENERAŁ.

JENERAŁ, za sceną.

Stański!

STAŃSKI, do Stanisława.

Jéj ojciec!... (Stanisław pada zgnębiony na krzesło, lamperyą i firankami przysłonięte.— U drzwi). Czego chce pan jenerał?

JENERAŁ.

Ja chcę widzieć Zosię.

STAŃSKI.

Niemożna; za chwilę... teraz mocniéj zapadła.

JENERAŁ, wypychając drzwi.

Więc wchodzę.

STAŃSKI.

Słuchaj méj rady, zostań!

JENERAŁ,

Puść mię do niéj!... nieruchoma, blada... Stański!

STAŃSKI.

Jesteś ojcem dwojga dzieci... pamiętaj na syna...

JENERAŁ.

Zawiodłeś mię!... Natalia śpi jeszcze... Wczoraj wieczorem wyjechała z wizytą... Niech nie wie o niczém!

STAŃSKI, do siebie.

Oddalić go trzeba... (głośno). Patrzmy na to łoże bez trwogi, jak niegdyś na baterye kartaczami nabite... Jeśli chcesz mi pomódz, śpiesz po lekarza duszy... po księdza...

JENERAŁ.

Ja chcę ją pierwéj uściskać...

STAŃSKI.

Uważnie tylko...

JENERAŁ, całując Zosię.

Skostniała!

STAŃSKI.

To skutek chorobie właściwy. Idź do plebanii; a jeśli mnie się nie powiedzie, córka twoja, po chrześciańsku wychowana, ma prawo do świętéj opieki kościoła.

JENERAŁ, wracając ku córce.

Boże! ty ją wyratuj!

STAŃSKI, wskazując drzwi.

Tędy, tu droga.

JENERAŁ.

Patrz!... ja już głowę tracę... myśli mi się mącą... Przyjacielu, tyś tylu starców, tylu dorosłych ludzi nad progiem wieczności zatrzymał; czy ty mi dziecka niezwrócisz?

STAŃSKI.

Pójdziemy razem. (do siebie). Odprowadzić go muszę; bo gdyby się spotkał z urzędem, za niego samego bym nie ręczył. (wychodzą).

Scena III.

ZOSIA, STANISŁAW.

ZOSIA.

Mój Stasiu!

STANISŁAW.

Boże! czy już jéj dusza ulata?... Zosiu, mém życiem ty jesteś; jeśli chcesz pójść do grobu, to zemną!

ZOSIA.

Teraz niczego mi nie żal, przy zgonie.

STANISŁAW, biorąc flaszeczkę.

To czém cię lekarz miał zbawić, gdyby wcześniéj był przyszedł, mię z życia rozwiąże.

ZOSIA.

Bądź po mnie szczęśliwym.

STANISŁAW.

Nigdy, o nigdy bez ciebie.

ZOSIA.

Ty mię śmierci wydzierasz.

Scena IV.

CIŻ, STAŃSKI.

STANISŁAW.

Patrz, mówi... oczy otwarte...

STAŃSKI.

Biedna Zosia!... usypia... czém będzie zbudzenie? (Stanisław przyklęka, jéj rękę w swéj dłoni trzymając).

Scena V.

CIŻ, DOBRZYCKI, PREZES komissyi śledczéj, PISARZ sądowy, MEISNER, SIERŻANT straży, MAŁGORZATA.

MAŁGORZATA.

Panie Stański, oto urząd.

STAŃSKI.

Będziecie Małgorzato żałować, żeście mię nieusłuchali.

DOBRZYCKI.

Panie sierżancie, niech wszystkie wyjścia domu będą strzeżone; bądź gotów na każde zawołanie. Doktorze Stański, wszak możem tutaj sprawę rozpocząć, bez narażenia choréj?

STAŃSKI.

Ona śpi... nie prędko się zbudzi. (zasłania łóżko, i zasuwa z Małgorzatą lamperyę).

PREZES.

Gdzie są dowody, świadkowie?

MAŁGORZATA.

Oto filiżanka z resztą napoju i trucizną; sprzątając u Zosi postrzegłam.

MEISNER, kosztując szczątki w filiżance.

Oczywiście proszek biały, śkniący, słodkawy, bardzo do arszeniku podobny.

PREZES.

Zrobisz pan analizę. (Małgorzata podaje papierek) Co to macie, Małgorzato?

MAŁGORZATA.

Papierek z ręki Leosia wyrwany...

DOBRZYCKI.

Proszę. W podobnych razach wszystko ma znaczenie przed sądem... I na to, panowie, później zwrócimy waszą uwagę. Czy jenerał w domu?

STAŃSKI.

Poszedł do plebanii, lecz wróci niebawem.

PREZES, do Meisnera

Pan chorą widziałeś?

MEISNER.

Widziałem, panie prezesie. (obaj ze Stańskim się naradzają).

DOBRZYCKI, do prezesa.

Trzeba mieć wzgląd na jenerała; on po za obrębem naszego śledztwa zostać powinien. (Meisner i Stański schodzą na przód sceny). Więc panowie zgodnie twierdzicie że choroba panny Wojnickiéj, pełnéj życia i zdrowia przed dwoma dniami, jest skutkiem zażytéj trucizny?

MEISNER.

Symptomata otrucia żadnéj wątpliwości nie podpadają.

DOBRZYCKI.

A czy szczątki trucizny w napoju pozostałe, mogą ilością swoją dowód legalny stanowić?

MEISNER.

Mogą, niezaprzeczenie.

PREZES, do Stańskiego.

Ta służąca utrzymuje, panie Stański, żeś pan wczoraj, o godzinie czwartéj, zapisał pannie Wojnickiéj rozczyn kwiatu pomarańczowego, dla uspokojenia zdrażnionych nerwów po rozmowie z macochą; dodaje nadto, że pani Wojnicka wysłała natychmiast pana o dwie mile, pod zmyślonym pre-

textem; że upornie sama chciała ten napój przyrządzić, i że go własną ręką swéj pasierbicy podała: czy tak jest czy nie?

STAŃSKI.

Tak, panie prezesie.

MAŁGORZATA.

I nawet mój biedny pan wyburczał mię za to żem sama pannie usługiwać chciała. (Urzędnicy obradują).

DOBRZYCKI, do Stańskiego.

Dokąd pan byłeś przez panią Wojnicką posłanym?

STAŃSKI.

Wszystko, panowie, jest fatalném w téj niezgłębionéj sprawie... Posłano mię do Wierzbnéj, gdzie każda chwila mojego pobytu nadzieję wyratowania panny Wojnickiéj zmniejszała... Co gorsza, Franciszek, który miał sobie w machinie rękę złamać, nie był w domu lecz z Gabrychem pił w karczmie... Wyłajałem Gabrycha za to, że zwiódł panią; on zaś przysięga, że ani o tém nie wspomniał, że nawet pani nie widział, bo wciąż był pijany... Dziwne mię natenczas ogarnęły przeczucia... Gdym wrócił, już panna Zofia konała. (Słychać za sceną modlitwy umarłych).

PREZES.

Te śpiewy resztę nam świadczą.

FELIX, wchodząc.

Panowie, duchowni przybyli.

DOBRZYCKI.

Niech domownicy z niemi swe modły połączą; my zaś w téj sali protokół spiszemy. (do Stańskiego). Niech pan raczy zostać.

Scena VI.

DOBRZYCKI, PREZES, PISARZ, STAŃSKI,

PREZES, siadając.

Wszystko jawne, niewątpliwe... podług świadectwa Felixa i Małgorzaty, pani Wojnicka zadała naprzód swéj pasierbi-

cy dozę laudanum; a pan doktor spostrzegłszy ten czyn zbrodniczy, wziąłeś filiżankę i na klucz zamknąłeś?

STAŃSKI.

To prawda, panowie... ale...

DOBRZYCKI.

Jakto, panie Stański, byłeś świadkiem takiego występku, i nie wstrzymałeś pani Wojnickiéj na téj zgubnéj drodze?

STAŃSKI.

Co tylko stare doświadczenie mogło mi nastręczyć, czego wymagała najoględniejsza przezorność, to wszystko ściśle wykonałem.

PREZES.

Dziwném jest zaiste pana postępowanie, i musisz się z niego wytłómaczyć. Dopełniłeś pan swéj powinności przechowując ten dowód; ale dla czego daléj w tym kierunku nie postąpiłeś? Zapobiedz zbrodni było w jego możności; co więcéj, było najświętszym obowiązkiem.

DOBRZYCKI.

Niech pan Zejdler pozwoli; pan Stański jest uczciwym i wiarogodnym starcem. (biorąc Stańskiego na stronę). Pan zapewne przyczynę zbrodni zbadałeś?

STAŃSKI.

Nieubłagana zazdrość dwóch niewiast, jedną miłością do ostatnich granic posunięta... resztę zamilczeć muszę.

DOBRZYCKI.

Ja wiem o wszystkiém.

STAŃSKI.

Jakim sposobem?

DOBRZYCKI.

Dawny przyjaciel Stanisława, wszystkom uczynił aby to nieszczęście odwrócić. Téj saméj nocy, miał ztąd zemną ujechać. Pannę Natalią Zwodnicką poznałem dawniéj u niego.

STAŃSKI.

Ach, panie, bądź miłosiernym! Miéj litość nad starcem ranami okrytym, krajowi zasłużonym, i pełnym jeszcze złu-

dzeń młodzieńczych... on razem żonę i córkę traci, a niechże przynajmniéj swój honor zachowa!

DOBRZYCKI.

Uczucie pana rozumiem i podzielam. Póki Natalia nie uczyni wyznań któreby nas do zupełnego wykrycia prawdy doprowadziły, będę się starał dowieść panu prezesowi śledztwa... choć ma bystre spojrzenie i wprawę przez dziesięć lat urzędowania nabytą... dowiodę mu że sama chciwość ręką pani Wojnickiéj kierowała. (Prezes się zbliża; Dobrzycki daje znak Stańskiemu i surową przybiera postawę). Pan Stański, jako domowy przyjaciel, wiesz zapewnie dla czego pani Wojnicka na sen swojéj pasierbicy zadała?

STAŃSKI.

Panna Zofia, o któréj rękę starał się pan Różewski z Raciborza, chciała mi wyjawić jakieś zatargi z macochą; ta mię posłała do Wierzbnéj, nie aby wszelki ratunek oddalić, bo Wrocław za pasem, lecz dla utajenia swych majątkowych widoków...

PREZES

Co za przewrotność!... (do Dobrzyckiego). Nic jéj uniewinnić nie potrafi, jeśli w jéj biórku główny dowód zbrodni znajdziemy...

MAŁGORZATA, wchodząc.

Oto pani...

PREZES.

Nie spodziewa się naszego przybycia; pierwsze zapytania zgnębić ją powinny. (Słychać modlitwy śpiewane u Zosi).

Scena VII.

CIŻ, NATALIA.

NATALIA.

Kościelne śpiewy... Co! panowie jeszcze tutaj? Cóż się takiego dzieje? (idzie ku lamperyi zasłaniającéj łóżko Zosi; cofa się przed stojącą Małgorzatą). Ach!

MAŁGORZATA.

Modlą się za tę którąś pani zabiła.

NATALIA.

Zosia! Zosia umarła!

PREZES.

Z trucizny przez panią zadanéj.

NATALIA.

Z trucizny, zadanéj przezemnie?... Czym ja we śnie to usłyszała? (do Dobrzyckiego). Ach! pan tu jesteś! Co za szczęście... Pan znasz moją przeszłość. Czy i pan mię o zbrodnię posądzasz!... Milczysz? Jestem więc obwiniona... o co? o zatrucie Zosi?... To kłamstwo! Jestem żoną czcigodnego starca, którego wszyscy powinniście poważać i cenić... mam syna, przed którym rumienić się nie chcę... Ach! sądu, panowie... wy mię niewinną uznacie!

PREZES.

Małgorzato, zamknąć bramę; niech odtąd nikt nie wychodzi...

NATALIA.

Ależ, panowie, cóż się to stało? Wszak ja Zosię wczoraj trochę słabą sama pielęgnowałam!... puśćcie mię do niéj...

PREZES.

Wejdź pani w siebie... jesteś przed sądem krajowym.

NATALIA.

Przed sądem? dreszcz mię przejmuje!...

PREZES.

Sądownictwo nasze za jedno z najdoskonalszych uchodzi... nigdy nie poduszcza, nie drażni; śmiało postępuje, otwarcie działa, z odkrytém czołem przemawia; silne powołaniem, do prawdy i słuszności zmierza... Jesteś dopiero pani obwinioną; i w imie prawa, u mnie znajdziesz opiekę... Ale bądź szczerą, jeśli chcesz na nią zasłużyć.

NATALIA.

Prowadź mię pan do Zosi; tam, przed nią, powtórzę to, co ci tutaj mówiłam: Jestem jéj śmierci niewinną!

PREZES.

Pani...

NATALIA.

Oszczędźcie mi panowie tych dręczących pytań, w które jak w sieci zabójcze waszych podwładnych wciągacie... ja cierpię... płaczę nad Zosią jak nad własną córką... przebaczam jéj, wszystko! Czego więcéj chcecie? Odpowiem.

DOBRZYCKI.

Co jéj pani przebaczasz?

NATALIA.

Czy pan nie wiesz...

DOBRZYCKI.

Pomnij na męża... ostrożnie!

NATALIA.

Ach! przepaści wszędzie!

PREZES, do pisarza.

Napiszesz pan później imiona i nazwiska; teraz zbieraj do protokółu szczegóły indagacyi. (do Natalii). Czyś pani wczoraj przed południem, dolała laudanum do herbaty panny Wojnickiéj?

NATALIA.

Panie Stański... Tyś to zapewnie...

DOBRZYCKI.

Pana Stańskiego niech pani nie łaje; on się już dosyć dla niéj naraził. Odpowiadaj pani wprost sędziemu.

NATALIA.

Więc prawda.

PREZES.

Gdzie naczynie?

NATALIA.

Zniszczone; pan Stański je zamknął: nadużył przeto gościnności jaką mu dotąd udzielałam... jam szafę otworzyć kazała.

PREZES.

Ale pani samego faktu nie przeczysz... W tym periodzie śledztwa, to już dostateczne...

NATALIA.

Więc mię pan o cóś więcéj obwiniasz?

PREZES.

Bądź pani cierpliwa... jeśli się z ostatniego zarzutu nie usprawiedliwisz, możesz być o zabójstwo przez truciznę poszlakowaną. Teraz dowodu jéj występku lub niewinności szukać nam wypada.

NATALIA.

Gdzie?

PREZES.

W pokoju pani. Wszak podałaś wczoraj pannie Wojnickiéj rozczyn kwiatu pomarańczowego w téj drugiéj filiżance, w któréj ślady arszeniku się znajdują?

NATALIA.

Arszeniku! Ja?

PREZES.

Mówiłaś nam pani przedwczoraj że klucz od apteczki w któréj tę truciznę złożyłaś, zawsze nosisz przy sobie...

NATALIA.

Oto go mam w kieszeni... Dzięki Bogu, ta męka się skończy...

PREZES.

Jeszcześ pani żadnego zeń użytku nie zrobiła?

NATALIA.

Nietknięta dotąd, ani rozpieczętowana!

DOBRZYCKI.

Ach, pani, bodajby tak było!

PREZES, idąc ku sypialni.

Bardzo wątpię... Ta dama należy do tych niestrwożonych istot, przed oczywistością nawet kłamiących...

NATALIA.

Pozwól pan, pokój w nieładzie...

PREZES.

Pani nam sama drogę wskaże... pójdziemy we troje.

DOBRZYCKI.

Wszak idzie o zarzut zbrodniczy...

NATALIA.

Proszę więc...

Scena VIII.

STAŃSKI, PISARZ.

STAŃSKI, patrząc przez szparę.

Biedny mój jenerał!... klęcząc u stóp córki, i modląc się, płacze... przy nim Stanisław... ojciec i kochanek!... Niech Bóg czuwa nad niemi!

Scena IX.

CIŻ, PREZES, NATALIA, DOBRZYCKI.

PREZES.

Nie myliłem się... przekonanie zupełne.

NATALIA.

Wątpię o sobie... śni mi się... że jestem...

DOBRZYCKI.

Jesteś pani zgubiona.

NATALIA.

Zgubiona... przez kogo?

PREZES.

Pisz pan że pani Wojnicka sama nam biórko swéj sypialni otworzyła; że płatek przez Meisnera opieczętowany, nietknięty jeszcze przedwczoraj, wręczyła nam otworzonym: że doza trucizny z niego wydobyta, dostateczną się zdaje do zadania śmierci.

NATALIA.

Więc to ja Zosię otrułam?

PREZES.

Nie bez przyczyny zabrałem w jéj biórku ten oddarty kawałek papieru, który do drugiéj swéj półowy, przez Leona podniesionéj, doskonale przystaje...

NATALIA.

O sprawiedliwości boska! mój syn!

PREZES.

Dowód stanowczy że przy otwarciu biórka, truchlałaś pani jak wszyscy złoczyńcy w dokonaniu zbrodni; że obwinęłaś tym urywkiem proszek do rozczynu wmięszany.

NATALIA.

Mówiłeś pan że mam u niego znaleść opiekę; ale to, jak widzę...

PREZES.

Czekaj pani... przed takiemi poszlakami, jesteśmy zmuszeni zmienić rozkaz stawienia się, na panią wydany, w rozkaz uwięzienia... (podpisuje). Teraz pani wolność straciłaś.

NATALIA.

Jestem waszą poddaną... lecz powołaniem pana, podług własnych jego wyrazów, jest wykrycie prawdy; a to wszystko dotąd jest złudzeniem, zniewagą...

PREZES.

Znajdziemy ją, bądź pani pewna.

NATALIA do Dobrzyckiego, z płaczem.

Ach, panie Dobrzycki!

DOBRZYCKI.

Sama się pani oskarżasz... ja jéj obronić nie mogę.

NATALIA.

Panowie! Jak Bóg w niebie, choć wszystko mię potępia, jam w otruciu Zosi żadnego udziału nie miała!... Przecież jest cóś takiego w moim głosie, w mojéj postawie, coby was przekonać powinno!... Ach! teraz wiem; klucz mi zapewne wyjęto... ktoś był w moim pokoju... (do Dobrzyckiego). Zosia kochała jak ja... bez miary... ona się sama otruła!

DOBRZYCKI.

Dla ocalenia honoru całéj rodziny, nie mów pani tego bez przekonywających dowodów... Inaczéj...

NATALIA.

O! nieszczęsna!...

PREZES.

Czy wyznajesz pani że wczoraj, w chwili wykonania swego przedsięwzięcia, oddaliłaś doktora Stańskiego?

NATALIA, głosem stłumionym.

Wyznaję.

PREZES.

Czyś pani go posłała za świadectwem Gabrycha do Wierzbnéj, do zranionego robotnika?

NATALIA.

Wyznaję.

PREZES.

Ten robotnik był w karczmie, zdrowy zupełnie... pani ten przypadek sama zmyśliła... Gabrych zaś przez nas już zapytany, pił z Franciszkiem do upadłego; na widok naszego przybycia dopiero się wytrzeźwił... Tak to, za przykładem panów, słudzy niepoczciwemi się stają; wielka téż nad wami cięży ztąd odpowiedzialność!... Pani miałaś na myśli jakieś obłudne zamiary, jakieś majątkowe rachuby, które w jéj sercu głos ludzkości stłumiły... Teraz nasze poselstwo skończone; reszta do sądu należy.

NATALIA, do siebie.

O Zosiu! tyś mi oddalić go kazała! ty mię ciągniesz z sobą do grobu, lecz występną, zhańbioną!... Nie, ja tego nie chcę! (do prezesa). Pan jesteś tak okrutnym że każde jego słowo jak sztylet w me serce uderza... niedajesz mi czasu, pozbawisz przytomności, odbierasz odwagę... Jedno mi tylko pozostaje. Panie Stański, czy Zosia żyje jeszcze?

STAŃSKI.

Masz pani odpowiedź!

Scena X.

CIŻ, JENERAŁ.

JENERAŁ, do Stańskiego.

Kona! mój drogi... ja jéj nieprzeżyję!

STAŃSKI.

Ach, jenerale!

JENERAŁ.

Co tu ludzi... Czego oni chcą? Gdzie Natalia? Stański, ratuj moją Zosię... (Sadzają go w głębi, na krześle).

NATALIA, u stóp jenerała.

Mój mężu... biedny ojcze... Ach! zabijcie mię zaraz, bez sądu... (powstaje). Nie! Zosia mię w swój całun obwija... czuję jéj zimne palce, tu! około szyi!... Jużem się poddać chciała; już miałam pogrzebać wraz z sobą ten straszny dramat serca, na który wszystkie niewiasty patrzećby powinny... alem znużona walką z nienawistnym trupem... jego dłoń mię krępuje, oddech śmiercią zaraża!... Teraz więc, kosztem honoru, moją niewinność obronię; niechaj nikt niepowie, żem moją wychowankę podle, nikczemnie zatruła... Ja wszystko wyjawię!

JENERAŁ, wstając i postępując ku niéj.

Chcesz więc przed sądem odkryć to coś mi oddawna tak upornie taiła... Niewdzięczna, chytra istoto... pieściwe kłamstwo... Zabiłaś mi córkę; cóż więcéj mi jeszcze chcesz zabić?

NATALIA, w walce z sobą.

Mamże milczeć, czy mówić? o Boże!

DOBRZYCKI.

Racz ztąd odejść, jenerale; prawo tego wymaga.

JENERAŁ.

Prawo?... wy jesteście sędziami od ludzi, jam jest sędzią od Boga!... Jam coś więcéj od was! jestem oskarżycielem, sądem, wyrokiem i katem!... (do Natalii). Mów, co masz mówić.

NATALIA, czołgając się u kolan męża.

Przebacz, panie... ja jestem...

DOBRZYCKI.

Natalio! twój syn...

NATALIA, do siebie.

Nie, nigdy! Dla jego honoru prawdy nie wydam... aż przed Bogiem! (głośno). Dla wszystkich występna, dla ciebie... to ci do śmierci wołać będę... jam niewinna!... Kiedyś z dwóch grobów powstanie prawda surowa, straszna, która ci powie że i ty także nie jesteś od wyrzutów wolnym; że i ty także, przez twoją ślepą nienawiść, występnym się stałeś...

JENERAŁ.

Ja, występnym?... czy w obłąkanie wpadam?... ty, żalisz się na mnie... ty!... (Lamperya tylna się rozsuwa; widać oświecone łoże i duchownych. Małgorzata klęczy, koło niéj Leon i domownicy.— Zosia powstała z łóżka, i opierając się na Stanisławie, zwolna postępuje ku ojcu). O Boże! wielki Boże!...

Scena XI.

CIŻ, ZOSIA, STANISŁAW.

ZOSIA.

Ojcze... widziałam wszystko, jak w letargu... Słyszałam głos modlitwy świętéj, że chcąc wyjednać przebaczenie w niebie, trzeba je zostawić na ziemi... głos ten mię natchnął, ożywił... Ta kobieta nie popełniła zabójstwa o które ją posądzacie, ona tylko moją duszę zabiła... Jam sama wzięła jéj klucz i wyjęła truciznę; sama rozdarłam ten papier i w napój wsypałam, bo chciałam umrzeć...

PREZES.

Czy panna Wojnicka prawdę mówi?

ZOSIA.

Prawdę... wszak staję przed Bogiem! (do Natalii). Tak jest, wolałam śmierć jak to nędzne życie, które pani samemi cierniami usłałaś... A wiesz czemu przychodzę wyrwać ją z téj toni? Stanisław z trumny jedném mię słowem rozbudził. Tak mu strasznie zostać tu z panią, że woli pójść za mną, do grobu...

NATALIA.

Stanisław!... Boże! jak drogo moje zbawienie opłacam!

ZOSIA.

Natalio... bo cię już macochy nazwiskiem łżyć nie będę... przebaczam ci, w nadziei że Bóg mi także przebaczy... Żyj dla ojca i Leona, żyj jeszcze długo; zapomnij o mnie, jeśli zdołasz... to jest ostatnie moje życzenie... Teraz biedny, nieszczęsny ojcze, żegnam cię... tyś mię chciał ze Stanisławem połączyć, patrz... chęci twoje spełnione... Tam, w grobie zaślubieni, razem spoczniemy, na wieki... (kona).

JENERAŁ.

Ty chcesz umrzeć, jedyne moje dziecię? mię samego na świecie zostawić... Czy nie miałaś we mnie najczulszego ojca? Kto mię tutaj oskarża, i o co?

STANISŁAW.

Ja na to pytanie odpowiem; ja ci twą winę przed oczy przywiodę!...

JENERAŁ.

Ty, Stanisławie, któregom kochał jak syna?...

STANISŁAW.

Jestem synem jenerała Zbroińskiego, któremu wieczną zaprzysiągłeś zemstę... Rozumiesz teraz.

JENERAŁ.

Ty, plemie zdrajcy, tyś zdradę i śmierć w mój dom wprowadził! (chwyta za broń wiszącą na ścianie). Broń się, nikczemny!

STANISŁAW, słaniając się.

Czy chcesz się bić... z umarłym... (upada).

NATALIA, lecąc ku niemu z krzykiem.

Ach!... (cofa się przed jenerałem idącym ku córce; wydobywa i rzuca flaszkę na ziemię). Nie! żyć dla tego starca, to będzie moją kaźnią... (Jenerał klęka przy córce umarłéj). Doktorze... czy on od zmysłów odchodzi?

JENERAŁ jąkając się, jakby mu wyrazów nie stało.

Ja... chcę się modlić... za Zosię...

LEON, rzucając się w jego objęcia.

Mój ojcze!...

JENERAŁ, wpół zemdlony.

Dorastaj, synu... ty się zemścisz za nią... i za mnie!...

(Zasłona spada).

K O N I E C.

TRZY LILIE.

A znasz ty te strony, gdzie Krępak zielony
Dosięga do chmur;
Gdzie San srebrnowody, kwiecisty i młody,
Wypływa z pod gór?
Edeńskie trzy kwiaty zdobiły przed laty
Czarowny ten brzeg;
Trzy jasne dziewice: jak zorza ich lice,
Rączęta jak śnieg.

Nad Sanem jest źródło; tam kroki ich wiodło
Milczenie i cień:
Przez liście tam cudnie, zaledwie w południe,
Uśmiecha się dzień.
Trzy lilie wśród zdroju, w śnieżystym zawoju,
Kąpały się wraz;
Najmłodsza z tych dzieci ujrzała i leci,
I leci przez las.

„Ach siostry, widzicie! ja dałabym życie
Za kwiatów tych splot!“
I mówi i bieży, i z białéj odzieży,
Rozkryła się w lot.

Oj! losów i nieba doświadczać nie trzeba,
W poranku twych lat;
Nie wiankiem weselnym lecz strojem śmiertelnym
Jest biały ten kwiat!

I bielsza jak one, po lilii koronę
Już sięga jéj dłoń;
Już zrywa... i ginie w bezdennéj głębinie,
Popchnięta w jéj toń!
I druga skoczyła, za siostrę chwyciła,
Już płynie na ląd;
Nim brzegu dopędzi, jak dwoje łabędzi
Pochłania je prąd...

Została Halina; w rozpaczy przeklina
Okropny swój los;
Chce bieżyć, — upada: chce wołać, — lecz biada,
Umiera jéj głos!
Nazajutrz od rana ich matka stroskana
Szukała trzech cór;
Pasterze szukali, daleko i daléj,
Wśród lasów i gór.

Halino wołały, Halino te skały,
Halino gaj ten;
Halino wiatr niesie: lecz w górach i w lesie
Zniknęła jak sen.
Nad Sanem przy zdroju, gdzie w kwiatów zawoju
Zieleni się brzeg,
Gdzie stoi dąb wzniosły, trzy lilie wyrosły
Tak białe jak śnieg...

Widziałeś wśród Tatrów, zerwany od wiatrów
Kwiecisty ich strój?
Jak wonny deszcz kwiatków, fiołków, bławatków,
Opada na zdrój?
Tak ginie dziewica, gdy bledną jéj lica
W poranku jéj lat;
Gasnącém spojrzeniem świat żegna z westchnieniem,
Bo nieżna co świat.

Bo piękność niebianka, zabłyśnie z poranka
I kryje się już;
Jéj życiem jest chwila, jak zorzy, motyla,
Dziewicy i róż.
W tych stronach gadano że w górach widziano
Kochanka jéj grób;
Lecz były pogłoski że zniknął z téj wioski,
A w drugiéj wziął ślub.

Kraków, 1 stycznia 1832.

POWRÓT.

Sonet.

Cóż to za niebo z dala tam jaśnieje?
Ach, to Karpaty! to mój kraj, rodzina!
Czy nowe życie dla mnie się zaczyna?
Czy w piersi méj rozpaczy żar nie tleje?

Już gdym powrotu stracił i nadzieję,
Gdy skroń wygnańca szron przedwczesny zgina,
Promienna szczęściem bije mi godzina...
Lecz słońce życia martwych serc nie grzeje.

Widziałem was oczyma tęsknéj duszy,
W bezsennych nocach, lub wojennym chrzęście,
Tam gdzie lud wolny swe kajdany kruszy;

O nieraz w łonie mém skrwawione pięście
Przybliżyć chciały koniec méj katuszy:
Męczarnie zniosłem... a czy zniosę szczęście?

Kraków, 1 stycznia 1860.

POŻEGNANIE.

Wy chcecie śpiewów, gdy mi serce pęka
Na widok waszych błędów i niewoli;
Gdy już zwątpiłem o szczęśliwszéj doli,
A wspólnéj w sercu wre sromoty męka!

Wy chcecie śpiewów, gdy zawistna ręka
Niezgodę sieje na ojczystéj roli;
Gdy matkę naszą chyba cud wyzwoli,
Bo gdzież zbawienia wschodzi jéj jutrzenka?

Jam zbyt was kochał... duch co we mnie gości,
Śnił kwiat nadziei po męczeńskim głogu;
W dziedzinie ojców jam chciał złożyć kości...

Nikt mię nie poznał na rodzinnym progu,
Za tyle cierpień ani łzy litości...
Więc idę daléj... mój spoczynek w Bogu!

Kraków, 5 kwietnia 1860.

BIBLIOTEKA W TORUNIU UNIWERSYTECKA
K.1468/53

Biblioteka Główna UMK
300020952019

1967 473/53 16-

188088